ŻENADA RZĄDZI W PARTII RZĄDZĄCEJ

Jego Wysokość Chodząca Doskonałość – wazeliniarze z Platformy o Trzaskowskim

Marek Jurek o deklaracji Jarosława Kaczyńskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 50/608 9–15 GRUDNIA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NIE WIERZĘ UKRAINIE – MÓWI MAREK JAKUBIAK, KANDYDAT NA PREZYDENTA

Skandaliczna książka „Skandaliści w sutannach"

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 46 500 egzemplarzy

PRZERAŻENI

Faszyści, populiści, Trump – lista strachów lewicy

w|drodze

Dobra książka (nie tylko) na święta

sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 694 480 625

eprasa.pl acb5eb45c8

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wykorzystał i porzucił. Polska polityka w pigułce

W kiepskich powieściach, zwanych powieścidłami, często pojawiał się tajemniczy amant, który najpierw uwodził biedne i łatwowierne kobiety, a potem, wykorzystawszy je, z szarmanckim uśmiechem znikał w mrokach nocy. Ewentualnie inna wersja: nigdzie nie znikał, ale wszystkiego się wypierał. Co ciekawe, jest to historia stara jak świat i pokazuje niebywałą wręcz naiwność jednych oraz cynizm drugich. Dzięki Donaldowi Tuskowi widać, że rzecz dotyczy nie tylko relacji sentymentalnych męsko damskich, lecz także polityki. Niczym powieściowy amant uwodzi on kolejnych naiwniaków, a następnie, gdy już osiągnie wszystko to, czego potrzebował, ich porzuca.

Dwa przykłady doskonale to obrazują. Pierwszym jest potraktowanie przez premiera swoich niegdysiejszych sojuszników z Ostatniego Pokolenia, bandy gówniarzy, którzy wyspecjalizowali się w blokowaniu ulic i opowieściach o ginącej Ziemi. Otóż Donald Tusk kilka dni temu napisał na platformie X: „Blokowanie dróg, niezależnie od politycznych intencji, stwarza zagrożenie dla państwa i wszystkich użytkowników dróg. Wezwałem dziś odpowiednie służby do zdecydowanego reagowania i przeciwdziałania takim akcjom". No i kto by pomyślał?

To jest ten sam Donald Tusk, który jeszcze całkiem niedawno zielonych chuliganów wspierał? Tenże ci to Tusk, którego serduszko wzruszało się losem Ziemi, środowiska i cierpiącej przyrody? Ano, tenże. Naiwni zadymiarze nagle zauważyli, że zostali nabici w butelkę. „Przez osiem lat rządów PiS sam walczył pan o to, aby blokady dróg przez działaczy klimatycznych, rolników czy kobiety były uznawane za pokojowy sposób wyrażania poglądów. Pana dzisiejszy wpis nie różni się od wezwań Kaczyńskiego, który chciał wyprowadzać czołgi na protestujące kobiety" – przekonują w odpowiedzi na wpis premiera.

Jakże to tak? Przez osiem lat Tusk ich popierał, Platforma stała za nimi i podszczuwała przeciw PiS, ile wlezie, a tu taki ambaras? No coś takiego. A oni przecież w dobrej wierze aż do dzisiaj wierzyli i mówili o czołgach wysyłanych przeciw kobietom przez Kaczyńskiego. Oni blokowali za PiS, ile wlezie, wierząc, że łączy ich z Tuskiem wspólna sprawa, a teraz kopniak w pupę?

Nie, nie żal mi ich. Chuligaństwo na dłuższą metę nie popłaca, więc oby teraz zapłacili. Wykonali swoją robotę w swoim czasie, dali Tuskowi ważny element wizerunku – że troszczy się o klimat, że otwarty na młodych, że nie ma nic przeciw protestom – to teraz mogą odejść. W ramach nagrody pocieszenia mogą wspominać niedawny wyrok sądu, który uznał ich za przyszłych bohaterów. Ale wajcha poszła w inną stronę. Teraz Tusk potrzebuje spokoju, teraz jest obrońcą ładu, teraz Ostatnie Pokolenie jest zawadą.

Drugim, nie mniej zabawnym przykładem są losy kandydata na prezydenta i – jakby nie było – marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Biedaczysko uwierzył, że z Tuskiem można zawrzeć długotrwałe porozumienie. Tak się starał, tak umizgiwał, takie frazesy sadził. Kamińskiego i Wąsika od razu wykluczył, do kumpla z odpowiedniej izby Sądu Najwyższego papiery wysłał. A tu nagle ni z gruszki, ni z pietruszki z prokuratury pana Adama Bodnara, demokratycznej, niezależnej i całkowicie oddanej przywracaniu praworządności, za co ministra poklepał nawet po ramieniu sam gubernator Mark Brzezinski, wyszedł przeciek (co za okropne słowo, pan marszałek Szymuś się na pewno nim brzydził).

Nie byle jaki zresztą przeciek, bo – jak ustaliły wolne i niezależne media – pan marszałek wbrew swoim wcześniejszym deklaracjom i oświadczeniom miał być studentem osobliwej fabryki produkującej dyplomy uczelniane o wdzięcznej nazwie Collegium Humanum. Czy ktoś, kto się na coś takiego połasił, może być poważnym kandydatem na prezydenta? Pan marszałek się wściekł i nawet zasugerował, że za przeciekiem ciemne siły stoją. Niezłe, nieprawdaż?

No głupio wyszło i nic dziwnego, że pan Bodnar odrzucił niecne sugestie pana Szymona, jakoby fakt przecieku był elementem spisku przeciw jego kandydaturze. Coś takiego? Niemożliwe. Tak, takie rzeczy zdarzały się, owszem, w państwie PiS, ale przecież nie w państwie Platformy, którego marszałek Hołownia jest wiernym od początku budowniczym. Jak śmie miotać takie oskarżenia? Czyżby jednak mentalnie został skażony? Nieładnie, nieładnie.

Tak się dzieje z aktorami, którzy wbrew reżyserowi nie chcą zejść ze sceny, mimo że ich rola się wyczerpała. Tak jak w przypadku Ostatniego Pokolenia dziejowe znaczenie pana Szymona polegało na tym, że dostarczył Tuskowi brakujące do utworzenia rządu głosy młodych naiwnych (bo my chcemy, żeby ludzie się kochali i żeby się nie kłócili). Na tym koniec. Niech się cieszy, że jeszcze go ze sceny nie wyrzucą.

To jest polityka w pigułce. Kręci się, bo zawsze znajdzie się odpowiednia liczba głuptasów o przerośniętym ego dających się wykorzystywać sprytniejszym macherom. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRZERAŻENI
Faszyści, populiści, Trump – lista strachów lewicy

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
WITAMY W DEMOKRACJI HAKOWEJ
Koalicja strachu

20 ROZMOWA Z POSŁEM MARKIEM JAKUBIAKIEM
NIE WIERZĘ UKRAINIE

22 ŁUKASZ WARZECHA
ŁAŃCUCH NA WŁAŚCICIELI ZWIERZĄT

26 KAROL GAC
SPÓR O AKCJĘ „WISŁA"

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
RAFAŁ TRZASKOWSKI – KANDYDAT (ZBYT) IDEALNY

KULTURA

30 PIOTR GOCIEK
10 POWODÓW DO MYŚLENIA
Co warto przeczytać?

34 ROZMOWA Z JACKIEM BROMSKIM
DYSKRETNY UROK PROWINCJI

40 GRZEGORZ KONDRASIUK
CZARNA MASKA BURŻUJA

NIE PRZEGAP

35 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 BARTOSZ LEWANDOWSKI
WŁADZA SĄDOWNICZA – KLUCZOWY PROBLEM III RP
Zrozumieć trzecią władzę

45 ROBERT BOGDAŃSKI
MANIFEST SZABELKISTY

46 JERZY KARWELIS
EKSHUMACJE NA WOŁYNIU. NIE MA I NIE BĘDZIE

48 MAREK JUREK
NADCHODZI PO-PIS „OBYCZAJOWY"

50 RAFAŁ ŁATKA
SKANDALICZNA KSIĄŻKA „SKANDALIŚCI W SUTANNACH"

HISTORIA

52 GRZEGORZ MAJCHRZAK
OPERACJA „SASANKA"
Nieznana historia najbardziej znanego dokumentu stanu wojennego

54 ADAM HLEBOWICZ
KONSPIRA PO LATACH

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
GRUZJA NA KRAWĘDZI
Walka o przyszłość Kaukazu

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃCY BIAŁORUSINOM NIE WIERZĄ

66 WITOLD REPETOWICZ
KTO ARESZTUJE PREMIERA IZRAELA?

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
NABICI W EKOLOGIZM
Wypompowywanie pieniędzy

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
„DOPING" WISI W POWIETRZU
Sportowcy i zakazane środki

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (56), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl acb5eb45c8

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Radek Pietruszka/PAP, Christian Mang/EPA/PAP, Adam Warżawa/PAP, Michal Krumphanzl/CTK/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Edukacja zdrowotna

[...] Gdy do opinii publicznej docierały przez lata pojedyncze, siłą rzeczy rozproszone sygnały wskazujące na odchodzenie, negowanie zasad, które wyznaczał obecny patron tej uczelni, dawny jej wykładowca św. Jan Paweł II, można było mieć nadzieję, że to odosobnione przypadki. Zebrane w artykule „Etyczny problem KUL" red. Pawła Chmielewskiego („Do Rzeczy" nr 47/2024) wskazują jednak na postępującą w szybkim tempie erozję ethosu uczelni jako katolickiej, szczególnie ostatnio w świetle planów i zadań wyznaczanych przez autorytety medyczne zatrudnione w Collegium Medycznym

KUL i, co szczególnie bulwersujące, przy milczeniu całego krajowego środowiska medycznego.

Od kilku tygodni rodzice, nauczyciele, wszyscy, którym leży na sercu prawidłowe, odpowiedzialne wychowanie dzieci, młodzieży, niepokoją się i próbują zaradzić wprowadzeniu w miejsce dobrowolnych zajęć wychowania do życia w rodzinie przymusowej edukacji zdrowotnej, w której istotnym elementem będzie edukacja seksualna przekazywana uczniom od dziewiątego roku życia do szkoły ponadpodstawowej. Według podstawy programowej będzie to edukacja oparta na standardach WHO, prowadząca m.in. do uznania za normę zdrowotną samogwałtu, czyli praktyk masturbacyjnych, transpłciowości, a seksualność rozważa się tylko w kategoriach zdrowia i realizacji przyjemności, wyjmując ją z dotychczasowych ram małżeństwa i rodziny.

Autorem tego nowego, rewolucyjnego przedmiotu, o którym autorytety i doświadczeni pedagodzy mówią wprost, że prowadzi do deprawacji uczniów, jest zespół pod kierunkiem seksuologa i pedagoga prof. Zdzisława Izdebskiego, który sam, z widoczną satysfakcją, powtarza, iż „to koniec tabu. Tego nie udało się przewalczyć od 30 lat". Jako doświadczony praktyk, wieloletni sędzia sądu rodzinnego odpowiedzialnie mogę stwierdzić w reakcji na tę pożałowania godną satysfakcję, że w środowiskach, gdzie dochodziło do seksualizacji dzieci i młodzieży, patologiczne zjawiska łatwo stawały się normą.

Sądzić należałoby zatem, iż tak bulwersujący program edukacyjny prowadzący do seksualizacji dzieci i młodzieży, do deprecjonowania małżeństwa i rodziny, niszczący wrażliwość i wyobraźnię, szczególnie dzieci w wieku 9–12 lat – a od siebie dodam, że podważający uprawnienia rodziców wynikające z art. 48 Konstytucji RP – spotka się ze zgodnym sprzeciwem środowisk wyznających światopogląd i przekonania katolickie, szerzej chrześcijańskie, a autorzy tego projektu z jednoznaczną krytyką i dystansem.

Tymczasem 14 listopada b.r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w czasie uroczystości wręczenia Nagrody im. ks. Idziego Radziszewskiego, Księdzu Rektorowi tegoż KUL za wybitne osiągnięcia naukowe w duchu humanizmu chrześcijańskiego laudację na cześć nagrodzonego wygłosił seksuolog i pedagog prof. Zdzisław Izdebski. Czymże zasłużył sobie wśród znakomitości naukowego środowiska otaczającego laureata prof. Izdebski na ten zaszczyt i szczególny dowód zaufania?

W laudacji autor nowej, postępowej wreszcie edukacji szkolnej podnosił, iż ks. Rektor KUL zabiegał zawsze „o lepsze ludzkie jutro".

Ciśnie się na usta pytanie: A dla kogo to lepsze jutro widzi seksuolog i pedagog prof. Izdebski? Dla zdeprawowanych małoletnich dzieci? Dla ich rodziców? Dla społeczeństwa? A co dla gorszycieli, dla tych, o których czytamy w Ewangelii?

Z poważaniem
Teresa Thiel-Ornass,
sędzia Sądu Okręgowego w Gdańsku
w stanie spoczynku

eprasa.pl acb5eb45c8

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Specraport, czyli pośredni dowód uznania

Od inauguracji kampanii Karola Nawrockiego minęły dwa tygodnie, a obóz antykaczyzmu wciąż nie jest w stanie uzgodnić między sobą spójnej taktyki przeciw nielubianemu kandydatowi. Na początku próbowano zdyskredytować śmiałka z Gdańska poprzez podkreślanie, że jest „pacynką prezesa". Stąd krótkotrwała kariera w sieci określenia „Karol Nowogrodzki". Gdy to nie chwyciło, internetowa sfora Silnych Razem zaczęła upominać wszystkich, by nie nagłaśniać zbytnio nazwiska i używać jedynie epitetów „alfons", „gangus", „pan bokser" i „ten, co trzyma z kryminalistami". Wreszcie Onet ogłosił, że dotarł do raportu na temat domniemanych znajomości Nawrockiego z gdańskim półświatkiem.

Nie wiadomo, kto ów raport sporządził. Jedni wskazują na niechętne Nawrockiemu kręgi w PiS, inni na środowisko Sławomira Mentzena – kandydata Konfederacji. Jak prostolinijnie wyjaśniła „Wyborcza": „Nie znamy autorów raportu, a publikując go, nie przesądzamy, czy wszystkie zawarte w nim dane są prawdziwe". Jedynym uzasadnieniem dla publikacji raportu był dla Onetu i dziennika z Czeskiej ogłaszany bez jakichkolwiek dowodów argument, że tekst miał trafić na biurko Jarosława Kaczyńskiego. Krótko mówiąc, media kibicujące PO przyjęły zasadę: publikujemy insynuacje, ale nie orzekamy, czy to prawda.

Platforma długo się wahała, co robić. Trochę niezręcznie było grać raportem anonimem, ale chęć zaatakowania Nawrockiego okazała się nie do zwalczenia. Do boju wysłano z zadaniem „sprawdzania informacji z raportu" duet posłów Michał Szczerba i Dariusz Joński. Obaj posłowie mają nawet w samej Platformie status politycznych komediantów. Tym bardziej że w 2021 r., przed objęciem funkcji szefa IPN, Nawrocki przeszedł już wymaganą przez przepisy rygorystyczną kontrolę służb specjalnych.

Wreszcie, gdy się okazało, że raport nie wstrząsnął Polską, zaczęły się medialne jeremiady, że cała sprawa tylko wzmocniła Nawrockiego. W „Rzeczpospolitej" Estera Flieger biadała: „KO weszła w raport o Nawrockim jak w masło. Tak jak mógłby chcieć tego Kaczyński. Dla PiS trudniejsza byłaby sytuacja odwrotna. Koalicja Obywatelska skoncentrowana na tym, co może zaproponować Polakom, okazałaby się wymagającym rywalem. Tymczasem KO grzęźnie w pliku niejasnej proweniencji".

Cały ten polityczno-medialny cyrk przyniósł jeden nieoczkiwany efekt. Przekonał wiele osób, że koalicja 13 grudnia i jej medialni akolici bardzo serio przyjęli wejście na arenę Karola Nawrockiego. Mający wstrząsnąć Polską raport okazał się mokrym kapiszonem. Obóz „demokracji walczącej" poszuka pewnie czegoś nowego. ©℗

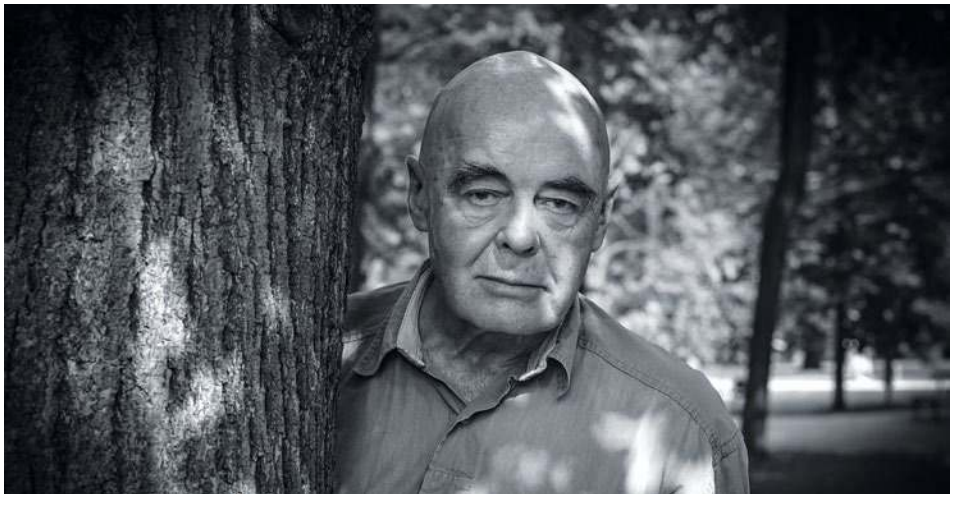

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK

NIE ŻYJE STANISŁAW TYM

W wieku 87 lat zmarł Stanisław Tym – autor wielu sztuk teatralnych i słuchowisk radiowych, aktor znany z takich kultowych filmów jak „Rejs", „Miś" i „Rozmowy kontrolowane". Urodził się 17 lipca 1937 r. w Małkini. Studiował na Politechnice Warszawskiej i w SGGW, aż odnalazł powołanie na Wydziale Aktorskim PWST. Współpracował z redakcjami „Wprost", „Rzeczpospolitej" i „Polityki". Laureat m.in. Nagrody Kisiela. W 2004 r. został też odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. *(jap)* ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

dwaj panowie g

Jak słyszeliśmy, ale w co oczywiście zupełnie nie wierzymy, w siedzibie Prokuratury Krajowej przy ul. Postępu nieoficjalnie otwarto filię sztabu wyborczego Rafała Trzaskowskiego. Polecenie przyszło z samej góry: aż do wyborów prezydenckich co tydzień prokuratorzy mają urządzać pokazuchy wymierzone w PiS. Zaczęto od Rydzyka i Olgierda N. Jednocześnie prokuratorzy zostali uczuleni, że sprawy mają się toczyć i toczyć, ale niekoniecznie kończyć aktami oskarżenia – a już na pewno nie przed majem.

Na tym nie koniec. Wiewiórki mówią, że zadbano również, by wybrani redaktorzy zaprzyjaźnionej stacji telewizyjnej mieli dostęp do informacji ze śledztw. Dano bowiem śledczym do zrozumienia, że nikt nie będzie ich ścigał za przecieki. Wręcz przeciwnie. Oczywiście pod warunkiem, że powstające publikacje prasowe będą po linii.

Nie wiadomo jednak, jak długo to potrwa. Po mieście latają bowiem plotki o opyleniu pewnej czołowej stacji telewizyjnej na rzecz kapitału węgierskiego. Uczulamy kolegów, że język węgierski jest dość trudny. I tak np. „Dzień dobry" to „Jó napot", ale dla ich śniadaniówki właściwszym będzie „Jó reggelt", którego to zwrotu używa się u Madziarów o poranku.

Od razu podpowiadamy pomysł na program: warto byłoby zorganizować galę pięściarską, na której Karol Tadeusz zmierzy rękawice z Jackiem Jaśkowiakiem. Dlaczego nie z Rafciem Trzaskowskim? Rafciowi urwałby głowę, a Jaśkowiak to przynajmniej też bokser. Aha, jeszcze nazwa: „Taniec w ringu z gwiazdami".

Tak czy inaczej warto śledzić media choćby po to, by obserwować, co dalej będzie działo się z aferą Collegium Humanum. Wiewiórki ćwierkają bowiem, że lista PiS-owców i konfederatów, których można do niej przykleić, szybko się wyczerpuje. Za to lista absolwentów z Platformy i okolic jest bardzo długa, zwłaszcza wśród burmistrzów i radnych. No i co tu robić? Wygaszać aferę? Przecież dobra afera to czyste złoto. A już Zbigniew Herbert pisał: „Zakopać cara ze złotym tronem – żal".

Wracając do wyborów – wiewiórki twierdzą, że kandydatura Karola Tadeusza Nawrockiego jest na serio i nie ma mowy o żadnej podmiance, zwłaszcza że wywołała w sztabie strony przeciwnej pewne zamieszanie. I dobrze. My natomiast chcemy wyjaśnić zamieszanie wokół tatuaży Karola Tadeusza. Bo jedni mówią, że ma takie, a inni – że inne. Otóż ma i takie, i takie. Są futbolowe, ale jest też choćby „Jezu, ufam Tobie". Rafcia Kazimierza Trzaskowskiego pytamy: Czy byłby skłonny wydziarać sobie choć słowa „Geremek jest moim pasterzem"?

Dwa słowa o niedoszłym kandydacie. Dominik Tarczyński zwany Jenotem udzielił youtuberowi obszernego wywiadu. Stwierdził, że na przeszkodzie jego startu w wyborach prezydenckich stanęło to, że nie ma żony, a nie zamierzał się wiązać sakramentem jedynie z powodów korzyści politycznych. To może ujawnijmy. Jak twierdzi jedna z naszych wiewiórek, Jenot był już związany węzłem sakramentalnym. Jakieś 20 lat temu. Ślub wziął w Lublinie, w kościele na Poczekajce. Jeden z Panów G. dobrze zna tę świątynię, bo akurat jego dziadkowie byli parafianami kapucynów opiekujących się tą świątynią. A nasza wiewiórka bawiła się nawet na weselu Jenota w zajeździe Jedlina w Motyczu Leśnym.

Skoro już ujawniliśmy, to dodamy trochę smacznych detali. Otóż weselisko było huczne. Jenot – a właściwie jego rodzina – miał gest. Żeby uczcić wejście do rodziny panny młodej o imieniu Anita (nazwisko panieńskie do wiadomości redakcji), Tarczyńscy opylili kamienicę znajdującą się w podlubelskim miasteczku Bełżyce (stojącą nie byle gdzie, bo przy samym rynku). Małżeństwo jednak niestety nie przetrwało próby czasu. A konkretnie nie przerwało czasu, kiedy Tarczyński został szefem oddziału TVP w Kielcach, co miało miejsce w roku 2009. Ale to już zupełnie inna historia, którą być może kiedyś wam opowiemy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Bruksela. Jedna z europosłanek postawiła przed swymi asystentami niełatwe zadanie. Chodzi o prowadzenie rejestru restauracji. Nie chodzi o to, że jest pamiętliwa, lecz o to, by unikać ponownego jedzenia w tym samym miejscu. My to rozumiemy. Świat jest zbyt wielki i zbyt piękny, by rezygnować z jego uroków. Poza tym w ten sposób można podczas jednej kadencji obskoczyć z tysiąc restauracji w Brukseli i Strasburgu. Nawet Makłowicz przy tym wysiada.

À propos jedzenia. Dostaliśmy fotkę z Ministerstwa Sprawiedliwości, a konkretnie z tamtejszej stołówki. Widać na nim panią wydającą posiłki. Niby nic, gdyby nie to, że pani jest w hidżabie. Na szczęście okazało się, że nadal serwowana jest wieprzowina. No chyba że udało się wyhodować świnie, które są halal. Nie zdziwiłoby to nas. Wszak swego czasu media światowe obiegła informacja o wyhodowaniu koszernej świni. Od siebie dodamy, że kiedyś na własne oczy w Pile, a konkretnie w budynku, w którym mieściło się biuro poselskie Adama Szejnfelda, widzieliśmy w menu schab po żydowsku.

Ponownie Bruksela. W tym tygodniu przyjedzie do Parlamentu Europejskiego cyrk. Nie, nie chodzi o demonstrację cyrkowców przeciwko jakimś bzdurnym regulacjom unijnym czy odebraniu dopłat do namiotów cyrkowych. Będzie to prawdziwy cyrk, który ma dać prawdziwe przedstawienie, aby ciężko pracujący europosłowie mogli choć na chwilę się rozweselić i zapomnieć o smutnym świecie, głodowej pensji i Donaldzie Trumpie. Liczymy na lwy i tygrysy, babę z brodą chyba już jakąś w europarlamencie mają. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wycieraczka Kaczyńskiego

Ekipa Tuska nie robi niczego poza „rozliczaniem PiS", a i to rozliczanie jest coraz głupsze i bardziej groteskowe. Zaczęło się od zapowiedzi, że wszystkich „pisowców" powsadzają do więzienia. Ale osadzenie kogoś w więzieniu to jednak skomplikowana sprawa. Trzeba przygotować spójny akt oskarżenia, a prokuraturę rozpirzył Bodnar na dzień dobry. Trzeba uznania tego aktu przez sąd i wyroku, a sądy sparaliżował zaraz po prokuraturze… Słowem: udało się zamknąć Kamińskiego i Wąsika, ale zaraz trzeba było ich wypuścić. No to wymyślili: powsadzamy ich do aresztów tymczasowych – tu wystarczą jako takie zarzuty, choćby na kolanie, i jeden „nasz" sędzia do ich klepnięcia. Ale też nie wyszło, bo orły z PO-prokuratury zapomniały o immunitetach, a zarzuty skleciły tak żałosne, że w końcu nawet te płotki, które zatrzymano w areszcie, też trzeba było wypuścić.

No to – uznali Tuskowi „rozliczacze" – przynajmniej użyjmy policji, żeby jakiegoś pisowca „doprowadzić" przed sejmową komisję do spraw rozliczania. Tak się na to doprowadzanie napalili, że wysyłając po kilkadziesiąt antypisowskich tweetów na godzinę, nie pomyśleli o przygotowaniu jakichś pytań, którymi by przygwoździli doprowadzonego – tak że to on przed kamerami ośmieszył „rozliczającą go" komisję i wytarł nią podłogę; zresztą nie on pierwszy.

No to pojawił się inny pomysł: zabierzemy immunitet Kaczyńskiemu. Za to, że dał się sprowokować jakiemuś szemranemu „aktywiście" obrażającemu jego brata (wreszcie jakiś sukces!). Ale i tu, zdaje się, lipa – jak mówił Tusk junior. Bo koalicjant zapowiedział, że w taką hucpę to nie pójdzie i nie zagłosuje, jak Tusk każe – aż sam Tusk po nocy musiał tweetować i straszyć, że rozliczanie PiS jest über alles i jak koalicjant blokuje, to sam rozliczon będzie! Szczerze mówiąc – jeśli tak, jak „rozlicza" Tusk PiS, to ja bym się na miejscu koalicjanta nie bał.

Nie chcę podpowiadać, ale wśród różnych sławnych akcji SB było wysyłanie funkcjonariuszy, by, za przeproszeniem, robili działaczom KOR na wycieraczki. Może przynajmniej to się Tuskowym uda? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pytania do kandydatów

Oczywiście – do kandydatów zabiegających o poparcie opinii katolickiej i konserwatywnej, konkretnie do Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena. Pytania nie o całość problematyki, ale o kwestie podstawowe i konkretne, bo – nienowe. Pytania o dobrą zmianę, a więc o proste postulaty, których nie podjął prezydent Andrzej Duda.

Czy będą Panowie orędownikami przyjęcia Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny? Projekt konwencji został przekazany władzom Rzeczypospolitej, spotkał się z werbalnym uznaniem i nawet został przez premiera Morawieckiego skierowany cztery lata temu do prac w MSZ – i na tym sprawa się skończyła. Nie został już potem w ogóle podniesiony nie tylko na forum międzynarodowym, lecz także nawet narodowym. Mimo że potrzebna jest polska polityka praw człowieka – definiująca na planie międzynarodowym prawo do życia i prawa rodziny. Prawda?

Czy będą Panowie przypominać rządowi, parlamentowi i partiom politycznym obowiązywalność Orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja 1997 r., które stwierdziło, że efektywna ochrona życia od poczęcia, w każdej jego fazie, jest koniecznym warunkiem praworządnego charakteru demokracji, państwa prawa? Czy są Panowie gotowi w sytuacjach koniecznych zwoływać w tej sprawie Radę Gabinetową oraz zwracać się bezpośrednio do parlamentu? Czy będą Panowie zwracać się z corocznym orędziem do narodu w Narodowy Dzień Życia, dokumentując zaangażowanie Rzeczypospolitej na rzecz cywilizacji życia? Jak napisałem – nie pytam o ogólne intencje, bo z pewnością mają Panowie najlepsze. Pytam o zaangażowanie, o gotowość podejmowania spraw i inicjatyw, które mogą zmieniać życie społeczne i opinię międzynarodową. I o postulaty minimalne, które i tak okazały się za trudne dla tych, do których je do tej pory adresowano. Mam nadzieję, że będą proste dla Panów.

Z najlepszymi życzeniami powodzenia! ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zmuszanych do rabunku

Późną nocą 24 listopada w Corvetto na peryferiach Mediolanu dwóch młodzieńców na skuterze nie zatrzymało się do policyjnej kontroli. Ruszył pościg. Osiem kilometrów dalej pędzący skuter wpadł na mur. Pasażer bez kasku, 18-letni Ramy Elgami, syn egipskich migrantów, zginął na miejscu. Jego przyjaciel Fares Bouzidi odniósł poważne obrażenia. W plecaku chłopców zaleziono spray z gazem pieprzowym, 1 tys. euro, nóż sprężynowy i uszkodzony złoty łańcuszek, zapewne zerwany komuś z szyi.

W Corvetto rozpętało się piekło. Ktoś rozpuścił plotkę, że kierowca policyjnego auta celowo uderzył w skuter i dlatego doszło do tragedii. Dwa dni trwały zamieszki i festiwal wandalizmu pod hasłem: „Mord policyjny", „Chcemy sprawiedliwości i prawdy", „Winni muszą zapłacić". Tragedia przez kilkanaście dni była wiodącym tematem telewizyjnych dyskusji. Polemiki ciągnęły się również całymi stronami włoskich gazet.

Postępowe damy i zafrasowani postępowcy wywodzili, że policja chciała zatrzymać skuter z powodów rasistowskich. Bardzo wygadany młodzieniec, też syn egipskich migrantów z Corvetto, powiedział w telewizji RAI, że prowadzący skuter nie zatrzymał się, bo nie miał prawa jazdy i trzeba to zrozumieć. Dlaczego mieli nóż sprężynowy? „U nas każdy ma nóż, to normalne".

Oczywiście jest jasne, że chłopcy wybrali się na rabunek. Zapewne złoty łańcuszek i 1 tys. euro były łupem. Naturalnie padły oskarżenia, że wszystko jest winą prawicowego rządu, który lekceważy ponury los migranckich rodzin w Corvetto.

Może pamiętacie? Kilka miesięcy temu pisałem wam o nauczycielce Ilarii Salis. Jako antyfaszystka pojechała lać się z faszystami do Budapesztu i trafiła tam do więzienia. Radykalne włoskie ugrupowanie Sojusz Zielonych i Lewicy wciągnęło ją na swoje listy w wyborach do PE. Została wybrana, otrzymała immunitet, więc Węgrzy musieli puścić krewką antyfaszystkę wolno. Europosłanka Salis też użaliła się nad ciężkim losem obu rabusiów: „Żeby przeżyć, byli zmuszeni do rabowania złotych łańcuszków". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl acb5eb45c8

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

SZACUNKU NIE STWIERDZONO

Wszyscy prawie już zapomnieli, kim jest Daniel Martyniuk. Prawie, bo syn gwiazdora disco polo Zenona Martyniuka uznał, że czas o sobie przypomnieć. I to w sposób, który nie budzi pozytywnych emocji. Znany z ekscesów i skandali 35-latek udostępnił dziwne (wielu twierdzi, że niezbyt „trzeźwe") nagranie. – Cześć, kochany tatusiu. Życzę ci więcej takich koleżków, wszyscy, którzy na tobie zbijają hajs, i tej całej reszty, a o synu zapominasz. Pozdrawiam cię! – mówi sarkastycznie, zwracając się do ojca. – Dawaj jeszcze innym wszystkim, żeby wszyscy mieli super, tylko twój własny syn nic nie miał. Dawaj jeszcze... F.ck you! – wypalił na InstaStory. To nie koniec. W kolejnej relacji kazał Zenonowi „zapchać się" pieniędzmi, a następnie pokazał środkowy palec. Co na to rodzice młodego Martyniuka? Wokalista nie komentuje, ale za to jego żona, Danuta, chyba ma już dość wybryków jedynaka. Wcześniej broniła karygodnych zachowań syna. – Daniel wszystko dostał od Zenka: dwa drogie samochody – porsche i mercedesa, mieszkanie dwupoziomowe, ponad 100 mkw., mąż daje mu pieniądze co miesiąc, robi za niego opłaty, bo przecież Daniel nie ma pieniędzy – wyjaśniła w mediach. Pytana przez portal Pudelek, co takiego się wydarzyło, że jej syn zdecydował się opublikować nagranie, odpowiedziała: „Nie wiem, skąd takie nagranie u niego, jego trzeba leczyć. Wczoraj zadzwonił do mnie, wyzwał mnie i powiedział, że pod domem ma stać lamborghini". Autentycznie szkoda Martyniuków. Można dać dziecku wszystko, a to i tak czasami za mało, by zyskać jego szacunek.

FOT. FORUM

GŁUPOTA NA ZIMNO

Niektórym brakuje szacunku do rodziców, a innym do samych siebie. „Król polskiego Internetu", czyli Karol „Friz" Wiśniewski, przygotował nowy program. Format „Challenger" polega na rywalizacji influencerów w często dość ekstremalnych konkurencjach. Nagroda jest kusząca – to aż 200 tys. zł. W jednym z nowych odcinków uczestnicy musieli zanurzyć się w basenie wypełnionym lodowatą wodą z kostkami lodu. Rywalizacja była tak zacięta, że doszło do poważnego zagrożenia zdrowia niektórych. Konieczna była interwencja ratowników. „Dominik Stokłosa, znany jako Mokry Suchar, który wytrzymał w lodowatym basenie aż godzinę, opuścił go o własnych siłach. Friz po godzinie nie czuł już nóg. Konieczna okazała się pomoc ratowników, lecz w najgorszym stanie po wykonaniu zadania był Jay Dąbrowski. Choć również wytrzymał godzinę, to wychłodzenie organizmu sprawiło, że po wyjściu trząsł się, stękał z bólu i nie był w stanie się uspokoić" – relacjonują media. Na szczęście zdecydowana większość internautów nie kryje oburzenia tego rodzaju „zabawami". Oburzona jest też Karolina Korwin-Piotrowska. „To są podobno idole. Ja rozumiem, że ktoś jest niepełnosprawny intelektualnie, że ma chorobliwe parcie na lajki, zdarza się, medycyna zna takie przypadki, kiedyś ekshibicjonistów leczono, dzisiaj są milionerami z YT, ale wciągać w to innych? Czy ktoś kontroluje tego typu challenge? Czy byle patologia może sobie to robić i filmować, zarabiać na tym? I czy ktoś mi wytłumaczy, czym to się różni od patologii we freak fightach? Coś mnie ominęło?" – pyta ekspertka do spraw celebrytów. Nie, nic pani nie ominęło. To prawie taka sama patologia. No, może trochę mniej przeklinają. I nie okładają się po twarzach.

PROBLEMY Z GNOMEM

Władysław O., „Crawly", czyli patoinfluencer z Ukrainy, w końcu się doigrał. Człowiek, który utrudniał swoimi happeningami działalność sklepów w stołecznych galeriach handlowych (wpadał do nich wraz z grupą swoich fanów; wszyscy w przebraniach skrzatów), został wydalony z Polski. Czarę goryczy przelała akcja skakania po samochodach na parkingu. Polscy internauci od dawna apelowali, aby państwo zrobiło z „Crawlym" porządek. Rzecznik szefa MSWiA Jacek Dobrzyński poinformował, że „zatrzymany przez policjantów z Komendy Stołecznej Policji i funkcjonariuszy Straży Granicznej patostreamer Crawly – Vladyslav O. – decyzją ministra spraw wewnętrznych i administracji na wniosek szefa ABW na podstawie rejestracji w SIS wrócił już na Ukrainę". Mężczyzna dostał 10-letni zakaz wjazdu do strefy Schengen. Sam „Crawly" jest oburzony i... grozi polskim władzom sądem. „Wszelkie oskarżenia ze strony polskich władz, że rzekomo realizuję »misję destabilizacji sytuacji w kraju«, a także oskarżenia, że niby jestem rosyjskim szpiegiem, zostaną zakwestionowane przeze mnie i moich prawników w sądzie, gdyż są one oszczerstwem, pomówieniem i nie mają żadnych podstaw" – czytamy w wydanym przez Władysława O. oświadczeniu. Ukrainiec stwierdził, że „od czasów PRL wolność słowa w Polsce nie była tak zagrożona", oraz sugeruje, że jego deportacja to dowód na to, iż „władze próbują kontrolować Internet i tłumić swobodę wyrażania opinii". Gnomie, nikt za tobą nie tęskni. Nie wracaj. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niestety jako państwo mimo wszystko wciąż nie możemy w pewnych sprawach osiągnąć takiej dojrzałości i empatii, jakiej byśmy oczekiwali jako ta rozsądniejsza i bardziej postępowa część społeczeństwa.

Otósh co chwilę czytamy informacje o przedłużeniu urlopu macierzyńskiego, przywilejach dla rodziców dzieci itd. Ale nikt nie zastanawia się nad tym, jakie są realne potrzeby osób rodzicielskich, które zdecydowały się na adopciny psiecka.

Przecież małe psiecko potrzebuje uwagi i czasu ze strony swoich opiekunów, tak iżby mogło się harmonijnie i szczęśliwie rozwijać. Dlaczego więc nikt nie pomyślał o tym, iżby odpowiednie regulacje prawne mogły przyczynić się do tego, iżby psieci mogły się cieszyć szczęśliwym psiecińskiem?

Niestety, do trendu coraz powszechniejszego przywiązania do swoich osób zwierzęcych ze strony osób wybierających alternatywne modele rodzicielstwa nie są w stanie dostosować się ani pracodawcy, ani – co mówimy ze smutkiem – rząd (chociaż of kors pamiętamy, iż rząd ma ciągle na karku Kaczafiego).

Prosty przykład z naszego korpo: kiedy jakaś waginoosoba dostaje telefon z przedszkola, iż jej osobodziecko źle się czuje i trzeba je zabrać do domu, to nie ma absolutnie żadnego problemu z takim spontanicznym dniem wolnym.

Kiedy natomiast ktoś usiłował Nowemu z Tarnowa zgłosić, iż psiecko przeżywa lęk separacyjny i cały dzień rozpaczliwie ujada pod drzwiami, więc potrzebne

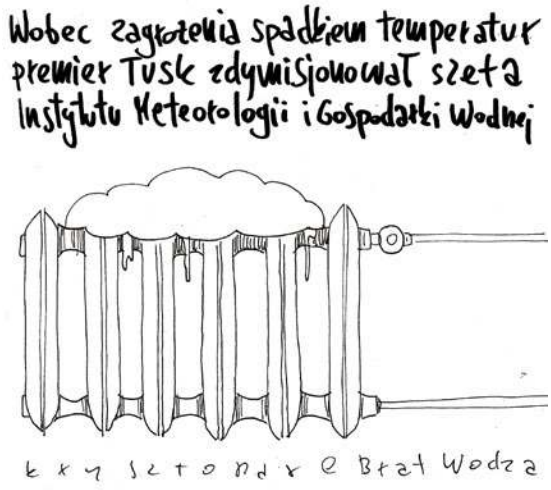

jest osobie pracowniczej psychiatryczne L4 do opieki nad nim, to Nowy się tylko popukał w czoło i kazał iść do psiego behawiorysty. Który oczywiście jest w pełni płatny, nie przysługują na niego żadne dofinansowania ani nic.

Niestety, opiekunowie psieci pozostają często sami ze swoimi problemami. Nie ma żadnych zasiłków z okazji rocznicy adopcin, nie ma dodatków na wyprawki, dni wolnych w korpo ani nic, co przysługuje tym, którzy zdecydowali się na opiekę nad dziećmi ludzkimi.

Jest to z naszego punktu widzenia sytuacja frustrująca, iż jako kolektyw równościowy, o czym sami wiecie, od dawna domagamy się zrównania praw osób ludzkich i zwierzęcych oraz większego stopnia poszanowania dla różnych postaw rodzicielskich w przestrzeni publicznej.

W niecierpliwym oczekiwaniu na prezentację kandydata polskiej lewicy na prezydenta tak się nam jakoś pomyślało, dlaczego w sumie urząd prezydenta ma być jednoosobowy. To nam się wydaje miałkie zwłaszcza w czasach, kiedy nawet Kościół coraz więcej mówi o synodalności.

Tak sobie myślimy, iż skoro np. niektóre środowiska (jak polska lewica właśnie) mają nadmiar dobrych kandydatów i nie mogą się zdecydować tylko na jednego, to dlaczego nie mogłyby wystawić kandydata na prezydencie (neutralnie!) kolektywne lub rotacyjne.

Jesteśmy w stanie wyobrazić sobie sytuację, kiedy kilka osób wzajemnie uzupełnia swoje talenty i możliwości, a jedna osoba ze swoimi ograniczeniami i problemami mogłaby sobie z kolei nie poradzić z każdym wyzwaniem, któremu musiałoby stawić czoła prezydencie.

Liczymy na to, iż ktoś decyzyjny to przeczyta i faktycznie uda się zmienić ordynację wyborczą tak, iżby umożliwić start w nadchodzących wyborach także kolektywom, a nie wyłącznie neoliberalnym osobom fizycznym. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Szczerość i prawdomówność

Mateusz, za tym raportem o Karolu to ty stoisz. I nie mów, że nie.
Nie, Przemek, nie stoję.

Przecież wszyscy to wiedzą.
Nie wszyscy. Ja nie wiem.

Pode mną kopałeś dołki od początku, a jak kandydatem został Karol, to teraz kopiesz pod nim.
Ja nie wiem, o czym ty do mnie mówisz. Poza tym sam mówiłeś, że nie chciałeś być kandydatem. Więc o co pretensje?

Czy ja mam pretensje? Pytam tylko.
Ja się nie kryję: jeśli Polska zawezwie, to stanę do boju.

To w tobie zawsze ceniłem: szczerość i prawdomówność. Legendarne. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zwiększa się impuls konsumpcyjny".

ANDRZEJ SZEJNA, *wiceminister spraw zagranicznych, w RMF FM o pozytywnej stronie tzw. chwilówek*

eprasa.pl acb5eb45c8

prasa.pl/archiwalia

FOT. AURELIEN MORISSARD/XINHUA NEWS/EAST NEWS

POLITYCZNE TRZĘSIENIE ZIEMI WE FRANCJI

Szef francuskiego rządu 73-letni Michel Barnier przejdzie do historii jako premier, którego gabinet został odwołany zaledwie po 91 dniach urzędowania. Tym samym była to jak dotąd najkrótsza kadencja w historii V Republiki.

Jednocześnie to pierwszy przypadek od 1962 r., gdy rząd w Paryżu zostaje zmuszony do dymisji w wyniku głosowania nad wotum nieufności. W środę za pozbawieniem posady szefa centroprawicowego rządu zagłosowało aż 331 członków Zgromadzenia Narodowego (tymczasem do obalenia rządu wystarczyłoby 289 głosów w 577-miejscowej niższej izbie parlamentu).

Upadek rządu sprawił, że Francja pogrążyła się w politycznym kryzysie. Żadna partia nie ma bowiem obecnie w parlamencie wystarczającej liczby własnych posłów, aby móc sformować rząd większości lub przynajmniej przetrwać podobne głosowanie nad wotum nieufności. Parlamentarzyści mogą więc odrzucać kolejnych kandydatów wskazywanych przez prezydenta Emmanuela Macrona. Już latem obecnego roku światowe media pisały o największym kryzysie we Francji od 1946 r., gdyż prezydent od 7 lipca (gdy zakończyły się przyspieszone wybory) aż do września nie był w stanie znaleźć nowego premiera kraju.

Jest więc bardzo prawdopodobne, że Francja wkroczy w rok 2025 zarówno bez rządu, jak i bez budżetu. Tymczasem Francja powinna pilnie zacisnąć pasa. Deficyt budżetowy w tym kraju szacowany jest w 2024 r. na 6,1 proc. PKB, tymczasem zgodnie z unijnymi zasadami nie powinien przekraczać poziomu 3 proc. Zupełnie nowe polityczne rozdanie na razie nie wchodzi zaś w grę, ponieważ zgodnie z francuskim prawem prezydent nie może ogłosić nowych wyborów parlamentarnych wcześniej niż w lipcu 2025 r. (czyli rok po ostatnich przedterminowych wyborach). ***(jap)*** © ℗

Przerażeni

Rafał A. Ziemkiewicz

Przywykliśmy wszyscy kojarzyć pojęcie „teorie spiskowe" z obskurantyzmem i nieuctwem. Jednak w przeszłości bywało, że kuriozalne opowieści o tajnych zmowach płynęły z samej góry i były podchwytywane przez wykształconą klasę panującą. Teraz to zjawisko wróciło. A świadczy o tym choćby najnowsza książka Anne Applebaum

Widmo krąży po Europie i Ameryce – chciałoby się sparafrazować klasyków. Widmo ciężarnej zakonnicy przejechanej na pasach. To znaczy tak za sprawą sławnej fanfaronady Adama Michnika podczas kampanii prezydenckiej Bronisława Komorowskiego manifestuje się ono w Polsce. Bo – jak to widmo – w różnych krajach przybiera różne formy. Ale istota sprawy jest wszędzie ta sama: ludzie nie chcą słuchać autorytetów, nie chcą głosować na polityków przez autorytety wskazanych, odrzucają establishment „po całości". Co jeszcze do niedawna imponowało – przestaje imponować. Co budziło szacunek – nie budzi. Co zawstydzało – odbija się od bezwstydnego „a nie!". „Do czego to wszystko prowadzi?!" – pytają siebie nawzajem, jak przed dwoma stuleciami, „dobrze urodzeni", nie mogąc zrozumieć, co się dzieje. I, starając się jakoś sobie widmo zracjonalizować, brną w zachowania coraz głupsze i bardziej groteskowe.

A przecież… „W wyborze Donalda Trumpa nie chodziło o Trumpa. Był to środkowy palec skierowany w twarz amerykańskiej klasy rządzącej" – podsumował poprzednie zwycięstwo wyborcze ambitnego miliardera Tucker Carlson w wydanej pięć lat temu książce „Ship of Fools". „Gest pogardy, krzyk wściekłości, ostateczny efekt samolubnych i głupich decyzji podejmowanych przez dziesięciolecia przez egocentrycznych i błazeńskich przywódców. Trumpów nie wybierają szczęśliwe społeczeństwa, tylko zdesperowane".

Carlson nie jest w swych obserwacjach wnikliwy, nie opiera się na danych

eprasa.pl acb5eb45c8

Uroczystość nadania tytułów doktora honoris causa UMCS Anne Applebaum (pierwsza od lewej), Agnieszce Holland (w środku) i Oldze Tokarczuk (pierwsza od prawej), Lublin, 25 listopada 2024 r.
FOT. KRZYSZTOF RADZKI/EAST NEWS

dostarczanych przez nauki społeczne, tylko na prostych obserwacjach i intuicji. Nie jest badaczem, jedynie komentatorem obdarzonym decydującym w tej branży talentem: „Pan redaktor powiedział właśnie to, co mi od dawna chodziło po głowie, tylko nie umiałem tego wyrazić". Ale jego diagnoza i tak bije swą głębią na głowę wszystko, co na temat zachodzącej w zachodnim świecie zmiany mają do powiedzenia tzw. liberalne elity.

LISTA LEKTUR

Zresztą nie trzeba długo przeszukiwać księgarskich katalogów, żeby natknąć się na poważniejsze analizy przyczyn wielkiej zmiany, osadzone w bogatej faktografii, badaniach i przypisach. Joel Kotkin zdiagnozował system zdominowany przez wielkie korporacje jako „neofeudalizm", co mocno ostatnio pogłębił Yanis Varoufakis książką „Technofeudalizm". Slavoj Žižek już spory czas temu w „Rewolucji u bram" zastosował do „turbokapitalizmu" (określenie Edwarda Luttwaka) narzędzia analizy Marksa i to, co wydawało się anachronizmem, pozwoliło mu sformułować kilka tez, jak się okazało, proroczych. Zmarły niedawno Philip Zimbardo opisał bardzo ciekawie skutki, które przyniósł społeczeństwu amerykańskiemu upadek „patriarchatu" i wzorca męskiego; Jonathan Haidt w serii prac – skutki zmiany modeli edukacyjnych i upowszechnienia „mediów społecznościowych"; James Lyndsay i Helen Pluckrose w „Cynical Theories" – degenerację świata uniwersyteckiego. Najwięcej pisze się o skutkach rozrostu potęgi wielkich korporacji („Saving capitalism" Roberta Reicha), degeneracji świata finansów („Kamerdyner świata" Josepha Bullougha), „wrogim przejęciu" instytucji demokratycznych przez plutokrację (Vivek Ramaswamy „Capitalist Punishment"), „uberyzacji" pracy („Człowiek, który zniszczył kapitalizm" Davida Gellesa), rewolucji surowcowej („Nowa mapa" Daniela Yergina, „Wojna o metale rzadkie" Guillaume'a Pitrona)…

Można by tę listę dłużyć przez wiele stron, przywołując analizy inspirowane myślą lewicową i prawicową albo odżegnujące się od jednej i drugiej, uniwersyteckie i dziennikarskie (wiele świetnych reportaży dokumentujących ubożenie Ameryki, upadek „pasa rdzy" i narastający gniew „bidoków"). Wszystkie te książki i wiele innych zdobyły uznanie w obiegu naukowym, dobre recenzje, niektóre nawet trafiły na listę bestsellerów „The New York Times"… I nic. Cała zawarta w nich wiedza spłynęła po amerykańskiej i światowej lewicowo-liberalnej elicie jak woda po kaczce.

Można rzec: ależ to zupełnie jak w Polsce! Po roku 2015, roku podwójnego zwycięstwa PiS, dwóch lewicowych socjologów, Maciej Gdula i Przemysław Sadura, wykonało znakomitą pracę w miejscowości, która gremialnie zagłosowała na PiS, badając motywacje jego wyborców. Powstała w ten sposób książka dowodząca, że sukces partii Jarosława Kaczyńskiego miał bardzo realne społeczne podstawy, i objaśniająca jakie. Ustalenia autorów też w żaden sposób nie przebiły się do świadomości tutejszych „elit", które wolały sobie opowiadać o „populistach" i, w ślad za samym zainteresowanym, biadolić,

W rzeczy samej cała intelektualna zawartość eseju i książki Applebaum mieści się w jednym zdaniu: „Przyszli populiści i nakłamali, a wyborcy im wierzą" (bo są – można uzupełnić głośnymi słowami Hillary Clinton o głosujących na jej przeciwnika – „ludźmi godnymi pożałowania")

jak brutalnie i nikczemnie atakowali oni w kampanii wyborczej Bronisława Komorowskiego. Jego „wyjaśnienia" przyczyn upokarzającej klęski, nawiasem mówiąc, do złudzenia przypominały to, co za oceanem mówiła i pisała Hillary Clinton.

Nastroje panujące zarówno na amerykańskich, jak i polskich salonach oddała w wielu publikacjach autorka „The Atlantic", Anne Applebaum. „Brawurowy esej, który zachwycił Baracka Obamę" – reklamowała „Gazeta Wyborcza" tekst, który potem rozwinięty został do rozmiarów książki „Zmierzch demokracji", z podtytułem: „Zwodniczy powab autorytaryzmu". Co zachwyciło byłego prezydenta USA? W rzeczy samej cała intelektualna zawartość eseju i książki mieści się w jednym zdaniu: „Przyszli populiści i nakłamali, a wyborcy im wierzą" (bo są – można uzupełnić głośnymi słowami Hillary Clinton o głosujących na jej przeciwnika – „ludźmi godnymi pożałowania"). Reszta to okrzyki oburzenia i wyrazy egzaltacji.

Dlaczego ekscentryczny miliarder Donald Trump, który nigdy nie pełnił żadnych funkcji publicznych i nie uczestniczył w polityce, ku zaskoczeniu świata zdobył najpierw republikańską nominację, a potem prezydenturę? Ponieważ zmyślił, jakoby Barack Obama nie urodził się na terenie USA, a więc był prezydentem nielegalnie. I to wystarczyło. Zdziwią się państwo? „Pas rdzy", technofeudalizm, zubożenie i rozwarstwienie materialne amerykańskiego społeczeństwa, kompromitacja „ekspertów", którzy w przededniu wielkiego krachu finansowego reklamowali maluczkim zadłużanie nieruchomości na „toksycznych" instrumentach finansowych,

eprasa.pl acb5eb45c8

szaleństwa wokeizmu – to wszystko nie miało znaczenia? W świetle „uczoności" Applebaum (określenie ambasadora Marka Brzezinskiego) – najmniejszego. Po prostu ludzie znudzili się wolnością, za dobrze im było i zapragnęli poczuć nad sobą bat, dlatego poszli za kłamcą serwującym im głodne kawałki o sfałszowanej metryce urodzenia Obamy.

Jako modelowy przykład „zwodniczego uroku autorytaryzmu" przedstawia „mistrzowsko rozumiejąca historię" autorka (określenie prof. Iwony Hofman z UMCS, użyte w laudacji, o której za chwilę) Polskę. W Polsce pomniejszy Trump, Jarosław Kaczyński, którego brat doprowadził do katastrofy, w której zginął wraz z liczną delegacją, zmyślił „zamach smoleński" i dlatego wygrał dwa razy wybory.

FSB PODRZUCIŁO „SZCZURA"

Pomińmy liczne kłamstwa Applebaum o przebiegu tragedii, zrozumiałe w jej sytuacji: ława oskarżonych w sprawie Smoleńska powinna być długa i ponadpartyjna, ale jeden człowiek powinien na niej zasiąść dwukrotnie – za zaniechania (co najmniej) popełnione najpierw jako minister rządu PiS, a potem jako minister rządu PO – i tak się składa, że tym człowiekiem jest jej mąż. Ale twierdzić, że swe podwójne zwycięstwo w 2015 r. – i ponowne w latach 2019 i 2020 – zawdzięcza PiS opowieści o zamachu w Smoleńsku? W ten zamach nie wierzy, według badań, połowa „żelaznego elektoratu" partii. W żadnej kampanii wyborczej PiS wątku Smoleńska nie podnosił, mimo że przeciwnicy usilnie starali się to sprowokować, a Antoni Macierewicz został w roku 2015 tak głęboko schowany, iż TVN24 musiała wysłać specjalną ekipę do USA, by wytropić go tam w jakiejś salce parafialnej przy polskim kościele w Chicago. Barack Obama ma prawo nic o tym nie wiedzieć, ale żaden Polak nie może zaprzeczyć, że Applebaum wypisuje po prostu bzdury.

Jednak te bzdury – w języku ambasadora Brzezinskiego i laudatorki z UMCS „uczoność, przenikliwość, głęboka wiedza i szczególne rozumienie historii" – bardzo się spodobały elitarnej publiczności. Autorka poszła więc w swych demaskacjach dalej. Trump zdobył władzę dzięki temu, że jego kłamstwa o Obamie pomógł mu upowszechnić Władimir Putin. Trump w ogóle jest agentem Putina, a co najmniej jego przyjacielem. Co więcej – w najnowszej książce odkrywa Applebaum kolejną warstwę „prawdy" o współczesnym świecie: Trump i Putin są tylko częścią większego spisku, światowej sieci dyktatorów. Xi Jingping, Kim Dzong Un, Nicolas Maduro, Alaksandr Łukaszenka – wszyscy oni spiskują z Trumpem i Putinem na zgubę wolnego, demokratycznego świata. „Uczoność" i „głębokie rozumienie historii" autorki nadal się zresztą pogłębiają, bo ostatnio zaliczyła ona do spisku także zblatowanych z dyktatorami miliarderów, na czele z Elonem Muskiem.

Jaki mają w tym interes? – spytajmy, bo przecież polityką światową, spiskami i porozumieniami jednych przeciwko drugim zwykle rządzą konkretne geopolityczne i finansowe interesy. Cóż, od Applebaum się tego nie dowiecie. Po prostu jako dyktatorzy (miliarderzy) poczuwają się do wspólnoty i chcą zniszczyć liberalną demokrację z czystej złośliwości, żeby nie kłuła w oczy swym dostatkiem i szczęściem, które zapewnia ludom Zachodu.

Nie miejsce tu na szczegółowe wyjaśnianie, w jaki sposób FSB podrzuciło amerykańskim liberałom „szczura" o rzekomym „russian collusion" – szczegółowo opisała to Jessikka Aro w książce „Trolle Putina" i tam odsyłam ciekawych. Faktem jest, że ci drudzy podchwycili intoksykację z zachwytem i doprowadzili do ustanowienia, celem zbadania domniemanego wpływu Rosji na kampanię i samego Trumpa, specjalnego prokuratora Roberta Muellera. Wyposażony w nieograniczone kompetencje Mueller, przy wsparciu kilkudziesięciu oddanych mu do dyspozycji agentów federalnych, przez dwa lata przekopał tysiące dokumentów, przeszukał kilkadziesiąt pomieszczeń, przesłuchał ponad 500 świadków i ostatecznie przekazał Departamentowi Stanu zwięzły raport konstatujący brak jakichkolwiek dowodów uprawdopodobniających stawiane prezydentowi USA zarzuty. Faktem jest też, że wszystko, co zdecydował Trump jako 45. prezydent USA – z zablokowaniem budowy Nord Stream 2 na czele – było sprzeczne z żywotnymi interesami Rosji, w przeciwieństwie do działań jego poprzednika i następcy, dążących do „resetu" z Moskwą.

Znów poszło coś nie tak. Elity „liberalnej demokracji" po raz kolejny okazały się bezradne wobec zachodzących zmian

W najmniejszym stopniu oczywiście nie przeszkadza to np. Adamowi Michnikowi lamentować w niedawnym wywiadzie dla Onetu, że teraz „Trump zadzwoni do swego przyjaciela Putina", by sprzedać mu Ukrainę. Po prostu Trump jest przyjacielem Putina, bo to wiadomo, tak jak wiadomo, że 4 tys. Żydów nie przyszło w dniu zamachu do WTC. „I żadne fakty tego nie zmienią" – by użyć niezapomnianej frazy dziennikarki TVN24.

Peter Turchin, autor świetnej książki „Czasy ostateczne", chyba z litości nie wymienia Applebaum z nazwiska, pisząc: „Jego [Trumpa] oszałamiająca wspinaczka na szczyt władzy była tak zdumiewająca, że […] wielu uwierzyło w teorię spiskową, według której wybór Donalda Trumpa był wynikiem rosyjskich machinacji. Nasze mózgi działają w taki sposób, że […] trudno jest nam pojąć, że do wielu istotnych wydarzeń dochodzi nie dlatego, że zostały zaaranżowane przez kryjących się w cieniu spiskowców, ale dlatego, że napędzają je bezosobowe siły społeczne. Aby zrozumieć przyczyny dojścia do władzy Trumpa – i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Ameryka jest w kryzysie – nie potrzebujemy teorii spiskowej, ale naukowej".

I Turchin taką teorię przedstawia: porównując procesy odrzucania panującego porządku społecznego w wiekach XVIII, XIX, XX i obecnie, nie stroniąc też od dalszych wycieczek w historię, formułuje tezę o „nadprodukcji elit". Jest to w gruncie rzeczy rozwinięcie i udowodnienie w nowy sposób starej zasady „krążenia elit", zwanej „regułą Pareta". Mówiąc najkrócej, jednym z warunków, żeby społeczeństwo dobrze funkcjonowało – obok m.in. względnie niewielkiego rozwarstwienia materialnego – jest drożność kanałów awansu społecznego dla wybitnych przedstawicieli niższych klas. To zaś wymaga również analogicznych kanałów „w dół" – przedstawiciele elit muszą być zagrożeni skuteczną degradacją, w wypadku gdy ich talenty i pracowitość nie odpowiadają wymogom ich pozycji. Niestety, ci, którzy są na górze, kumulując władzę i bogactwo, dążą zawsze do zapewnienia swoim pociotom,

eprasa.pl acb5eb45c8

klientom i kochankom uprzywilejowanej pozycji. Gdy im się to udaje, z jednej strony szeroko rozumiane elity kretynieją w samozachwycie oraz wzajemnej adoracji i tracą zdolność rozwiązywania, a z czasem nawet dostrzegania realnych problemów, z drugiej – „na dole" narasta ciśnienie zablokowanych w dążeniu do sukcesu jednostek, znacznie zdolniejszych niż ci, którzy zawdzięczają wpływy dziedziczeniu lub „układom". Siłą rzeczy zablokowani w awansie stają na czele narastającego niezadowolenia z nieudolnych rządów „krewnych i znajomych" i prędzej czy później – bum! – stara elita zostaje zmieciona.

Demokracja, w powszechnym przekonaniu, położyła kres tym cyklicznym kryzysom, trwale dając wszystkim równe szanse. Ale znowu w dziejach coś poszło nie tak. Elity „liberalnej demokracji", która miała być kolejnym „końcem historii", się zamknęły, zawłaszczyły szczyty społecznej hierarchii, a potem szybko skretyniały i okazały się bezradne wobec zachodzących zmian, wynikających z przemian technologicznych, demografii, ewolucji kapitalizmu i pazerności korporacji, uwolnionych przez te czynniki spod wszelkiej kontroli.

„Ta chwila napełnia mnie wdzięcznością – przemawiała Anne Applebaum w podziękowaniu za doktorat honoris causa, który za wszystkie wypisywane i wygadywane przez nią głupstwa wręczył jej właśnie, dla uczczenia swego 80-lecia, lubelski UMCS – z uwagi na to, co symbolizuje uniwersytet. Poszukiwanie prawdy, namysł nad przeszłością i projektowanie przeszłości – w czasach, gdzie prawda jest coraz częściej negowana lub negocjowana, rola uniwersytetu nabiera fundamentalnego znaczenia […]. Uniwersytety stają się oazami rozumu i szacunku dla rozumu. Są przystanią wolnych ludzi, którzy śmiało mierzą się z ideami, są redutą demokratycznego społeczeństwa".

Zatrzymajmy się nad tym wydarzeniem, gdyż jest ono bardzo symboliczne. Wraz z Applebaum uhonorowana została Agnieszka Holland, autorka propagandowego, agitacyjnego i nieopisanie płaskiego, jak to propaganda, filmu „Zielona granica", opartego w całości na rosyjskich fejkach (dziś wiemy już, że suflowanych jej przez agenta FSB Pawła Rubcowa vel. Pabla Gonzáleza). Według oficjalnego uzasadnienia UMCS: „[…] za poszukiwanie prawdy i stawianie niewygodnych pytań, pokazywanie w filmach wieloznaczności świata, za odsłanianie skomplikowanych ludzkich relacji i emocji, łączenie poetyki i sztuki filmowej z bezkompromisową postawą obywatelską, za odwagę mówienia pełnym głosem o sprawach trudnych […] oraz za mądrość". Trzecią jubileuszową doktor uczynił lubelski uniwersytet Olgę Tokarczuk, która do współczesności odnosi się tylko w utrzymanych w tonie politycznej poprawności wywiadach, ale jej opus magnum, „Księgi Jakubowe", ma z historyczną prawdą o sekcie frankistów i Rzeczypospolitej z czasów jej istnienia tyleż wspólnego, ile ma z dziejami Wielkiej Brytanii netflixowy serial o rodzinie Bridgertonów. Obie one też poświęciły swe „lectio doctoris" potrzebie obrony we współczesnym świecie prawdy.

ODKLEJENIE OD RZECZYWISTOŚCI

W czasach, gdy zachodnie uniwersytety stały się – dokładnie przeciwnie, niż opowiada Applebaum – centrami agresywnej głupoty, zacietrzewionej ideologii i fanatyzmu, brzmią te słowa groteskowo. Ale wystarczy zrozumieć, w jakim sensie używają świeżo upieczone „doktorki" h.c. słowa „prawda", a wszystko nabiera sensu.

Otóż „prawda" ma tu ten sam sens, jaki często nadawano jej w wieku XIX – np. w entuzjastycznym artykule, którym szacowny „The Times" powitał angielskie wydanie „Protokołów mędrców Syjonu". Tak, oto odkryto prawdę! Wreszcie to, co dzieje się z naszym światem, zostało szczegółowo, ponad wszelką wątpliwość wyjaśnione, a spisek i jego winy niezbicie udowodnione! Oto prawda, oto zrozumienie, których potrzebowaliśmy!

Przywykliśmy wszyscy kojarzyć pojęcie „teorie spiskowe" z obskurantyzmem, nieuctwem, z ludźmi w rodzaju osławionego Andrzeja Hadacza. Ale bywały czasy, gdy „teorie spiskowe" płynęły z samej góry, gdy podchwytywano je z zachwytem na salonach. Tak było w wieku XIX, co dokumentuje w swej historii konspiracjonizmu Daniel Pipes. Spiskami masonów, iluminatów, Żydów, wizją wielkiej konspiracji stworzonej już przez budowniczych świątyni Salomona czy wiekowego trwania w utajnieniu złowrogiego, dyszącego zemstą zakonu templariuszy objaśniali sobie zmianę świata i doznawane klęski

„Dojście do władzy Trumpa będzie miało podobne skutki jak dojście do władzy Hitlera" – ostrzegał Adam Michnik, a Applebaum dodała, że to Hitler, Stalin i Mussolini w jednym

uważani, niekiedy do dziś, za najmądrzejszych przedstawiciele swej epoki i klasy społecznej. Imiona i nazwiska takie jak Joseph de Maistre, Benjamin Disraeli, Joseph von Hammer-Purgstall czy Carrol Quigley, podpisane pod teoriami dziś budzącymi rozbawienie, mogą dziwić, ale współcześni im naprawdę rozpaczliwie chwytali się każdego wyjaśnienia, które pozwalało nie przyjąć do wiadomości prawdy – zbyt sprzecznej z wyobrażeniem skretyniałej klasy panującej o sobie jako crème de la crème społeczeństwa.

Te czasy wróciły. „Dojście do władzy Trumpa będzie miało podobne skutki jak dojście do władzy Hitlera" – ostrzegał Adam Michnik, a wielokrotnie tu cytowana Applebaum dodała, że to Hitler, Stalin i Mussolini w jednym. Po styczniu przyszłego roku niewątpliwie te przepowiednie autorytetów się potwierdzą: Trump zabuduje USA koncłagrami, zniszczy na polecenie „swojego przyjaciela Putina" Amerykę i wspólnie z nim zaatakuje zbrojnie ostatnią enklawę wolności i demokracji – Unię Europejską. Miliony ludzi pójdą do piachu, miliony ofiar nowych Holokaustów zostaną wymordowane, wszystko to po to, by dogodzić patologicznej nienawiści spiskujących dla władzy nad światem dyktatorów. Tak będzie – słuchajcie autorytetów.

Chyba że… Wiem, że niektórym strach na samą myśl o tym tak pomyśleć – że te wszystkie autorytety, profesury, doktoraty honoris causa i laudacje są funta kłaków warte, a „intelektualne elity" stały się po prostu kompletnie odklejonym od rzeczywistości salonikiem zeskleroziałych starych hrabin, opowiadających sobie z oburzeniem, jak bardzo „ci ludzie" godni są pożałowania, jak złowrogi spisek za „tym wszystkim" stoi, i „do czego to wszystko doprowadzi?!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

Piotr Semka

Witamy w demokracji hakowej

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

W koalicji 13 grudnia wszyscy zaczynają się bać wszystkich. Próbką tego, jak to uczucie może okazać się dolegliwe, są słowa przerażonego Hołowni z 28 listopada, który zasugerował, że jest ofiarą działań służb. To nowa faza w dziejach III RP. Żaden dotychczasowy premier nie wywoływał takiego przerażenia wśród swoich koalicjantów

Szymon Hołownia po ujawnieniu znaków zapytania w kwestii jego związków z Collegium Humanum jest politycznie znacznie osłabiony. Sprawa Hołowni to przykład tego, jak działa demokracja hakowa Donalda Tuska. Z prokuratury wyciekają dane ze śledztw, media chętnie z nich korzystają, a premier pierwszy oburza się na jakiekolwiek podejrzenia, że to wszystko może dziać się za jego wiedzą. Nowością jest to, że Donald Tusk zachowuje demonstracyjne zdziwienie takim obrotem rzeczy nie tylko wobec opozycji, lecz także wobec swoich koalicjantów. I jednocześnie mało kto chce zbadać sprawę do końca.

W GĄSZCZU PODEJRZEŃ

Sytuacja jest przynajmniej dziwna. Marszałkowi Sejmu – było nie było drugiej osobie w państwie – ważny tygodnik stawia zarzut nielegalnego załatwiania sobie dyplomu wyższej uczelni. Osoba, której dotyczą zarzuty, zaprzecza, ale jednocześnie nie decyduje się na to, aby podać oskarżający go tygodnik do sądu. Na zasadzie uniku wyjaśnia, że zapewne proces będzie trwał tak długo, że jego dobre imię nie zostanie oczyszczone przed wyborami prezydenckimi i w związku z tym nie ma sensu wszczynać postępowania. Jednocześnie na początkowym etapie sporu wypowiada się w sposób sugerujący, że stoją za tym ministrowie podlegli Donaldowi Tuskowi. 28 listopada Hołownia mówił: „Sprawa jest bardzo poważna. To oznacza, że dojdzie do bardzo poważnego kryzysu zaufania w naszej koalicji. Bo jeśli służby za tym stoją albo służby lub prokuratura miała w tym udział, bo skądś te informacje musiały wyciec, to będzie znaczyło, że nie jest to, na co się umawialiśmy".

O jakiej umowie mówił marszałek Sejmu? I z kim?

Jego wypowiedź była nerwowa. Tak jakby obawiał się, że za chwilę zostaną ujawnione kolejne, znacznie bardziej kompromitujące go dokumenty lub fakty. Ponadto zdawał się wtedy sugerować, że jeżeli akcja przeciwko niemu będzie kontynuowana, to trwanie koalicji 13 grudnia może stanąć pod znakiem zapytania. To ostatnie zachowanie wskazywało, że swoje ostrzeżenie kieruje wobec samego Donalda Tuska jako inicjatora przecieków.

I wtedy nastąpił nagły zwrot akcji. Lider Platformy szybko zadeklarował, że wierzy w uczciwość Hołowni i sprawę uważa za zamkniętą. Jednocześnie szef MSW Tomasz Siemoniak ogłosił, że żadne podległe mu służby nie mają z całą sprawą nic wspólnego. Te pospieszne deklaracje tworzą wrażenie, że między Hołownią i Tuskiem szybko została zawarta jakaś ugoda. Tyle że nie wiemy, jakie są warunki tego zawieszenia broni. Czy Hołownia wytrzymał próbę nerwów i wyszedł z konfliktu wzmocniony? A może Tusk jedynie pozwolił mu – przynajmniej na jakiś czas – zachować twarz i np. uzyskać obietnicę wycofania się z prezydenckiego wyścigu za miesiąc lub półtora?

Faktem jest, że Rafał Trzaskowski wobec dość dobrego startu Karola Nawrockiego może nie czuć się na tyle silnie, by móc patrzeć spokojnie na kandydowanie Hołowni. Polityka, który odbierze przede wszystkim głosy jego elektoratu. Media powinny chociaż teoretycznie rozważyć, czy całe to krótkie spięcie nie było wynikiem działań, za którymi stał Donald Tusk. Ale dzieje się zupełnie inaczej.

PO CO W TYM GRZEBAĆ?

„Sprawę uważam za zamkniętą" – ogłosił 2 grudnia Szymon Hołownia. W wywiadach prasowych wyraża satysfakcję z deklaracji zaufania ze strony obecnego premiera. Pytany w Polsat News, czy ma stuprocentowe zaufanie do Donalda Tuska, dość enigmatycznie odparł, że „w wielu sprawach tak".

Hołownia dodał, że ma także zaufanie do ministrów Tomasza Siemoniaka i Adama Bodnara oraz do polskich służb specjalnych. Pytany o swoją wypowiedź z 28 listopada, sugerującą intrygę służb specjalnych, odpowiadał: „Podejrzenia, jeśli chodzi o służby, zostały rozwiane. Wypowiedziały się osoby, które te służby nadzorują. Jeśli chodzi o prokuraturę, to są bardzo jasne i stanowcze wypowiedzi ministra Bodnara i prokuratora Korneluka. Tu sprawę uważam za zamkniętą". Ale Hołownia nie byłby sobą, gdyby nie zostawił sobie furtki. „Takie informacje, dwa tygodnie po tym, jak ogłaszasz się kandydatem na prezydenta RP [...], skądś muszą wypływać".

Wróćmy do feralnego dla marszałka Sejmu tygodnia między 25 listopada a 1 grudnia.

Jaka była sekwencja politycznego wzrostu napięcia?

25 listopada „Newsweek" publikuje tekst oskarżający Hołownię, że próbował zdobyć na Collegium Humanum dyplom dający prawo do legitymowania się wyższym wykształceniem w sposób nielegal-

eprasa.pl acb5eb45c8

ny. „Newsweek" wyjaśnia, że Hołownia omija sedno sprawy, mówiąc, że nie studiował w Collegium Humanum. Tygodnik twierdzi, że wiele osób widziało go na liście studentów uczelni, ale nikt od niego nie wymagał uczęszczania na zajęcia.

Miał po prostu otrzymać dyplom ukończenia studiów magisterskich. Podstawą do tego miały być zaliczenia i oceny otrzymane wcześniej podczas nieukończonych studiów w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Ten osobliwy tryb uzyskania dyplomu gwarantować mogła życzliwość Pawła Cz., byłego rektora Collegium Humanum, który na własną odpowiedzialność miał wpisywać oceny i zaliczenia.

Uderza to, że tygodnik opublikował swoje sensacje w poniedziałek 25 listopada, a przez kolejne dwa dni sam Hołownia nie zabierał głosu. Najpierw w jego obronie stanęła jego macierzysta partia Polska 2050, a potem rzeczniczka marszałka Sejmu Katarzyna Karpa-Świderek.

Co charakterystyczne, natychmiast do ataku ruszyła posłanka Koalicji Obywatelskiej Magdalena Filiks, która na X skomentowała słowa rzeczniczki Hołowni jednoznacznie: „Kłamie". A potem, gdy część internautów broniła Hołowni, przyjęła te wypowiedzi ironicznymi słowami: „Aha, czyli bez znaczenia jest to, że politycy to kłamcy i oszuści w kwestii wykształcenia".

Jeszcze ostrzej wystąpił przeciwko Hołowni PR-owiec Jakub Bierzyński, na którego temat mówi się, że często występuje jako internetowy „żołnierz" Platformy. Bierzyński odrzucał wyjaśnienia Hołowni, że dopełnił jedynie formalności, żeby dostać się na uczelnię, ale nie podjął studiów i sprawa jest czysta. Ripostował: „No nie jest »czysta«. Bo na tym polega ten przekręt, że Collegium Humanum wystawiało dyplomy bez studiowania. Niestety Hołownia taki właśnie dyplom otrzymał". Bardzo charakterystyczne jest to, że lider Polski 2050 natychmiast po publikacji „Newsweeka" został zaatakowany ze strony osób, które można było utożsamiać z Platformą.

Hołownia mógł poczuć się zagrożony. Było bardzo znamienne, że posłowie jego partii nie palili się do tego, by pod własnym nazwiskiem go bronić. Dlatego tak wiele osób z Polski 2050 przyjęło z ulgą wygaszenie sporu przez Tuska. Nikt nie zażądał śledztwa w Sejmie, które wyjaśniłoby prawdomówność marszałka. Deklaracje Tuska, Bodnara i Siemoniaka zarówno politycy Koalicji, jak i media liberalne przyjęły na zasadzie jednoznacznego rozstrzygnięcia sprawy. „Gazeta Wyborcza" z namaszczeniem ogłaszała, że „żadnej afery tu nie ma". Choć nie zrobiła nic, aby sprawdzić, czy oskarżenia „Newsweeka" są prawdziwe. Jeśli dziennik z Czerskiej miał do kogoś pretensje w tej sprawie, to tylko do Hołowni za złamanie zasady milczenia na temat wewnętrznych relacji w koalicji.

Agnieszka Kublik grzmiała na łamach „GW" 28 kwietnia: „Hołownia jest winny – rzucania poważnych pomówień na koalicjanta". W tym samym tonie pisała Katarzyna Przyborska na lewicowym portalu Krytyka Polityczna: „Po ośmiu latach rządów PiS, w czasie których upolitycznianie służb było jawne i intensywne, odwracanie tego procesu na pewno nie należy do najłatwiejszych zadań i dlatego potrzebuje czasu i fasady, za którą mogą trwać prace remontowe. Tę fasadę tworzą autorytety Adama Bodnara i Tomasza Siemoniaka, a także zachowanie wszystkich innych członków rządu i parlamentu. Sugestie, których Hołownia nie poparł na razie żadnymi dowodami, tę fasadę nadwątlają. Wiadomość, że służby działają tak jak za PiS, na polityczne zlecenie rządzącej partii, to poważny cios w zaufanie wyborców, którzy po to m.in. głosowali na koalicję 15 października, by służby działały dla dobra państwa, a nie były siłowym ramieniem rządzącej frakcji".

Publicystka Krytyki Politycznej troszczyła się głównie o autorytety Bodnara i Siemoniaka. A co, jeśli w tej sprawie służby naprawdę były siłowym ramieniem rządzącej frakcji, a konkretnie Donalda Tuska?

ZRĘCZNY TRESER

Cała sprawa pokazuje, z jaką łatwością Donald Tusk może przy całkowitym kontrolowaniu służb i pełnym wsparciu liberalno-lewicowych mediów tresować swoich koalicjantów. Jako premier posiada pełną kontrolę działań zarówno Adama Bodnara, jak i Tomasza Siemoniaka. Tym samym ma dostęp do wszelkiej wiedzy, do której docierają podległe im służby. A taka wiedza to także informacja o rozmaitych grzeszkach z przeszłości polityków. Obecna koalicja ma już praktykę w wypuszczaniu do dziennikarzy wygodnych dla niej szczegółów z gorących śledztw (robiła to zresztą też ekipa PiS). Prokuratura przez ostatnie miesiące bardzo solidnie wypytywała o patologie wokół Collegium Humanum zatrzymanego byłego rektora tej uczelni Pawła Cz. Człowiek ten z pewnością wie dużo o okolicznościach kontaktów Hołowni z kontrowersyjną uczelnią. Dlaczego mamy wykluczać, że wiedza ta dotarła do Donalda Tuska i mógł ją spożytkować?

Tyle że mógł zrobić to w wyrafinowany sposób. Część tej wiedzy wypuścić do mediów i wywołać zaniepokojenie Hołowni, a potem doprowadzić do jakiegoś dealu. I dopiero wtedy łaskawie ogłosić niewinność Hołowni.

Taki scenariusz doskonale pasuje do dotychczasowej praktyki Tuska, który potrafił wypchnąć z własnej partii niewygodnych dla siebie polityków, takich jak Maciej Płażyński, Jan Rokita czy Zyta Gilowska. W podobny sposób ludzie służb utożsamiani z PO wyeliminowali w 2005 r. z prezydenckiego wyścigu Włodzimierza Cimoszewicza. Teraz, gdy Tusk dysponuje totalnie kontrolowaną przez siebie prokuraturą, uległym ministrem sprawiedliwości i takim samym szefem MSWiA, ma dostęp do setek informacji, które można użyć jako haki. A jednocześnie znajduje się pod parasolem medialnym ze strony całego wachlarza liberalno-lewicowych pism, które nie dopuszczają do siebie nawet myśli, że premier mógłby używać tak brudnych chwytów.

Ten sposób sprawowania władzy przy pomocy haków może być bardzo skuteczny. Ma tylko jedną wadę. Powoduje, że w koalicji wszyscy zaczynają się bać wszystkich. I próbką tego, jak to uczucie może okazać się dolegliwe, są słowa przerażonego Hołowni z 28 listopada, który zasugerował, że jest ofiarą działań służb. Gorliwość, z którą stara się teraz zatrzeć wspomnienie o tamtej chwili szczerości tylko pokazuje, jak potężne emocje zostały wtedy uruchomione. To nowa faza w dziejach III RP. Żaden dotychczasowy premier nie wywoływał takiego przerażenia wśród swoich koalicjantów. Źle to wróży ładowi politycznemu w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

Z posłem Markiem Jakubiakiem, prezesem Federacji dla Rzeczypospolitej, kandydatem na prezydenta RP
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie wierzę Ukrainie

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Jak pan odpowie sceptykom, według których szczytem pana możliwości w przyszłorocznych wyborach prezydenckich jest poparcie na poziomie 2–3 proc.?

MAREK JAKUBIAK: Odpowiem, że nie mają pojęcia o tym, co mówią. Opierają swoje prognozy na sondażach, które nie są do końca rzetelne. Bardzo się na tym przejechała w niedawnych wyborach prezydenckich w USA Kamala Harris, która bazując na publikowanych w mediach sondażach, była pewna wygranej. U nas sondażownie działają podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, więc nie wyciągałbym pochopnych wniosków z publikowanych przez nie badań.

Entuzjaści pana kandydatury twierdzą, że Marek Jakubiak ma potencjał, żeby być „czarnym koniem" wyborów. Podkreślają, że na tle konkurencji jawi się pan jako polityk autentyczny, nieuwikłany w plemienną wojnę PiS-PO, mówiący otwartym tekstem, swojak...

Nie chciałbym chwalić dnia przed zachodem słońca, ale faktem jest, że podczas spotkań z wyborcami, które odbywam przynajmniej raz w tygodniu, sale są pełne. Zdarza się, że w miejscowości, w której mam spotkanie, brakuje sali, która mogłaby pomieścić wszystkich chętnych. Myślę, że nadchodzące wybory będą dla mnie egzaminem dojrzałości politycznej. Uważam, że każdy polityk powinien przez to przejść. Czuję dreszcz na myśl o teście, który mnie czeka, bo będzie to najważniejszy sprawdzian skuteczności mojej polityki.

Skuteczność w polityce jest funkcją pieniędzy wydanych na kampanię. Nikogo nie trzeba przekonywać, że wybory prezydenckie to bardzo droga impreza. Skąd bierze pan pieniądze na swoją kampanię?

Prowadzę kampanię de facto od dziewięciu lat. W tym czasie przez moje dyżury poselskie w każdy czwartek o godz. 20.30 na YouTube i Facebooku przewinęły się tysiące ludzi. Mam jeden z najniższych wskaźników złych opinii wśród polityków. Jestem przekonany, że Polacy znają Marka Jakubiaka i nie będą mieli problemu z oddaniem na mnie głosu. Oczywiście słyszę wszystkie te wypowiedzi o milionach, które trzeba wydać na kandydata, żeby ludzie zaczęli go rozpoznawać. Ja nie mam tego problemu. Od lat jestem bardzo aktywny

eprasa.pl acb5eb45c8

w ogólnopolskich mediach. Mogę powiedzieć bez popadania w pychę, że jestem powszechnie rozpoznawalnym politykiem. Dla mnie największą niewiadomą jest, jak ludzie, którzy mnie znają, ocenią moją działalność w polityce. Czekam z zapartym tchem na wyrok wyborców.

Wspomniał pan o wyborach prezydenckich w USA. Coś pana szczególnie zainspirowało w ich trakcie?

Te wybory udowodniły, że warto mówić to, co się myśli, a nie to, co wypada powiedzieć. Jestem osobą, którą pan Gadowski określił jako „mistrza konkretu". Mam nadzieję, że ludzie doceniają to, że u mnie nie ma żadnej konfabulacji, nie ma politycznej kalkulacji. Jest tylko prawda albo fałsz.

Czyli sztabu wyborczego i żadnych spin doktorów pan nie potrzebuje. Przemówień nikt panu nie pisze...

Jeżeli obywatele Rzeczypospolitej pozwolą, żeby jeden z nich, zwykły, normalny Polak, był prezydentem, ich panem Markiem w Pałacu Prezydenckim, to jestem do dyspozycji.

Dlaczego zwykli Polacy mieliby głosować na Marka Jakubiaka?

Dlatego, że jestem dojrzałym mężczyzną, który w życiu wiele zrobił i wiele doświadczył. Nie wiem, czy wśród kandydatów jest drugi taki, który ma tak bogate doświadczenie – nie tylko biznesowe, lecz także życiowe – jak Marek Jakubiak. Jeżeli ludzie zechcą, żeby prezydentem został człowiek, który nie ma interesów ponad Polskę, to jestem kimś, kto to gwarantuje.

Trudno panu odmówić doświadczenia w biznesie i krajowej polityce, ale nie ma pan doświadczenia w polityce międzynarodowej, a to przecież jedna z kluczowych prerogatyw prezydenta.

Geopolityka to dziedzina, która wymaga pewnego rodzaju wyobraźni. Myślę, że Polska jest na tyle dużym krajem, że trzeba przyjąć strategię, według której to inne państwa powinny zabiegać o naszą przychylność, niż my starać się o ich względy. Jednak twardo stąpam po ziemi, dlatego uważam, że naszym strategicznym sojusznikiem i partnerem w polityce zagranicznej powinny być Stany Zjednoczone i administracja prezydenta Donalda Trumpa.

A co z Unią Europejską? Większość Polaków nie wyobraża sobie życia poza nią, mimo że członkostwo w tej organizacji z każdym rokiem coraz bardziej szkodzi naszej gospodarce, a skrajnie lewicowa agenda ideologiczna Unii rozsadza polską wspólnotę.

Uważam, że Unia Europejska zmierza ku przepaści. Jestem ostatnią osobą, która proponowałaby Polsce, żeby razem z Unią stoczyła się w tę przepaść. Mam wiele przemyśleń dotyczących tego, czy aby na pewno bycie w Unii Europejskiej jest dla nas korzystne. To po pierwsze. Po drugie, system Zielonego Ładu ma według mnie zastąpić w przyszłości Unię Europejską. Jego promotorzy traktują Polaków jak dojne krowy. Dekarbonizacja, która jest jednym z dogmatów Zielonego Ładu, jest pomysłem szalonym. Polska ma ogromne zasoby węgla na Lubelszczyźnie. To gwarantuje nam całkowite bezpieczeństwo energetyczne. Najwyższy czas powrócić do bezpiecznej energii opartej na węglu i atomie. Czasy są niebezpieczne, zagrożenie ze strony Rosji jest bardzo poważne. Nie możemy sami podcinać gałęzi, na której siedzimy.

Promotorzy Zielonego Ładu traktują Polaków jak dojne krowy

Powiedział pan, że jesteśmy dojnymi krowami dla propagatorów Zielonego Ładu. Czy nie jesteśmy również dojnymi krowami dla Ukrainy i wspierającej ją międzynarodowej partii wojny? Polska wydała i wciąż wydaje miliardy na pomoc Ukrainie i Ukraińcom. To nie tylko ogromna pomoc militarna, lecz także cała gama świadczeń socjalnych z polskiego budżetu. W zamian z Kijowa słychać coraz bardziej bezczelne żądania.

Użył pan celnego określenia. To rzeczywiście jest bezczelność, nie tylko polityczna, ze strony Ukrainy. Uważam, że świadczenia z budżetu powinny być co do zasady wypłacane wyłącznie polskim obywatelom. Jeżeli Ukraińcy chcą z nich korzystać, to powinni bezwarunkowo przyjąć polskie obywatelstwo, mieszkać, pracować i płacić podatki w Polsce. Nie rozumiem polityki prezydenta Dudy wobec Ukrainy, nie rozumiem zachowania większości polityków, takich jak pan Kowal w tej kwestii. Moja polityka wobec Ukrainy oparta jest na zasadzie symetrii, tzn. jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Bardzo wymownym przykładem ukraińskiej polityki wobec Polski było potraktowanie prezydenta Dudy podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Przed jego wystąpieniem, w którym prezydent RP bronił Ukrainy i napiętnował Rosję, ukraińska delegacja wstała z miejsc i wyszła z sali. A co zrobił prezydent Duda? Odczytał swoje wystąpienie bez poprawek. Nie jestem w stanie zrozumieć takiej postawy. Przecież swoim zachowaniem ukraińska delegacja nie tylko znieważyła głowę polskiego państwa, lecz także wszystkich Polaków.

Zgodzi się pan z tezą, że Polska ma chroniczny problem z polityką wobec Ukrainy? Dotyczy to wszystkich rządzących ekip. Dlaczego tak bezrefleksyjnie dajemy się ogrywać Ukraińcom?

Polska zawsze wykazywała wobec Ukrainy nadmiar dobrych chęci, czego jaskrawym przykładem była sytuacja z 1945 r., kiedy zbrodnicza formacja, którą była ukraińska dywizja SS Galizien, mogła dzięki decyzji gen. Andersa znaleźć się w amerykańskiej strefie okupacyjnej, unikając dostania się w łapy Sowietów. Ci ludzie kształtowali później oblicze największej ukraińskiej diaspory na świecie, która znalazła schronienie w Kanadzie. Wracając do ukraińskiej polityki wobec Polski, oni z pełną premedytacją uderzają w sprawy dla nas najbardziej wrażliwe. Kiedy prezydentem był Komorowski, podczas wizyty w Kijowie wygłosił w parlamencie przemówienie o polsko-ukraińskim sojuszu i potrzebie pojednania. Kiedy tylko wyszedł z gmachu, deputowani ogłosili Banderę bohaterem narodowym. Tego rodzaju demonstracje z ich strony powtarzają się notorycznie. Nie wierzę Ukrainie. Kiedy szef MSZ Ukrainy zapewnia ministra Sikorskiego, że nie ma żadnych powodów, aby nie było ekshumacji Polaków ofiar ukraińskiego ludobójstwa z lat 1942–1945, to ja w to nie wierzę. Ukraina nie dopuści do ekshumacji Polaków, chyba że zostanie do tego przymuszona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

Łańcuch na właścicieli zwierząt

Łukasz Warzecha

Tak zwany społeczny projekt zmian w Ustawie o ochronie zwierząt, znany jako ustawa „Stop łańcuchom", powinien wylądować w koszu. Wszedłszy w życie, tworzyłby paramafijne struktury organizacji prozwierzęcych, które pasłyby się na cudzych pieniądzach, dostając jednocześnie do ręki instrument zniszczenia niemal każdego posiadacza zwierząt. Niestety, PiS przyłożył rękę do tego, że projekt nie został od razu odrzucony

Pierwsze czytanie projektu (druk sejmowy nr 700), pod którym podpisało się ponad 500 tys. osób, odbyło się 27 listopada. Wniosek o odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu złożyła Konfederacja, która też w całości głosowała za takim rozwiązaniem. Przeciwko odrzuceniu projektu zagłosowali niemal wszyscy obecni na sali posłowie KO – nic dziwnego, skoro z tego ugrupowania wywodzą się najbardziej fanatyczni zwolennicy obdarzania zwierząt „prawami", tacy jak posłanka Zielonych pani Małgorzata Tracz czy Katarzyna Piekarska. Jedynym posłem KO, który opowiedział się za odrzuceniem projektu, był Robert Dowhan. W całości przeciwko odrzuceniu projektu zagłosowała Polska 2050, gdzie „zielona" ideologia wszystkim weszła bardzo mocno w krew. Podzielił się klub PSL: 27 osób wsparło Konfederację, ale siedem chciało dalszych prac nad projektem (m.in. Piotr Zgorzelski, Władysław Bartoszewski oraz sam prezes Władysław Kosiniak-Kamysz). Identyczne jak ci ostatni stanowisko zajęło koło Razem – co oczywiste.

Większość klubu PiS natomiast – 110 posłów – wstrzymała się od głosu. Przeciwko odrzuceniu projektu było dwoje posłów: Joanna Lichocka i Marcin Ociepa. Sześćdziesięciu trzech członków klubu poparło wniosek Konfederacji.

Ostateczny rezultat to 103 głosy za odrzuceniem projektu, 213 za dalszymi pracami nad nim i 111 wstrzymujących się. Gdyby zatem posłowie PiS, którzy się wstrzymali, zagłosowali zgodnie z wnioskiem Konfederacji, w głosowaniu byłaby równowaga. Wtedy do zatwierdzenia propozycji Konfederacji brakowałoby już tylko jednego głosu (aby w głosowaniu zwykłą większością uznać wynik za pozytywny, „za" musi być więcej głosów niż „przeciw" – remis oznacza więc wciąż wynik negatywny).

TAK DZIAŁA MAFIA

Podstawowym argumentem, którym szermują przedstawiciele organizacji prozwierzęcych, wspierających projekt, jest to, że zyskał on poparcie ponad pół miliona osób. Problem w tym, że zapewne 99 proc. tych osób nie ma pojęcia, pod czym się podpisało. Projekt był prezentowany jako ustawa „Stop łańcuchom" i w przekazie publicznym podkreślano przede wszystkim ten aspekt, a więc zakaz trzymania zwierząt domowych na uwięzi. Tymczasem cały projekt to – bez uzasadnienia – 43 strony, a sprawa zakazu trzymania psów na łańcuchu jest tylko jednym z wielu jego elementów – i nie najbardziej skandalicznym. Śmiało można powiedzieć, że jest to „piątka dla zwierząt" – mocno podkręcona i radykalna, idąca znacznie dalej niż jakikolwiek dotąd zaprezentowany projekt tego typu.

Osoby popierające projekt nie mają pojęcia ani o tym, jakie koszty on wygeneruje, ani o tym, jak dalece pogwałca prawa właścicieli zwierząt, ani że oznacza krach co najmniej jednej z ważnych dla polskiej gospodarki branż. Do podpisu mogło wiele osób skłonić wsparcie dla projektu ze strony fanatycznych prozwierzęcych celebrytów i osób publicznych, takich jak dziennikarka Polsatu Agnieszka Gozdyra czy aktorka Maja Ostaszewska.

Jednak nawet kwestia zakazu trzymania zwierząt domowych na uwięzi budzi wątpliwości. Wiele psów, które spędziły w ten sposób większość swojego życia, nie nadaje się do uwolnienia. Mogłyby stać się niebezpieczne. Można więc spokojnie założyć, że gdyby ich właściciele

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. ADOBE STOCK

Prozwierzęce jaczejki z odbierania zwierząt hodowcom, a nawet prywatnym właścicielom zrobią sobie i źródło stałego dochodu, i narzędzie niszczenia niewygodnych ludzi

mieli się dostosować do przepisu, dla świętego spokoju pozbyliby się swoich psów.

Na czym polega mafijny mechanizm, który chcą wprowadzić prozwierzęce organizacje? Ich pracownicy – którzy nie muszą mieć kierunkowego wykształcenia – mieliby prawo wejść na prywatny teren, powziąwszy informację, że jest tam zwierzę, którego życie lub dobrostan są zagrożone. Taka informacja mogłaby być w wielu przypadkach fikcyjna – nikt przecież tego nie będzie w stanie sprawdzić. Organizacja zawsze będzie mogła oświadczyć, że otrzymała anonimową wiadomość. Organizacje te mogą prowadzić schroniska dla bezdomnych zwierząt – dotyczy tego duża część ustawy – i to właśnie one zajmowałyby się odbieranymi zwierzętami. Opieka nad nimi oczywiście generuje koszty. Te koszty, szczególnie w porozumieniu z zaprzyjaźnionym weterynarzem, można bardzo podkręcić. Wystarczy pomyśleć, ile może kosztować opieka nad rasowym psem czy koniem. I tu pojawia się mafijny mechanizm ustawy: organizacja mogłaby domagać się zwrotu tych kosztów od samorządu, który miałby obowiązek te pieniądze jej przekazać, i to niezależnie od tego, czy dysponowałby odpowiednią rezerwą na ten cel. Następnie to samorząd na zasadzie roszczenia regresowego dokonywałby egzekucji od właściciela zwierząt.

Wyobraźmy sobie teoretyczną sytuację, w której prozwierzęca organizacja chce zniszczyć aktywnego społecznie rolnika hodowcę. Jej członkowie wchodzą na teren hodowli i na podstawie własnej subiektywnej oceny odbierają nie jedną krowę, ale całe stado, bo skoro jedna jest w złym stanie, to przecież inne też są zagrożone. Rachunek za taką operację i następnie przetrzymywanie zwierząt może sięgnąć setek tysięcy złotych. Te pieniądze organizacja egzekwuje od samorządu, a ten z kolei wszczyna sprawę przeciwko rolnikowi. Hodowca nie ma już zatem zwierząt – choć formalnie jest niewinny do chwili, gdy zostanie skazany za znęcanie się nad nimi – ale ma nad głową groźbę egzekucji ogromnych pieniędzy. Jest zniszczony. Tak działa mafia.

Organizacje będą zapewne chciały stawiać właścicieli zwierząt przed sądem – a przypomnieć tu trzeba, że to PiS znacząco podwyższył kary za czyny wobec zwierząt, zgodnie z prozwierzęcą obsesją Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli zapadną wyroki – czy to za wykroczenie, czy za przestępstwo – to organizacje na tym również zarobią. Ustawa zawiera bowiem zapis, że zasądzona nawiązka ma trafiać do organizacji, która przyczyniła się do skazania. Może ona wynieść do 5 tys. zł w przypadku wykroczenia i aż do 100 tys. zł w przypadku przestępstwa. Organizacje przewidują nawet, że będą się o te pieniądze bić, bo w projekcie czytamy również, iż w razie gdyby do skazania przyczyniło się więcej organizacji, sąd ma rozdzielić pomiędzy nie

eprasa.pl acb5eb45c8

nawiązkę, oceniając ich aktywność w sprawie. Nietrudno przewidzieć, że prozwierzęce jaczejki z odbierania zwierząt hodowcom, a nawet prywatnym właścicielom zrobią sobie i źródło stałego dochodu, i narzędzie niszczenia niewygodnych ludzi, o ile tylko ci będą właścicielami zwierząt.

SKANDALICZNE ZAPISY

Żeby ten mechanizm mógł działać, konieczne jest radykalne i absurdalne zarazem poszerzenie pojęcia znęcania się nad zwierzętami. To również ustawa wprowadza. Przesłanki znęcania miałoby wypełniać m.in. „straszenie lub drażnienie zwierząt". To pojęcia tak pojemne, że można pod nie podciągnąć nawet straszenie gołębi czy zabawę z własnym psem. Są to zresztą pojęcia nieposiadające swojej prawnej definicji, a więc tak sformułowany przepis nie spełnia jednej z podstawowych reguł tworzenia legislacji: zasady określoności prawa, opisywanej paremią nullum crimen sine lege certa. Inna nowa kategoria „znęcania się" to „pozostawienie zwierzęcia w samotności przez okres skutkujący cierpieniem zwierzęcia". Trudno powiedzieć, jak to cierpienie ktokolwiek miałby mierzyć. Kot, jak wiadomo, potrafi okazywać niezadowolenie, nawet jeśli pozostawi się go samego na kilka godzin. Dzięki tak niejasnym i uznaniowym kategoriom organizacje prozwierzęce dostałyby wygodne uzasadnienie do dowolnego odbierania właścicielom zwierząt. Ba, mogłyby nawet zasadzać się na osoby, które zwierząt same nie posiadają.

To jednak nie koniec szkodliwych rozwiązań. Projekt zakłada wprowadzenie obowiązkowego czipowania wszystkich kotów i psów w Polsce w ciągu dwóch miesięcy od wejścia w ich posiadanie. Tu natychmiast pojawia się pytanie, jakie lobby stoi za tym przedsięwzięciem, które ma być oczywiście prowadzone na koszt właścicieli zwierząt. Jasne jest, że wielu właścicieli – w szczególności starszych ludzi – swoich zwierząt nie zaczipuje, bo nie będą nawet wiedzieć o takim obowiązku, a choćby się i dowiedzieli, to nie będą mieli pojęcia, jak to zrobić. Można im będzie zatem te zwierzęta odebrać pod pretekstem nienależytej opieki.

Ukraińcy już ustawiają się w kolejkach, aby odkupić od polskich hodowców ich norki

Dodatkowo powstałby kolejny rejestr, zawierający osobiste informacje o obywatelach, a więc kolejne źródło potencjalnych przecieków informacji. Jako że organizacje zajmujące się zwierzętami miałyby do niego dostęp (gdzie tutaj RODO?), mogłyby z niego korzystać w wojnie ze swoimi przeciwnikami.

Ustawa przewiduje także obowiązkowe wykastrowanie wszystkich psów i kotów w Polsce – poza hodowlami. Uzasadnia się to zapobieganiem bezdomności zwierząt, ale w istocie jest to propozycja horrendalna, na którą oburza się nawet wielu właścicieli psów i kotów. Nie tylko bowiem wkracza ona głęboko w prawa właściciela zwierzęcia, lecz także nie każde zwierzę nadaje się do wykastrowania, a właściciele często nie chcą tego robić, bo obawiają się skutków zdrowotnych dla swoich ulubieńców. Za to lobby weterynarzy zaciera ręce – bo kastracja ma się oczywiście odbywać na koszt właścicieli.

Kolejny skandaliczny zapis to zakaz montowania kolców przeciwko ptakom – choć takie kolce istnieją na bardzo wielu budynkach w Polsce, zabezpieczając je przed niszczeniem elewacji głównie przez gołębie. Projektodawcy ustawy nie przedstawiają oczywiście żadnych statystyk rzekomych zranień ptaków, a też kompletnie pomijają koszty proponowanego rozwiązania. Jedyną alternatywą wobec kolców są znacznie mniej skuteczne i zarazem droższe systemy dźwiękowego odstraszania, jednocześnie uciążliwe dla otoczenia. Proszę sobie teraz wyobrazić, że w całej Polsce wszyscy właściciele budynków muszą ściągnąć umieszczone na nich kolce i zapłacić za dźwiękowe odstraszacze. Mówimy o sumach idących w miliony.

UDERZENIE W PRZEDSIĘBIORCÓW

Wreszcie ustawa zmierza do zaorania polskiej produkcji fajerwerków, której obrót roczny to 700 mln zł i która mieści się w pierwszej światowej dziesiątce produkcji. Pozostawiono bowiem jedynie możliwość używania fajerwerków klasy F1 (zgodnie z podziałem z Ustawy o materiałach wybuchowych przeznaczonych do użytku cywilnego z 2002 r.), które charakteryzują się pomijalnym poziomem hałasu. Skasowane zostają fajerwerki F2 i F3. Trudno zinterpretować to inaczej niż jako działanie na rzecz zagranicznych producentów i celowe niszczenie doskonale działającej polskiej branży. I to w czasie, gdy polska gospodarka i tak nie zachwyca.

Z kolei branżę produkcji futer, w której Polska jest w tej chwili absolutnym światowym potentatem, zamierza zniszczyć projekt poselski, zawarty w druku sejmowym nr 703. Na zamknięcie produkcji daje się rolnikom pięć lat i – owszem – przewiduje się odszkodowania. Tyle że mają one wynieść maksymalnie – o ile produkcja zostanie zamknięta do końca tego roku – 25 proc. średniej przychodów podmiotu z lat 2021–2023, czyli z okresu COVID i początku wojny. A więc z czasu całkowicie niereprezentatywnego. Później co roku odszkodowanie maleje o kolejnych 5 proc. Nie ma się to nijak ani do okresów inwestycyjnych w tej branży, które z powodu kredytów trwają 10 czy 20 lat, ani do wartości samych ferm i zwierząt. Według państwowego Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej wartość infrastruktury ferm norek w Polsce to 300 mln euro, a wartość zwierząt to 311 mln euro, czyli razem ok. 2,6 mld zł. Wartość infrastruktury towarzyszącej (np. kuchnie paszowe) to 200 mln euro, czyli ponad 860 mln zł. Razem ponad 3,4 mld zł. Tymczasem suma przeznaczona na odszkodowania ma nie przekroczyć – uwaga – 140 mln zł. Trudno takie zapisy określić inaczej niż jako bolszewickie.

Dzieje się to w momencie, gdy Ukraińcy już ustawiają się w kolejkach, aby odkupić od polskich hodowców ich norki – na Ukrainie nie ma żadnych ograniczeń, a standardy hodowlane są bez porównania niższe niż w Polsce – a Duńczycy, którzy swoje norki zbiorowo zagazowali w czasie epidemii COVID, zaczynają dopłacać tym rolnikom, którzy chcą odtworzyć ich hodowle. W czyim zatem interesie działają wnioskodawcy? Bo na pewno nie w polskim. Może

eprasa.pl acb5eb45c8

w rosyjskim – bo w Rosji hodowle mają się dobrze i również nie ma tam żadnych ograniczeń. A może w niemieckim, bo to niemieckie firmy utylizacyjne zarobią duże pieniądze na usuwaniu odpadów hodowlanych, głównie od hodowców drobiu, które dotychczas zagospodarowywali hodowcy norek.

W projekcie jest więcej nonsensownych i bzdurnych zapisów. Mamy tam np. zakaz wykorzystywania zwierząt w jakichkolwiek pokazach, co stawia pod znakiem zapytania istnienie takich miejsc jak choćby słynne fokarium na Helu.

TO GROŹNY PROJEKT

Suchej nitki na obywatelskim projekcie nie zostawiły opiniujące go podmioty. Związek Powiatów Polskich wskazał m.in. na to, że ustawa nakazywałaby samorządom łamanie ustawy o dyscyplinie finansów publicznych oraz na absurdalność wymogu likwidacji kolców przeciwko ptakom. Krajowa Rada Izb Rolniczych skrytykowała bezwzględny zakaz trzymania na uwięzi psów i wyznaczone bez uwzględniania wielkości psa rozmiary kojców. Wskazała, że będzie to wszystko stanowiło zbyt duże obciążenie dla wielu gospodarstw.

Unia Felinologii Polskiej gruntownie skrytykowała projekt w obszernej, 15-stronicowej opinii. Zdaniem felinologów m.in. znosi on osłonę obywateli nadaną dyrektywą RODO, jeśli obywatel posiada zwierzę; tworzy kuriozalną sytuację, w której organizacja pozarządowa otrzymuje tyle nawiązek, ile wytoczy spraw obywatelom; pozwala odebrać mienie prawomocnie niewinnemu obywatelowi; kasuje możliwość wykorzystywania psów i koni w służbach państwowych; powoduje ogromne nakłady finansowe ze strony państwa w związku z potrzebą przebudowy kojców np. psów policyjnych; nadaje uprawnienia parapolicyjne i paraprokuratorskie organizacjom pozarządowym; wreszcie wprowadza konstrukcję, która pozwala na oskarżenie dowolnego obywatela o znęcanie się nad zwierzęciem, jako że czasem sama obecność człowieka jest powodem strachu u zwierzęcia. UFP rekomendowała odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu.

Z kolei Krajowa Izba Lekarsko-Weterynaryjna – co niezaskakujące – odniosła się entuzjastycznie do obowiązku czipowania psów i kotów oraz stworzenia ich rejestru, postulując zarazem, aby to ona wykonywała to zadanie. Nic dziwnego – musiałyby za tym pójść konkretne pieniądze budżetowe.

Ustawa „Stop łańcuchom" jest nie tylko prawnym gniotem. To skrajnie groźny projekt, mogący skutkować stworzeniem paramafijnej struktury organizacji prozwierzęcych, pogwałcający prawa obywateli, wdzierający się w ich prywatność, gwałcący wolność działalności gospodarczej. Tak skandaliczny projekt – niezależnie od liczby podpisów pod nim złożonych – powinien jak najszybciej wylądować w koszu. Tym bardziej niepojęte jest, dlaczego PiS, który twierdzi, że walczy z lewicową ideologią czy promowaniem obcych interesów kosztem Polski – w tym gospodarczych – przyczynił się do prowadzenia nad nim dalszych prac w Sejmie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Do nabycia na **www.tomaszcukiernik.pl**

Dla Czytelników „Do Rzeczy" 20% taniej. Kod rabatowy: DORZECZY

eprasa.pl acb5eb45c8

Spór o akcję „Wisła”

Karol Gac

Wróciła dyskusja na temat wydarzeń, które dzielą Polaków i Ukraińców. Wszystko za sprawą Sądu Okręgowego w Warszawie, który w lipcu, po rozpoznaniu zażaleń m.in. Związku Ukraińców w Polsce, postanowił uchylić postanowienie o umorzeniu śledztwa wydane przez prokuratora IPN. Sprawą niedawno zajęła się m.in. sejmowa komisja

Akcja „Wisła” to jedno z kluczowych wydarzeń związanych z trudnymi relacjami polsko-ukraińskimi w XX w. Przypomnijmy, że była to szeroka operacja przeprowadzona przez władze komunistyczne, mająca na celu przymusowe przesiedlenie ludności ukraińskiej, łemkowskiej i innych grup etnicznych z południowo-wschodnich obszarów Polski na tzw. Ziemie Odzyskane. Chodziło m.in. o rozbicie struktur UPA, która kontynuowała działalność zbrojną na tych terenach po drugiej wojnie światowej, oraz zabezpieczenie południowo-wschodnich części Polski. Rzecz jasna, Polacy i Ukraińcy patrzą na nią zupełnie inaczej, czego najlepszym przykładem była głośna i skandaliczna wypowiedź Dmytra Kułeby, ówczesnego szefa MSZ Ukrainy, na Campusie Polska. O ile dla nas na ogół była to konieczna odpowiedź na działalność UPA oraz jeden ze sposobów na przywrócenie spokoju w Polsce, o tyle dla Ukraińców to jeden z symboli polityki represji komunistycznych władz polskich wobec mniejszości ukraińskiej.

DECYZJA IPN

Przez lata akcja „Wisła” była raczej przedmiotem sporów historyków. Jednak decyzja pionu śledczego IPN w Rzeszowie z listopada 2023 r. o umorzeniu śledztwa w sprawie przymusowego przesiedlenia Ukraińców w 1947 r. wywołała gorącą dyskusję polityczną. IPN w obszernym komunikacie wyjaśnił, że „z ustaleń śledztwa wynika, iż ewakuacja osób o narodowości ukraińskiej, łemkowskiej i polskiej miała charakter prewencyjny i ochronny, a nie represyjny”, a także że „została ona przeprowadzona w konsekwencji masowych mordów dokonywanych na miejscowej ludności przez oddziały Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA)”. „W toku śledztwa nie znaleziono podstaw do stwierdzenia, że przesiedlenie stanowiło zbrodnię przeciw ludzkości ani zbrodnię komunistyczną, co podnosili prezes Związku Ukraińców w Polsce, przewodniczący Prezydium Zjednoczenia Łemków i jeden z ukraińskich przesiedlonych w zawiadomieniach o przestępstwie, w wyniku których zostało wszczęte postępowanie” – czytamy w komunikacie.

IPN podkreślił, że przy przesiedleniach nie stosowano kryterium narodowościowego, ponieważ poza ludnością ukraińską ok. 20 proc. przesiedlonych stanowili Polacy, a ponadto także Łemkowie. „Ewakuacja odbywała się w sposób humanitarny. Przesiedlani zabierali ze sobą większość ruchomego dobytku i zwierzęta. W transporcie pomagało wojsko. Zapewniano im posiłki, leki i pomoc lekarską. Warunki życia w nowym miejscu osiedlenia były lepsze niż w miejscach, które opuścili. Nowo zajmowane gospodarstwa i domy przekazano im na własność. Ewakuowana ludność ukraińska, polska i mieszana była traktowana na tych samych zasadach” – zaznaczono.

W komunikacie przywołano także genezę samej akcji „Wisła”, czyli terror UPA, jak również apele o pomoc i przebieg ewakuacji. „Z ustaleń śledztwa jednoznacznie wynika, że przesiedlenia miały charakter prewencyjny i ochronny. Ich celem nie było prześladowanie jakiejkolwiek grupy narodowościowej, a tym bardziej jej wyniszczenie. Śledztwo nie wykazało także, by podejmując uchwałę o akcji przesiedleńczej, przekroczono uprawnienia lub nadużywano obowiązków ani działano na szkodę pożytku publicznego lub prywatnego. Wobec niestwierdzenia przestępczego charakteru decyzji o przesiedleniu prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie zdecydował o umorzeniu postępowania” – podkreślono w konkluzji.

SĄDY WIDZĄ INACZEJ

Na listopadową decyzję prokuratury IPN zażalenie złożył Związek Ukraińców w Polsce. Najpierw sprawą zajął się Sąd Apelacyjny (w maju), a następnie warszawski sąd okręgowy (w lipcu). W obu instancjach konkluzja była taka sama: IPN będzie musiał się sprawą zająć ponownie. W lipcu, tuż po decyzji sądu okręgowego, „Do Rzeczy” poprosiło o komentarz w tej sprawie rzecznika Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Co ciekawe, prok. Robert Janicki przyznał nam wówczas, że „Sąd Okręgowy nie powiadomił prokuratora oraz wnoszących zażalenie o terminie posiedzenia i rozpoznał sprawę bez udziału stron, co – z punktu widzenia prokuratora, który miał prawo do udziału w posiedzeniu sądu odwoławczego – było sytuacją dlań zaskakującą”.

Sąd okręgowy w uzasadnieniu rozstrzygnięcia podniósł m.in., że w dalszym toku śledztwa należy dokonać kompleksowej oceny stanu faktycznego sprawy, korzystając „z prac naukowych na temat »akcji Wisła« osób o największym dorobku naukowym w tym zakresie” i ponownie podjąć decyzję kończącą śledztwo. „Wskazania te są dla prokuratora wiążące i w dalszym toku postępowania zostaną wykonane, niezależnie od tego, że w toku dotychczasowego śledztwa prokurator zapoznał się już z licznymi pracami naukowymi auto-

eprasa.pl acb5eb45c8

rów polskich oraz zagranicznych, tematyką których była »akcja Wisła«, co szczegółowo przedstawił w uzasadnieniu decyzji o umorzeniu śledztwa" – poinformował nas prokurator Janicki.

Tyle że to i tak łagodna ocena Sądu Okręgowego w Warszawie. Zwłaszcza że w orzeczeniu znalazło się wiele zarzutów pod adresem IPN. Sędzia stwierdził m.in., że prokurator IPN „w uzasadnieniu zaskarżonego postanowienia przedstawił nieprawdziwy przebieg Akcji »Wisła« – można by rzec, zgodny z historiografią PRL". Sąd zarzucił IPN również ni mniej, ni więcej to, że... powiela komunistyczną propagandę. „Nie sposób też nie zgodzić się z argumentami skarżących, że w części argumentacja prokuratora powtarza argumenty żywcem wyjęte z propagandy czasów stalinowskich, używane przez komunistyczne władze PRL" – czytamy w orzeczeniu.

Decyzja Sądu Okręgowego w Warszawie wzbudziła, rzecz jasna, aplauz po stronie liberalno-lewicowej, z „Gazetą Wyborczą" na czele. Co ciekawe, niedawno Nagrodę Historyczną m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego otrzymał prof. Grzegorz Motyka za książkę „Akcja »Wisła« '47. Komunistyczna czystka etniczna", który bardzo mocno krytykował IPN za listopadową decyzję.

WYMIAR PRAKTYCZNY

Wbrew pozorom spór, o którym mowa, ma nie tylko wymiar historyczny, lecz także bardzo praktyczny. 20 listopada sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych rozpatrywała informację prezesa IPN na temat umorzenia śledztwa w sprawie akcji „Wisła", jak również ministra klimatu i środowiska odnośnie do stanowiska Lasów Państwowych w toczących się postępowaniach sądowych o zwrot nieruchomości (lasów) przejętych przez Skarb Państwa po wysiedleniach ludności łemkowskiej. Drugi punkt jest o tyle ciekawy, że rok temu Wirtualna Polska poinformowała, że Prokuratura Okręgowa w Sosnowcu prowadzi śledztwo na ogromną skalę w sprawie reprywatyzacji państwowych lasów na rzecz Łemków i Ukraińców. Chodzi o tereny, na których miała miejsce akcja „Wisła".

„Od kilkunastu lat – informował portal – trwa reprywatyzacja publicznych lasów na rzecz Łemków i Ukraińców. Dotarliśmy do dokumentu Lasów Państwowych, w którym informują one szereg organów państwa o »piątym rozbiorze Polski« i nielegalnym procederze. O grunty oraz odszkodowania ubiegają się Łemkowie i potomkowie Łemków. Kawałki lasów są im oddawane jako rekompensata za nieruchomości utracone tuż po drugiej wojnie światowej w ramach przesiedleń dokonanych przez władze PRL. Nie zawsze oddane zostało to, co trzeba, i nie zawsze właściwym ludziom. A decyzje zapadały hurtowo". W Wirtualnej Polsce można było też przeczytać, że „państwo straciło już wielomilionowy majątek, a roszczenia sięgają miliardów złotych".

Wiadomo, że prokuratura bada ewentualne powiązania pomiędzy uczestnikami spraw o zwrot nieruchomości, wiarygodność dokumentów przedkładanych w toku postępowań administracyjnych oraz zachowania, co do których istnieje podejrzenie, że miały charakter korupcyjny. W śledztwie analizowanych jest kilkaset spraw administracyjnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

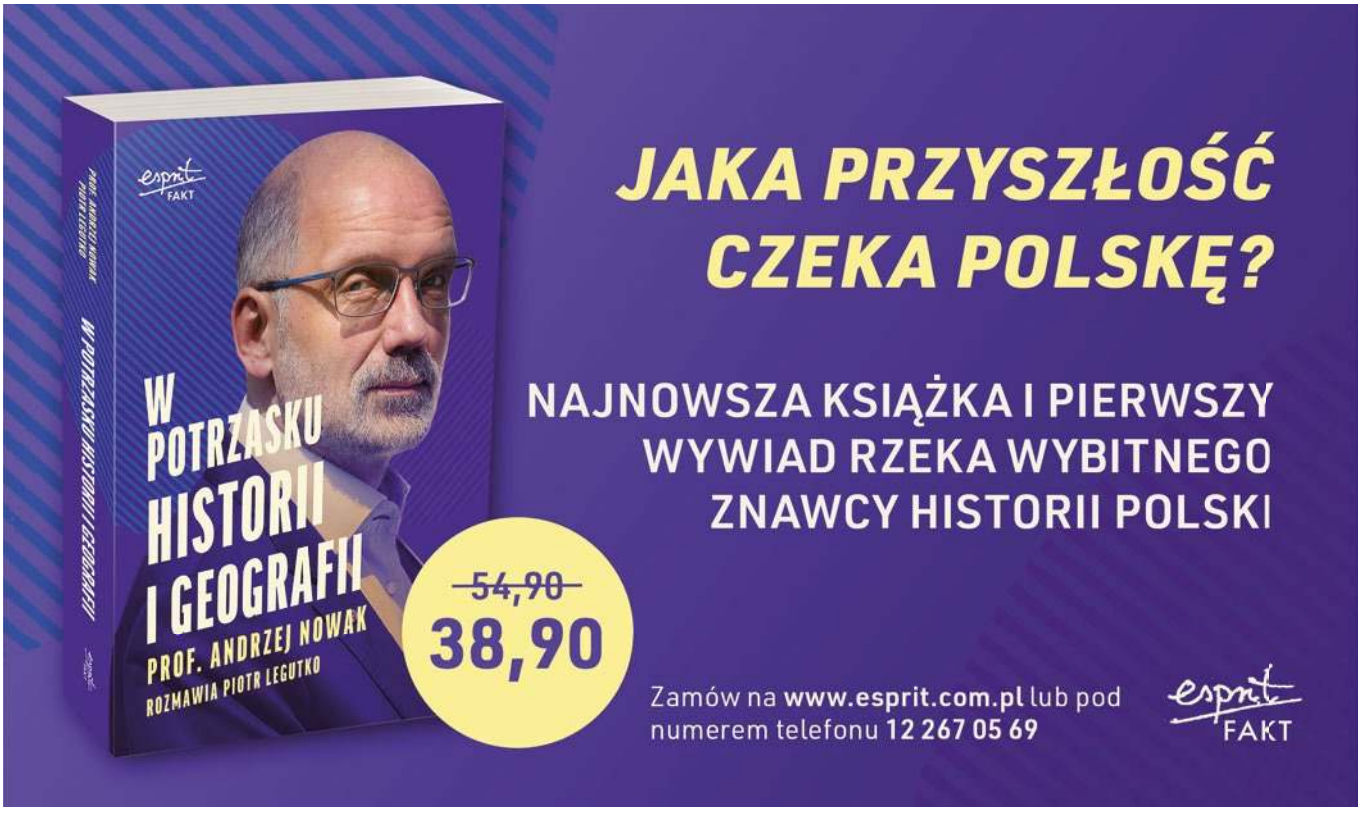

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Kandydat (zbyt) idealny

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Jest najmądrzejszy, najbardziej wykształcony i – rzecz jasna – najwyższy. Wsparcie medialne dla Rafała Trzaskowskiego w walce o prezydenturę przekracza niekiedy granice dobrego smaku. I zdrowego rozsądku

Obaj przyciągają. Każdy na swój sposób. W oczach elektorów z pokolenia Z Sikorski, zwany przez nich Chadosławem, jest sigmą, charyzmatycznym i pewnym siebie przywódcą. Trzaskowski zaś jak Daddy – ciepły, przystojny, z uśmiechem, który młodzi działacze chętnie utrwalają na wielu selfie" – ten fragment tekstu ze stołecznej „Gazety Wyborczej" znakomicie obrazuje poziom uwielbienia dla polityków KO w mediach lewicowo-liberalnych. W artykule poświęconym prawyborom, które ostatecznie, ze zdecydowaną przewagą wygrał Rafał Trzaskowski, autor wyjaśnia, co właściwie oznacza przydomek „Daddy": „Daddy to z ang. tatuś, ciepły, do tego przystojny. Tak już od czasu kampanii sprzed pięciu lat pokolenie Z mówi o Rafale Trzaskowskim. Co jakiś czas na TikToka wracają trendy, w których użytkownicy, a przede wszystkim użytkowniczki udostępniają składanki jego wypowiedzi i zdjęć".

– Wizerunek Daddy'ego wychodzi daleko poza partyjną bańkę. Moi znajomi nie ukrywają, że Rafał jest przystojny i to skłania ich do głosowania – przekonuje jedna z działaczek KO, a obiegowe opinie potwierdza swoim autorytetem dr hab. Wojciech Rafałowski z Wydziału Socjologii UW. – Trzaskowski jest odbierany jako ciepły, przyjazny, otwarty – przekonuje. Rafałowski tłumaczył, że włodarz Warszawy jest atrakcyjniejszym kandydatem dla młodych: „Trzaskowski trafi do młodych kobiet. Jego wrażliwość, troskliwość, zwracanie uwagę na mniejszości – to będzie przyciągało. Generalnie młodym ludziom będzie bliższy Trzaskowski, bo zabezpiecza ważne dla nich prawa".

O WIĘKSZEGO TRUDNO ZUCHA

Pean nasuwający na myśl czasy słusznie minione wygłosił na cześć kandydata KO aktor Michał Żebrowski. – Kibicuję, wspieram całym sercem. Jestem tym przejęty, że tak wybitny człowiek, mądry, odpowiedzialny, którego znam od dziecka, być może będzie głową mojego państwa – mówił w rozmowie z Dorotą Wysocką-Schnepf w TVP Info. Żebrowski jest prze-

eprasa.pl acb5eb45c8

konany, że wybory w 2020 r. były oszukane i tylko dlatego Andrzej Duda pokonał Rafała Trzaskowskiego. W jego opinii nie ma możliwości, aby w normalnej, uczciwej konkurencji ktoś taki jak prezydent Warszawy przegrał. – Pan prezydent Trzaskowski w moim mniemaniu jest najinteligentniejszym, najmądrzejszym, najbardziej odpowiedzialnym człowiekiem, jakiego spotkałem w ogóle. Wiele osób spotkałem. Podziwiam jego drogę prywatną, zawodową, polityczną. Jego odpowiedzialność i umiejętność tytanicznej pracy. Umiejętność rozwoju. W zasadzie od dziecka – podkreślał.

Aktor i polityk znają się od szkoły podstawowej, gdzie siedzieli w jednej ławce. – Odkąd pamiętam, zachęcał nas do nauki, zabierał na jakieś wycieczki. Z tego robił albumy, dzielił się wiedzą. Udzielał korepetycji za darmo z języka angielskiego i nie tylko. Człowiek, który w zasadzie zna chyba każdy język europejski z wyjątkiem niemieckiego. Zna historię tych narodów lepiej niż ci cudzoziemcy – kontynuował Żebrowski. – Miałem szczęście spotkać Rafała w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Już zaraz pierwszego dnia zorientowałem się, że coś jest nie tak, bo zapytał mnie, dlaczego spisuję z tablicy po jednym słowie – czytam słowo, spisuję, potem następne, następne. Udzielił mi rady, że można przeczytać całe zdanie i spisać – wspominał z rozrzewnieniem gwiazdor.

Według jego relacji Trzaskowski nie tylko udzielał korepetycji „wielu osobom", lecz także dziś, tak jak kiedyś, jest „niekwestionowanym liderem, przywódcą". – Zawsze był przewodniczącym samorządu, trzecia, czwarta klasa – już poszedł „w generały". Był ulubieńcem zarówno dzieci, uczniów w szkole podstawowej, w liceum, na studiach, jak i rady pedagogicznej – rozpływał się Michał Żebrowski.

Taka dawka lukru zaszokowała nieco chyba nawet samą prowadzącą, która stwierdziła, „że nie ma takich ludzi". – Są, są. Niesamowite, bo Rafał po prostu kocha ludzi, lubi ludzi. Bardzo rzadko zdarza się, żeby źle o kimś mówił. To jest jego wielki atut, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak jest atakowany. Pan prezydent zawsze łączył cechy zarówno lidera w nauce, jak i lidera, który lubi potańczyć, słucha muzyki, wyjeżdża na narty, gra w piłkę nożną. Pełnia, pełnia – nie odpuszczał serialowy Wiedźmin. – Rafał się zawsze bardzo dobrze uczył. Bardzo lubił się uczyć, do dzisiaj tak jest. To nie raziło kolegów, bo poza tym imprezował. Był ulubieńcem dziewczyn oraz swoich kolegów. Nie ma takich ludzi, a jednak jest. Cieszmy się, że jest taki Polak – apelował aktor.

Nawet gdy między przyjaciółmi dochodziło do sporów, Trzaskowski potrafił rozwiązywać je w sposób niemalże salomonowy. Gdy pokłócili się o dziewczynę, udało się dogadać – konflikt zakończył się spotkaniem w barze Poziomka. – Od tamtego momentu klamka zapadła [...], że już się nie będziemy kłócić. Julita jest naszą bardzo dobrą koleżanką do dzisiaj. I też wspiera Rafała, to wiem na pewno – skwitował artysta.

Prezydent Warszawy był świadkiem Żebrowskiego na jego ślubie z żoną, Aleksandrą.

DRUGI KWAŚNIEWSKI

Wsparcie mainstreamu dla Trzaskowskiego nie zawsze jest tak ostentacyjne. Dziesiątki wymownych, choć nie tak jak w przypadku peanu Żebrowskiego dosłownych sugestii, że to kandydat KO najbardziej pasuje do urzędu Prezydenta RP, od miesięcy zalewa media (od miesięcy, bo od miesięcy wiceszef PO sugerował, że chce walczyć o prezydenturę). Atuty, także wizualne, kandydata KO lubią podkreślać sprzyjający mu badacze. Sławomir Sierakowski przekonuje na łamach „Wyborczej", że Trzaskowski „na pewno ma możliwość absolutnego zdominowania lewej strony […]. Ponieważ Lewica słabuje, wszyscy myślą, że trzeba łowić na prawo od centrum. A ja zwracam uwagę na długi trend liberalizacji i sekularyzacji społeczeństwa". Socjolog uważa, że skoro Polacy się liberalizują, to „wychodzący poza swoją bańkę Trzaskowski" jest jedynym politykiem, „który w innej partii uważany jest za bardziej popularnego niż liderzy tej partii".

„Trzaskowski jest trochę jak Aleksander Kwaśniewski. Sympatyczny, ładny, taki, którym się można pochwalić za granicą. Obciążeniem może być jego elitarność, ale przez lata udało mu się zmienić nieco ten wizerunek. Na Campusie, przed młodymi, występuje w dżinsach, w bluzie z kapturem. Przez to nabiera nie tylko wyluzowanego, nowoczesnego, lecz także ludowego charakteru. Prezydent Warszawy może się podobać w elektoracie szeroko rozumianej prawicy z tego samego powodu, z którego zaczął podobać się Kwaśniewski" – twierdzi Sierakowski.

PIĘKNIŚ ZE ŚMIETANKI

Trzaskowskiego chwali się w mediach za styl. – Łączy klasyczną elegancję z delikatnym, młodzieżowym akcentem, który trafia do młodszych pokoleń. Jest nowocześnie, schludnie, ale bez przesadnej sztywności. Sportowe elementy? Tak, ale w wyważonych proporcjach, dowód na to, że wygoda i styl mogą iść w parze – komentuje stylistka Ewa Rubasińska-Ianiro (popierany przez PiS Karol Nawrocki nie może się rzecz jasna z nim równać – według ekspertki „Nawrocki mógłby skorzystać z solidnego kursu stylu, charyzmy i ogólnej prezencji"). Interesujące i do granic pretensjonalne tytuły można znaleźć w serwisie styl.fm. „Tak wygląda żona przystojniaka Rafała Trzaskowskiego"; „Piękny Rafał Trzaskowski wybudował most na Pragę"; „Tak wyglądał Rafał Trzaskowski za młodu. Przystojniak od urodzenia?"; „Modny Rafał zadał szyku w golfie i kaszkiecie na torze wyścigów konnych"; „Rafał Trzaskowski bohaterem mema! Przyrównują go do... Massimo z »365 dni«!" – to niektóre z nich. Z kolei „Fakt" pisze o włodarzu stolicy tak: „Ile języków zna Rafał Trzaskowski? Prezydent Warszawy deklaruje znajomość pięciu. Poliglota, tłumacz, wykładowca i pasjonat książek".

Dla serwisów lifestyle'owych ważne jest, że Trzaskowski należy do śmietanki towarzyskiej Warszawy, czego o kandydacie opozycji powiedzieć nie można. „W niedzielę rodzimi prominenci mieli sposobność zabawić się na elitarnym wydarzeniu, za które bez dwóch zdań uznać można Wielką Warszawską. Wśród znamienitych gości wydarzenia wymienić można m.in. Jana Lubomirskiego-Lanckorońskiego z żoną, Rafała Trzaskowskiego czy Agnieszkę Fitkau-Perepeczko. Zobaczcie, jak bawi się śmietanka towarzyska Warszawy" – portal Pudelek opisywał Wielką Warszawską 2024. „Wśród gości elitarnego wydarzenia wypatrzeć można było Rafała Trzaskowskiego z małżonką, który potraktował jeździecki dress code wyjątkowo poważnie. Prezydent Warszawy zdecydował się na kraciastą marynarkę, którą zestawił z golfem w odcieniach fioletu. Całość dopełnił kaszkiet" – czytamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

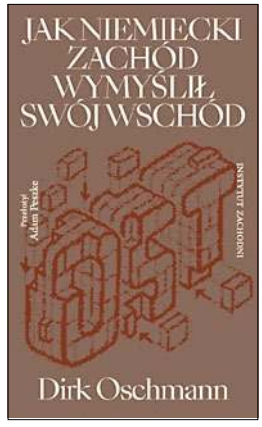

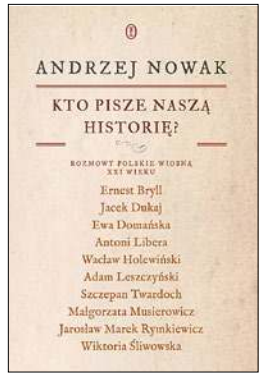

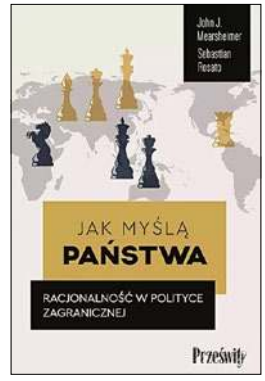

Piotr Gociek

10 powodów

Subiektywny przegląd mądrych lektur, które powinny trafić pod choinkę

W Polsce ukazuje się za dużo książek. Jednak wciąż za rzadko czytamy te, które powinniśmy. Pora zatem na kilka podpowiedzi.

CZY JEST INNA ROSJA

Rosja carska, Rosja komunistyczna – żadna różnica: tak czy inaczej mamy do czynienia ze śmiertelnym wrogiem Polski, dla którego samo istnienie naszego państwa jest przeszkodą w ekspansywnej polityce. Te rozważania Józefa Piłsudskiego doskonale opisał prof. Andrzej Nowak w książce „Polska i trzy Rosje", poświęconej polskiej polityce wschodniej owego okresu. Ale czym jest ta trzecia Rosja? Najkrócej – to Rosja nieimperialna, prozachodnia, demokratyczna, Rosja, z którą nie tylko można się porozumieć, lecz także dla wspólnego dobra współpracować.

Taka Rosja nie istnieje i istnieć nie może – przekonuje Maciej Pieczyński w książce „Nie ma innej Rosji" (Zona Zero 2024). W imponującej, dogłębnej w analizie źródeł i komentarzy pracy Pieczyński podsumowuje wszystkie czynniki sprawiające, że sama natura Rosji jest imperialna, agresywna i despotyczna. Czyni to ciekawiej i lepiej od autorów rozmaitych modnych ostatnio rozważań o Putinie, bo zajmuje się także rosyjską kulturą. Niezmiernie ucieszyło mnie, że sięgnął choćby po prace Michaiła Epsteina, zupełnie w Polsce nieznanego wybitnego znawcy procesów kształtujących Rosję. (Jego książka „Ironia i ideał" jest doskonałą analizą literatury rosyjskiej jako rozsadnika kultury przemocy i pogardy). Pieczyński dał nam w tym roku już świetną książkę „Stalin wiecznie żywy". „Nie ma innej Rosji" to rzecz jeszcze lepsza.

JAK NIEMCY WYMYŚLILI SWÓJ WSCHÓD

Dla równowagi porozmawiajmy o zagrożeniu z drugiej strony. W znakomitej serii „Speculum" Instytutu Zachodniego ukazała się książka Dirka Oschmanna „Jak niemiecki Zachód wymyślił swój Wschód". Nie chodzi o Europę Środkową i Wschodnią, lecz o to, jak po 1989 r. zbudowano w Niemczech krzywdzącą narrację wobec NRD i jego mieszkańców. Przypomnijmy, że nie było mowy o żadnym „zjednoczeniu", po prostu RFN anektował NRD, czyli część kraju odłączoną przez Związek Sowiecki i okupowaną przez Armię Czerwoną.

Oczywiście z jednej strony nie ma w tym nic złego: ostatnią rzeczą, której potrzebowały wolne zjednoczone Niemcy, było wpuszczenie do struktur państwa komunistycznych oprawców, oficerów Stasi czy specjalistów od księżycowej, znaczy nakazowo-rozdzielczej gospodarki. Jednakże proces, który opisuje Oschmann, miał jeszcze inny charakter: wschodnie Niemcy zostały jednocześnie skolonizowane przez kapitał z Niemiec Zachodnich, a zarazem obwinione o wszystko, co złe. Jeśli dziś pojawiają się w Berlinie i Bonn tyrady o faszystach, leniach, roszczeniowych homo sovieticus itd., to zwykle w czarnym świetle przedstawia się właśnie mieszkańców wschodnich landów. Oschmann pisze, jak jest naprawdę, piętnuje hipokryzję i wskazuje, jak polityka Zachodu doprowadziła do utrwalenia podziału Niemców na obywateli pierwszej i drugiej kategorii. To fascynująca lektura, bo odnajdujemy w argumentacji elit Zachodu te same argumenty i tę samą pogardę, którymi opisywano w Polsce po 1989 r. prowincję, robotników, rozmaite „grupy roszczeniowe", rzekomych ksenofobów itd.

KTO PISZE NASZĄ HISTORIĘ

Jak dowodzi lektura książki wspomnianej wyżej, liczy się nie prawda, lecz narracja – czyli kto i jak dane wydarzenia opisał i narzucił swoją interpretację. „Kto pisze naszą historię?" (Wydawnictwo Literackie 2024) to tom wywiadów przeprowadzonych przez prof. Andrzeja Nowaka z autorami o bardzo różnych temperamentach i poglądach – są tu i Jacek Dukaj, i Szczepan Twardoch, i Adam Leszczyński, i Jarosław Marek Rymkie-

eprasa.pl acb5eb45c8

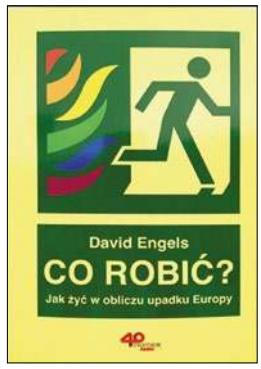

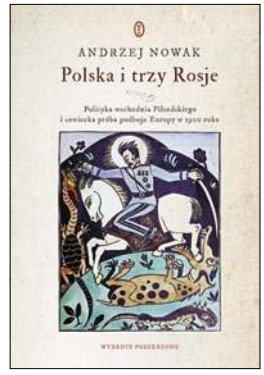

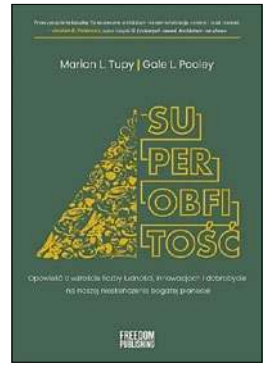

do myślenia

wicz. Dziesięć rozmów nie tylko o tym, jak te bardzo różne osobowości widzą wypadki przeszłe i obecne, lecz także o tym, czy znajdujemy się w punkcie zwrotnym i co może za chwilę się wydarzyć (czy może nawet jest nieuniknione). Bardzo ciekawe są rozważania Twardocha o wojnie na Ukrainie, którą ogląda z bliska, na okrwawionych ziemiach. Kapitalne są fragmenty, w których odpytywani pisarze opowiadają o tym, co ich ukształtowało, jak uczyli się postrzegać i rozumieć świat. „Kto pisze naszą historię?" to doskonały ciąg dalszy tomu wywiadów „O historii nie dla idiotów", który zawierał rozmowy z zawodowymi historykami.

JAK MYŚLĄ PAŃSTWA

Ot, niezamierzona koincydencja – w nagranej wiosną 2024 r. rozmowie Twardoch opowiada o jednej ze swoich ostatnich lektur, książce „How States Think" Johna J. Mearsheimera. I oto mamy już tę pozycję przełożoną i wydaną w Polsce: „Jak myślą państwa. Racjonalność w polityce zagranicznej" (Prześwity 2024). Współautorem pracy jest Sebastian Rosato.

Mearsheimera czyta się w Polsce w ostatnich latach, ale mam wrażenie, że niedokładnie, czyniąc go zakładnikiem sporów o bieżącą politykę zagraniczną. Amerykański politolog naraża się na zarzuty, że jest sojusznikiem Rosji albo że usprawiedliwia Putina, gdy wprowadza do swych analiz czynnik racjonalności. A przecież gdy pisze, że wbrew rozpowszechnionym opiniom przywódca Rosji to nie szaleniec, lecz polityk kalkulujący rozsądnie, to nie chwali go jako dobrego męża stanu, tylko dostrzega, że postępuje racjonalnie, myśląc o długofalowym interesie swojego państwa. Nie mylmy moralności z racjonalnością – zachęca Mearsheimer. I odnotujmy, że działania racjonalne nie muszą prowadzić do sukcesu. To po prostu takie działania, które wydają się uzasadnione i racjonalne na podstawie dostępnych teorii opisujących rzeczywistość. Decyzja o rozszerzeniu NATO była racjonalna, decyzja o drugiej inwazji na Irak nie – twierdzi politolog.

CO ZAMIAST GLOBALIZMU

Widmo krąży nad światem, widmo zmiany. Ale zmiany na co? I czym tak naprawdę jest ona wywołana? Czy globalizm się wyczerpał? A może nigdy nie istniał, była tylko neokolonialna polityka międzynarodowa połączona z neofeudalną polityką wewnętrzną? Czy kres globalizmu to kres modernizmu, a nawet i postmodernizmu? Zastanawia się nad tym dr Michał Kuź w książce „Globalizm, lokalizm i nowe średniowiecze" (Ośrodek Myśli Politycznej 2024).

Sięgając po termin „nowe średniowiecze", ma na myśli jeszcze coś innego niż Bierdiajew czy Jęczmyk; Kuź odnotowuje współistnienie pozornie sprzecznych procesów. Naszym życiem coraz bardziej kierują ponadnarodowe imperia widzialne i niewidzialne (gospodarcze, medialne, kapitałowe), więc niby wszystko się globalizuje, ale jednocześnie reakcją na to jest lokalizm w skali nieznanej od wieków – cenimy to, co rozumiemy i możemy kontrolować, a jest to jedynie nasze bezpośrednie otoczenie. Bańki informacyjne, w których żyjemy, stały się odpowiednikiem dawnych wiosek oddzielonych przepastnymi borami – ich mieszkańcy wiodą życie zupełnie osobne, a zarazem zanurzeni są w życiu imperium (kiedyś łatwo było wskazać jakiego – politycznego jak monarchia Karola Wielkiego, religijnego jak christianitas itp.). Kto przetrwa mroki intelektualnego wandalizmu nowego średniowiecza? Może znów peryferia ocalą skarby dawnych epok.

CZY UNIA EUROPEJSKA TO RZYMSKA REPUBLIKA

W paralele historyczne zagłębił się mocno – i jakże prowokacyjnie – prof. David Engels, pisząc książkę „Na drodze do imperium. Kryzys Unii Europejskiej i upadek republiki rzymskiej" (Instytut Zachodni 2022). Od polskiej edycji minęły dwa lata, od napisania książki – lat jedenaście. Ale przeszła u nas niemal niezauważona, tymczasem dostrzec trzeba ją z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to chyba najlepsza na naszym rynku analiza procesów rozsadzających Unię Europejską. Lista zgubnych zjawisk liczy 12 punktów, analiza każdego z nich przedstawiona jest poprzez definicję konfliktu: etniczność a kosmopolityzm, społeczeństwo a egoizm, wiara a racjonalizm,

eprasa.pl acb5eb45c8

wolność a równość itd. Od kryzysu zaufania do władzy do kryzysu demograficznego: obraz nakreślony przez prof. Engelsa jest kompletny i ponury.

Najbardziej jednak zaskakuje część ostatnia, w której belgijski historyk zastanawia się, czy Unia Europejska bliska jest osiągnięcia punktu cezariańskiego. Krótko mówiąc: czy jedynym rozwiązaniem, jedyną drogą ucieczki do przodu nie okaże się radykalna zmiana. Ale nie powrót do Europy ojczyzn. „Po republice rzymskiej nieuchronnie nastąpiły rządy Augusta" – pisze Engels. I zastanawia się, czy i Europa nie jest u progu „autorytarnej, plebiscytarnej i konserwatywnej reformy naszego społeczeństwa, która może przypominać przeobrażenie republiki rzymskiej w pryncypat Augusta". Jest to niesamowity materiał do przemyślenia. A nawet jeśli się z taką spekulacją nie zgadzacie, to analiza stanu Unii pozostaje o Engelsa trafna i bezlitosna.

CO ROBIĆ

Kilka lat po rozważaniach nad przyszłością Unii opinia prof. Engelsa na temat jej stanu obecnego stała się tak zła, że wzbogacił swój dorobek o zaskakującą głębokim pesymizmem książkę „Co robić? Jak żyć w obliczu upadku Europy" (Tysol 2022). Tej pozycji też czytelnicy nie zauważyli; dostępna jest właściwie tylko w sklepie internetowym „Tygodnika Solidarność", więc tam wszystkich odsyłam.

W broszurze tej prof. Engels przedstawia nam właściwie manifest współczesnego konserwatysty, który widzi, że świata już nie da się uratować. Szaleństwo polityczne i ideologiczne Unii Europejskiej oraz jej głęboki kryzys tożsamości zaszły już tak daleko, że trzeba opracować plan przetrwania (dziwnie współbrzmi to z rozważaniami Michała Kuzia na temat tego, które peryferia przechowają dla nowych czasów skarby dawnych czasów). Wzywa więc Engels do wyrzeczenia się wiary we współczesne zbiurokratyzowane i przeżarte ideologiami państwo, do budowy nowego społeczeństwa obywatelskiego, zakładania rodziny, posiadania dzieci i mądrego ich wychowywania, do powrotu do wiary, do mądrych lektur, do obrony historii. David Engels ocalić chce wieczny Zachód przez powrót do tego, co najważniejsze.

Gdy jedni zastanawiają się nad tym, jak ocalić świat, inni niecierpliwie czekają na jego spektakularny koniec

A Europę Środkowo-Wschodnią widzi jako ostatni bastion, w którym stoczy się ostatnia bitwa o przyszłość.

CZY TRANSHUMANIZM WYGRA

W tym samym czasie, gdy jedni zastanawiają się nad tym, jak ocalić świat, inni niecierpliwie czekają na jego spektakularny koniec, licząc, że z gruzów starego porządku wyłoni się nowy raj. Trafiła właśnie na półki księgarskie książka „Osobliwość coraz bliżej" (Relacja 2024), w której guru transhumanizmu i autor głośnej książki „Nadchodzi osobliwość: kiedy człowiek przekroczy granice biologii" (2005, polska edycja 2013) uwspółcześnia swój poprzedni wywód – moc obliczeniowa komputerów rośnie tak szybko, że pojawienie się sztucznej inteligencji jest nieuniknione, za rogiem czekają zaś takie cuda jak „przepisywanie" ludzkiej świadomości do cyfrowej pamięci, powielanie osobowości, funkcjonowanie istoty ludzkiej jedynie jako dodatku do „duszy w chmurze". Wspominam tę książkę nie dlatego, że jest wybitna czy szczególnie wartościowa, ale dlatego, że wypada znać wroga i jego manifesty. Tytułowe „coraz bliżej" bardzo przypomina mi czasy, kiedy przekonywano, że i nadejście raju socjalizmu jest coraz bliżej. Jak wiadomo, główną cechą owego raju było to, że ciągle nadchodził, ale nigdy nie nadszedł.

JAK BYĆ OPTYMISTĄ

Uwaga – nie trzeba być świrem od transhumanizmu, żeby być optymistą. Oto autorzy arcyciekawej książki „Superobfitość" (Freedom Publishing 2024) rozwalają system, tzn. rozbijają taranem argumentów smętne pogadanki o tym, jak to ludzkość niszczy swoją planetę, oraz wywody o potrzebie przetrzebienia naszej liczebności jako jedynym sposobie ratunku dla planety. Lektura nie jest łatwa, bo Marian L. Tupy i Gale L. Pooley (ceniony amerykański ekonomista) zasypują nas danymi i tabelami. Ale cóż z tych tabel wynika? Ano to, że dobrobyt ludzkości, liczne innowacje, które czynią nasze życie bardziej znośnym, przełomowe technologie itp. – wszystko to jest owocem wzrostu liczby ludności. Krótko mówiąc, to ludzie są najcenniejszym zasobem naszej planety. I to oni zmieniają ją na lepsze. To dzięki ludziom wiemy, jak wydajniej zagospodarować surowce, to dzięki dobrym pomysłom ludzi można korygować skutki złych pomysłów innych ludzi. Rozmaite maltuzjańskie koncepcje radykalnego ograniczenia populacji naszej planety, rozpaczliwe jęki Ostatniego Pokolenia – wszystko to bzdura. To ludzie uczynili Ziemię tak przyjemnym miejscem, jakim jest w tej chwili.

JAK BĘDZIEMY ŻYĆ NA MARSIE

Skoro mogliśmy uczynić jedną planetę zdatną do zamieszkania dla miliardów ludzi, to czemu nie moglibyśmy zrobić tego z inną planetą? Robert Zubrin, amerykański inżynier i wynalazca, w książce „Jak będziemy żyli na Czerwonej Planecie" (Prószyński i S-ka 2024) pokazuje, jak blisko jesteśmy rozpoczęcia tego dzieła. Przeciętny czytelnik nie zdaje sobie sprawy z tego, że właściwie niemal wszystkie technologie umożliwiające życie na Marsie (poprzez wykorzystanie tamtejszych surowców i zmrożonej wody) już istnieją. A Elon Musk jest bliski otwarcia prawdziwej ery kosmicznej dzięki seryjnej produkcji pojazdów Starship. To nie kwestia stuleci, lecz lat – koszt wyniesienia na orbitę i przewiezienia na Marsa 1 kg ładunku spadnie o kilka rzędów wielkości. A masowa emigracja będzie możliwa, gdy cena biletu na Marsa wynosić będzie 300 tys. dol.

Jak możliwy będzie rozwój cywilizacji na Marsie? Ano tak samo jak na Ziemi, tu Zubrin jest zgodny z autorami „Superobfitości" – ludzie zmieniają rzeczywistość. „Nie ma czegoś takiego jak zasoby naturalne – pisze Zubrin. – Są tylko surowce naturalne. To ludzka pomysłowość, znajdująca swoje odzwierciedlenie w technologii, zamienia surowce w zasoby". Ano właśnie. Dla kogoś, kto nie wie, jak przetworzyć rudę żelaza, jej pokłady są bezużyteczne, prawda? Człowiek nie jest szkodnikiem – człowiek jest jedyną nadzieją ludzkości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

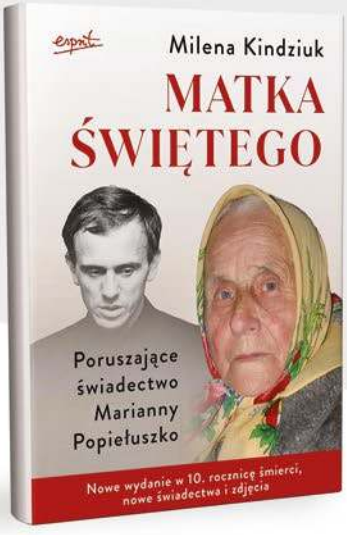

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MILENA KINDZIUK: „MATKA ŚWIĘTEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~509~~ZŁ

269,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 240ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl acb5eb45c8

Z reżyserem Jackiem Bromskim
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Dyskretny urok prowincji

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W epoce słusznie minionej najsławniejszą polską wsią były bodaj Jeziorany. Oczywiście za sprawą radionoweli rozgrywającej się tam od ponad sześciu dziesięcioleci. Po przemianach ustrojowych temat rustykalny spopularyzowała telewizja. Dość przypomnieć parafię w Tulczynie goszczącą na ekranie przez ponad dekadę w serialu „Plebania" czy też sitcom „Ranczo". Ten ostatni doczekał się nawet kontynuacji kinowej. Jednak niewątpliwie najsilniej w pamięci kinomanów zagościł tryptyk Sylwestra Chęcińskiego, powstały na kanwie prozy wspomnieniowej Andrzeja Mularczyka: „Sami swoi", „Nie ma mocnych", „Kochaj albo rzuć", okraszony kreacjami Wacława Kowalskiego i Władysława Hańczy. Skądinąd w tym roku cykl doczekał się kontynuacji, nieudanej niestety, toteż może litościwie ją przemilczmy.

Formę tetralogii przybrała również opowieść tocząca się w scenerii Podlasia. Zlokalizowana w osadzie istniejącej na mapach, a nie fikcyjnej. Królowy Most w oko kamery wpadł jeszcze u schyłku ubiegłego stulecia. Początek dziejów tej flagowej serii filmowej III Rzeczypospolitej wyznacza scenariusz Tadeusza Chmielewskiego zatytułowany „Ave Marusia". Ów twórca kojarzony głównie z komediami („Ewa chce spać", „Gdzie jest generał…", „Nie lubię poniedziałku"), chociaż w dorobku ma także głośne obrazy innych konwencji („Wśród nocnej ciszy", „Wierna rzeka"), chyba przedwcześnie porzucił pracę reżysera. Poświęciwszy się działalności producenckiej, bacznie obserwował naszą transformację społeczno-ekonomiczną. Zapewne pod jej wpływem utkał historię wyedukowanej wokalnie Rosjanki, przybywającej do Polski w poszukiwaniu godziwego zarobku. Kryminalny przypadek spowodował, że wylądowała w skromnej mieścinie pod nader szlachetną nazwą. Taka jest, upraszczając, geneza komedii „U Pana Boga w ogródku", stanowiącej trampolinę kariery zawodowej Jana Wieczorkowskiego. A zarazem dającej ogólnokrajową rozpoznawalność artystom Białostockiego Teatru Lalek: Krzysztofowi Dziermie (wcielił się w postać proboszcza) oraz Andrzejowi Zaborskiemu, odtwórcy roli komendanta posterunku policji.

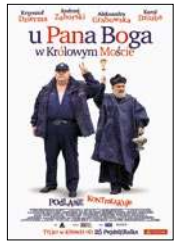

REŻ. JACEK BROMSKI
„U PANA BOGA W KRÓLOWYM MOŚCIE"
POLSKA 2024

Owe odkrycia aktorskie zawdzięczmy reżyserowi dzieła, Jackowi Bromskiemu. W dwóch kolejnych zrealizowanych pod jego egidą odcinkach sagi („U Pana Boga za miedzą" i „U Pana Boga w ogródku") szkielet konstrukcji fabularnej jest zbliżony. Oto urokliwą wieś odwiedza ktoś z zewnątrz. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z recydywistą, który dzięki statusowi świadka koronnego zyskał niejako możliwość rozpoczęcia nowego życia, i z raczkującym w fachu stróżem prawa, w drugim z Polonusem powracającym do rodzinnej sadyby po wielu latach amerykańskiej emigracji. Emilian Kamiński, Wojciech Solarz i Grzegorz Heromiński oczarowali widzów, podobnie jak partnerujące im – odpowiednio – Małgorzata Sadowska, Agata Kryska oraz Agnieszka Kotlarska. Czy podobnie będzie z Aleksandrą Grabowską, bohaterką „U Pana Boga w Królowym Moście", czwartej odsłony tej swojskiej, narracji? Między innymi o tym opowiada reżyser filmu, Jacek Bromski.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kiedy i jak trafił pan do Królowego Mostu?

JACEK BROMSKI: W połowie lat 90., przejeżdżając ok. 20 km od Białegostoku, zobaczyłem wioskę, której nazwa utkwiła mi w pamięci. To były kilka chałup na krzyż, cerkiewka i cmentarz prawosławny. Na filmowy Królowy Most składają się plenery z Tykocina, Supraśla, Sokółki i Wierzchlesia.

Ksiądz i komendant policji to z perspektywy podlaskiej prowincji figury najważniejsze?

No, jest jeszcze burmistrz. Równie istotny. Tak to wynika ze scenariuszy.

Życie toczy się tam leniwie dopóty, dopóki nie wkraczają politycy?

Nam życie też pewnie płynęłoby spokojniej, gdyby nie doskwierająca polityka. Królowy Most się zbuntował, zapewne i w naszym imieniu.

Czwarty odcinek cyklu stanowi reżyserski komentarz do coraz bardziej otaczającej nas rzeczywistości, że przywołam określenie Kazimierza Rudzkiego?

Każdy z tych filmów jakoś odnosi się do realiów, które przecież się nieustannie zmieniają. Pierwszy film powstał, przypomnijmy, 26 lat temu. Jeszcze w ubiegłym stuleciu!

Kiniarze przypisali obraz do kategorii „komedia". Mam wątpliwości co do tej decyzji.

Dlaczego? Widzowie często się śmieją. Przecież są różne komedie. To nośny gatunek. Komedia nie musi być głupia. Ja mam nadzieję, że po tych filmach zawsze coś zostaje

eprasa.pl acb5eb45c8

Królowy Most – wieś położona w województwie podlaskim, na skraju Puszczy Knyszyńskiej, ponad 20 km na wschód od Białegostoku. Zaistniała w kinowej tetralogii Jacka Bromskiego: „U Pana Boga za piecem" (1998), „U Pana Boga w ogródku" (2007), „U Pana Boga za miedzą" (2009) i „U Pana Boga w Królowym Moście (2024). Trzy ostatnie tytuły mają również wersje serialowe.

w pamięci widza, że uruchamia się refleksja, nasuwają się odniesienia, pojawiają się jakieś pytania…

„U Pana Boga w Królowym Moście" zabrakło kilku bohaterów z poprzedniej części, choćby Polonusa z USA czy organisty z rosyjską małżonką. Dlaczego?

Kwestia scenariusza. Jedne postacie odchodzą, żeby mogły pojawić się kolejne. W tym filmie i serialu gra kilkunastu młodych aktorów i aktorek z Białostockiego Teatru Lalek, wszyscy ogromnie utalentowani.

Po raz ostatni wystąpił na ekranie Emilian Kamiński…

Tak, niestety… Wielka strata dla polskiego aktorstwa. Ale bardzo był zadowolony, że zdążył zagrać tę rolę, mówił o tym żonie w szpitalu. Chociaż martwił się, że nie nakręcił jednej sceny do serialu. Zabraknie jej, lecz rola jest wspaniała.

Trzy poprzednie odcinki tetralogii miały wersje serialowe. Teraz będzie podobnie?

Owszem, powstał serial, 12-odcinkowy. Inny niż film, może bardziej komediowy.

Seria wypromowała wielu aktorów i aktorek. Tym razem nową twarzą jest Aleksandra Grabowska.

Taka jest dramaturgiczna zasada wszystkich tych filmów – poznajemy Królowy Most oczami przybysza. W głównej roli debiutowała nie tylko Ola, lecz także jej partner, Karol Dziuba. Po ukończeniu zdjęć u nas od razu dostał propozycje do serialu „Dewajtis" i prequelu „Samych swoich", a ponieważ tamte filmy ukazały się wcześniej, a nasza premiera została opóźniona przez kłopoty „cenzuralne", nikt nie wie, że to u nas naprawdę debiutował.

Kłopoty cenzuralne?! Jak mamy to rozumieć?

Zdjęcia do filmu realizowaliśmy pod koniec roku 2022. Kilka miesięcy później, po montażu i udźwiękowieniu, miała miejsce kolaudacja. Telewizja Polska, będąca koproducentem obrazu, zasugerowała wprowadzenie do niego poprawek, na co nie przystałem. W rezultacie premiera „U Pana Boga w Królowym Moście" odbyła się dopiero teraz. Dodam, że serial ma trafić na telewizyjny ekran wiosną przyszłego roku. Chciałbym przypomnieć, zachowując wszelkie proporcje, że Molier swoje moralizatorskie sztuki tworzył w formie komedii i m.in. dlatego ciągle są aktualne, o czym wielu krytyków zdaje się nie pamiętać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Bromski *– reżyser (m.in. „Zabij mnie, glino", „To ja, złodziej", „Uwikłanie", „Bilet na księżyc", „Anatomia zła", „Solid gold"), wcześniej prezenter i konferansjer muzyczny, wieloletni prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich.*

REKLAMA

-40% Z KODEM*: DR40

*rabat nie łączy się z innymi promocjami, rabat do wykorzystania w księgarni: contragentiles.pl/ksiegarnia, obowiązuje do dnia 31.12.2024 na wszystkie książki, ebooki, audiobooki poza: Apologetyka po prostu, Teologia dla początkujących i Pięć dowodów na istnienie Boga

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Zagubieni

★★★☆☆☆
REŻ. STEVE MCQUEEN „BLITZ” WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Saoirse Ronan, Elliot Heffernan

Zapisałem sobie ten film na liście rozczarowań roku. Dziwna to opowieść, pokazująca, jak nawet bardzo utalentowanym artystom szkodzi zaczadzenie polityką. Dał nam oto Steve McQueen produkcję, która na pozór jest staromodnym dramatem wojennym (nawet tak została odebrana przez część krytyków). Trafiamy do Londynu czasów blitzu, czyli dywanowych nalotów Luftwaffe na stolicę Wielkiej Brytanii. Nocą miasto płonie, za dnia wre w fabrykach, gdzie kobiety zastępują powołanych do armii mężczyzn. Setki tysięcy dzieci są ewakuowane na wieś – pamiętamy choćby sceny, którymi C.S. Lewis otwierał swą powieść „Lew, czarownica i stara szafa”.

Na ekranie oglądamy dzieje małego George’a (Elliott Heffernan), wychowywanego przez samotną matkę (Saoirse Ronan) z pomocą dziadka. Lekko nie jest, ale to szczęśliwy dom, pełen miłości i muzyki. Nie wiadomo jednak, jakie niebezpieczeństwa niesie przyszłość, trzeba więc ruszyć w drogę. Nieszczęśliwy George z podręczną walizką trafia do jednego z pociągów, ale szybko z niego ucieka. Matka nie ma pojęcia, w jak dziwne i podejrzane towarzystwo trafi jej ukochany synek – określenie „galeria typów jak z powieści Dickensa” będzie tu akuratne. Mały George próbuje na własną rękę odnaleźć drogę do domu, matka chce odzyskać syna, wszystko to na tle wojennego piekła, w którym ludzie są groźniejsi od niemieckich bomb.

Od strony realizacyjnej jest to przedsięwzięcie imponujące, wojenny Londyn wskrzeszony zostaje na naszych oczach z pietyzmem i rozmachem. Aktorska robota też jest na poziomie, a i reżyser nie zapomniał, jak opowiadać; w końcu McQueen ma w dorobku takie filmy jak „Głód”, „Wstyd” czy „Zniewolony”. A zostaliśmy oszukani – to, co z pozoru jest melodramatem o rodzinnej miłości, nieustannie podminowywane jest przesłaniem politycznym. George jest czarnoskóry, więc wszystko, co go spotyka, musi być podbite rasizmem. Londyńczycy są ofiarami nie tylko nalotów, lecz także złej władzy, która a to nie chce otworzyć stacji metra, żeby cywile znaleźli schronienie, a to organizuje jakieś absurdalne propagandowe pokazówki w zakładach pracy. O ile pamiętam, wrogiem Anglików w roku 1940 byli Niemcy, a nie brytyjscy policjanci, brytyjscy urzędnicy i brytyjscy rasiści. ©℗

GRA TYGODNIA: „STALKER 2: HEART OF CHORNOBYL”

Powrót do postapokaliptycznej Zony wokół czarnobylskiej elektrowni jądrowej wywołuje mieszane uczucia. Świetnie wykreowany, zniewalający graficznie świat, wciągająca fabuła, wymagający survival, udźwiękowienie i dubbing (koniecznie spróbujcie oryginalnego, ukraińskiego), wkurzenie rosyjskich graczy, a przede wszystkim ciężki klimat sprawiają, że to jedna z moich ulubionych gier tego roku. Niestety, pełna błędów i niedoróbek. Ukraińskie studio je łata; jeśli będzie w tym wytrwałe, to może wyjść z tego gra na komplet gwiazdek. Ale już teraz warto spróbować. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji, postapo, FPP*
- ***Platforma:*** *XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *GSC Game World*

eprasa.pl acb5eb45c8

Obudź się, Kopciuszku!

KINO

★★★★☆☆
REŻ. SEAN BAKER
„ANORA"
USA 2024

wyst. Mikey Madison, Mark Edelsztejn, Karren Karagulian

Sean Baker konsekwentnie portretuje gorszą twarz Ameryki, więc nic dziwnego, że hołubią go w Europie. Drugim powodem triumfu narowistego reżysera na festiwalu w Cannes jest profesja bohaterki jego nowego filmu. Anora zarabia ciałem. Nie uważa się za prostytutkę, tylko za tancerkę erotyczną. Gdy jednak klient jest chętny, wypłacalny i piękniejszy od diabła, bez oporów zgadza się na prywatną sesję. Pewnego razu do klubu, w którym pracuje nasze zaradne dziewczę, wpada z kolegami 21-letni Wania, syn rosyjskiego miliardera Zacharowa. Przyjechał do Stanów po naukę, lecz woli spędzać czas na hulankach w gronie sobie podobnej, złotej młodzieży. Tancerka podoba mu się tak bardzo, że postanawia ją sprywatyzować. Podczas spontanicznego wypadu do Las Vegas („mają tam najlepszą ketaminę") Iwan wpada w taką euforię, że postanawia zerwać się z moskiewskiej smyczy i zostać Ajwenem, czyli obywatelem USA. Małżeństwo z Amerykanką równa się zdobyciu Zielonej Karty.

Anora przyjmuje oświadczyny. Nie podziela zamiłowania lubego do PlayStation, ale nowobogacko-beztroski styl życia bardzo jej odpowiada. Gotowa jest nawet nauczyć się rosyjskiego. Ta część filmu od biedy może uchodzić za komedię romantyczną, lecz fanki „Pretty Woman" będą raczej żałować pieniędzy wydanych na bilet do kina. Baker nie opowiada bajek. Pokazuje ludzi, którzy miewają lepsze momenty, lecz poza tym są egoistyczni, pazerni, a przede wszystkim żałośni. Związek Wani z nowojorską pracownicą seksualną jest szokiem dla rodziców, a dla jego ormiańskich opiekunów doświadczeniem wręcz traumatycznym. Baker również w tej kwestii idzie pod prąd. Zacharow senior wygląda i zachowuje się inaczej niż stereotypowy postsowiecki oligarcha. Jego ludzie to ofermy. Na tym tle tytułowa bohaterka zyskuje. Jest wulgarna, bo tego oczekują klienci, ale nie głupia. Wolno sądzić, że wyjdzie ze ślubnej afery bogatsza o wiedzę, którą zdobyła o ludziach i samej sobie.

Zawodu raczej nie zmieni. Największym atutem filmu jest Mikey Madison. Kamera ją kocha. Baker stanowczo powinien podarować filigranowej aktorce (odkrytej przez Quentina Tarantino) kilka liści ze Złotej Palmy otrzymanej w Cannes. ©℗

Wiesław Chełminiak

ZMIERZCH ESTETY

Opowieści o przemijaniu i alienacji znoszą próbę czasu lepiej niż filmy, w których się dużo biega i strzela. „Portret rodzinny we wnętrzu" wszedł na ekrany równo pół wieku temu i z miejsca został okrzyknięty artystycznym testamentem Lucchina Viscontiego. Reżyser zaprzeczał, jakoby stary profesor, który przestał nadążać za światem, to jego alter ego. Daremnie nawet odtwórca głównej roli, wierząc, że występuje w utworze autobiograficznym, naśladował mowę ciała mistrza. Film jest arcydziełem w warstwie wizualnej, ale scenografia nie przesłania bohaterów. Profesora, arystokratę ducha, szokuje nowoczesność uosobiona przez familię Brumontich z przyległościami. Hipokryzja i rozpusta, polityczno-kryminalne kabały, ojcowanie pięknemu jak anioł nicponiowi? Lepiej delektować się muzyką. Oczywiście klasyczną. ©℗

FILMCLASSIC

★★★★★☆
REŻ. LUCHINO VISCONTI
„PORTRET RODZINNY WE WNĘTRZU"
WŁOCHY 1974

wyst. Burt Lancaster, Helmut Berger, Silvana Mangano

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Bezkres nadziei

GDZIE?
Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku
KIEDY?
do 4 maja 2025 r.

Tematyka wywózek na Sybir ukazana poprzez pryzmat sztuki współczesnej i filozofii refleksji. Nim artyści przystąpili do pracy, wysłuchali opowieści sybiraków, którzy tytułowy bezkres – wystawę zatytułowano „Bezkres Sybiru" – odnieśli do własnych doświadczeń. To ich opowieści są sercem projektu, nadają mu głębię i autentyczność.

Bezkres i granica (rozumiane dosłownie i metaforycznie) stanowią przedmiot refleksji podjętej przez artystów biorących udział w projekcie. „Losy Sybiraków, ich trudne doświadczenia i cierpienie, z którymi musieli się mierzyć każdego dnia, skłaniają do refleksji o granicach ludzkich możliwości. Tam, gdzie pojawia się granica siły, woli przetrwania czy człowieczeństwa, istnieje również bezkres nadziei i wiary" – piszą organizatorzy.

FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU W BIAŁYMSTOKU

Muzeum Pamięci Sybiru przygotowało wystawę przy współpracy z Instytutem Sztuki Wydziału Architektury Politechniki Białostockiej. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sensacja po polsku

Nowa książka Anny Potyry łączy w sobie cechy starej dobrej powieści detektywistycznej ze współczesną sensacją mocno osadzoną w dzisiejszych realiach społecznych i politycznych. Ma wyrazistego bohatera, może nadto jednowymiarowego, ale do zaakceptowania, interesującą, od pierwszej strony wciągającą fabułę, wartką akcję przemieszczającą się z Polski do Anglii i z powrotem, niezłe dialogi i – co w „Ofierze" najważniejsze – wyraźnie nazywa się tu zło złem, a dobro dobrem. Powiedzieć, że jest to niemal gotowy scenariusz na kasowy film, byłoby truizmem, ale tak właśnie jest.

Naprawdę jednak zafascynowała mnie powieść czymś innym, przynależącym – jak by się zdawało – do innego rodzaju literatury, a mianowicie odniesieniami do PRL-owskiej przeszłości, i to tej najbardziej mrocznej. Bo choć w centrum rozgrywających się wydarzeń mamy dokonane w Londynie przez albańską mafię porwanie córki głównego bohatera, to naprawdę chodzi o zemstę za zbrodnię z czasu stanu wojennego i o ukaranie esbeków winnych zamordowania młodego człowieka przeciwstawiającego się opresyjnej władzy narzuconej Polakom 13 grudnia 1981 r.

Wraz z kolegami bardzo naraził się ten chłopak partyjnym towarzyszom, obrzucając pojemnikami z farbą i koktajlami Mołotowa ich najświętsze miejsce – budynek Komitetu Centralnego PZPR. Wykrycie sprawców stało się dla Służby Bezpieczeństwa prestiżową sprawą, a dla do tej pory specjalnie niewyróżniającego się inspektora okazało się trampoliną do zrobienia kariery. Najpierw w resorcie, a potem – już w rzekomo wolnej Polsce, w biznesie. „Dorobił się fortuny na imporcie

FOT. ANNA POTYRA/FACEBOOK

– opowiada jego córka – […] dojście do takich interesów dawały jedynie dobre koneksje i haki na wpływowych ludzi. To przecież nie było w zasięgu pierwszego lepszego funkcjonariusza".

Ten człowiek nie był jednak zwykłym funkcjonariuszem, a instytucja, w której pracował, też była wyjątkowa. Różnicę między SB a milicją uświadamia matce przetrzymywanego w zakładzie poprawczym ciężko pobitego w śledztwie chłopaka jego zakładowy wychowawca, mówiąc: „Niech pani pamięta. Im się szary człowiek nie sprzeciwia. Na razie Wojtek spadł ze schodów. Nie chce pani, aby jego ciało wyłowiono z Wisły".

Nie chciała, ale to nie pomogło. Już na pierwszej rozprawie Wojtek odwołał swoje wymuszone torturami zeznania obciążające kolegów i zagroził, że wskaże tych funkcjonariuszy, którzy go bili. Do tego nawet tamta władza, robiąca niemal wszystko, co chciała, nie mogła dopuścić. Chłopiec był w końcu nieletni. I znaleziono wyjście. Dwa dni przed kolejną rozprawą Wojtek popełnił samobójstwo.

Człowieka, który go zabił, podsumuje po latach główny bohater powieści: „To nie ustrój zrobił z ciebie bezwzględnego skur..syna. On ci tylko dał pole do popisu". Ale jeszcze bardziej od mordercy Wojtka winny był zleceniodawca tego zabójstwa, ten, kto w tej sprawie pociągał za sznurki, człowiek, którego nawet własna żona po tym, jak przebył udar, „nienawidziła tak bardzo, że sama już nie wiedziała, czy życzy mu, żeby umarł, czy raczej żeby przeżył. Gdyby piekło istniało, podpięty pod aparaturę starzec z pewnością trafiłby właśnie tam. Ponieważ jednak Barbara dawno temu straciła wiarę w Boga i sąd ostateczny, uznała, że lepiej będzie, jeśli jej mąż przeżyje. To jedyne dawało nadzieję na to, że poniesie karę i chociaż w niewielkim stopniu odpokutuje wyrządzone krzywdy".

W istocie nadzieja była płonna, bo o sprawiedliwej ocenie popełnionych czynów i karze za nie można po latach jedynie snuć baśnie z mchu i paproci. Tyle że można próbować dojść do prawdy. Po to, żeby wiedzieć. Tylko tyle i aż tyle. I to się w opowiedzianej przez Annę Potyrę historii udaje. Trzeba i warto zanurzyć się w przeszłość, choćby była ona najbardziej mroczna. Korzystając przy tym z moralnej busoli, która podpowiada nam, niczym kołatka Herberta: „tak, tak – nie, nie".

Podłe czasy przeorały życie wielu polskich rodzin. Skrzywdzeni zostali bohaterowie walki ze złem, a także unieszczęśliwiono tych, którzy – jak się okazało – mieli za słabe kręgosłupy, by sprostać wymaganiom tamtego czasu. Zrozumiałe jest więc pytanie zadane bohaterowi „Ofiary" przez jego partnerkę: „Naprawdę uważasz, że wszyscy tajni współpracownicy służb byli pozbawionymi skrupułów kanaliami?". Ale symptomatyczny jest tutaj brak odpowiedzi. W innym kontekście pada bowiem w tej książce ważne wskazanie (proszę wybaczyć słownictwo): „Przestań pier.olić, jak Paulo Coelho".

Właśnie. ©℗

★★★★☆

ANNA POTYRA „OFIARA" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2024

eprasa.pl acb5eb45c8

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Się porobiło

Tego jednego uzależnienia nie żałuję: w niedzielę czytam Ziemkiewicza w „Do Rzeczy", by od poniedziałku wyglądać nowych nagrań na jego kanale YouTube, w sobotę zaś od rana zaglądać na stronę internetową naszego tygodnika w poszukiwaniu felietonu z cyklu „Subotnik Ziemkiewicza". A kiedy cykl zakończę, oglądając w Republice niedzielny „Salonik polityczny Ziemkiewicza", to jestem gotów rozpocząć cały cykl od początku już w poniedziałek. I dobrze mi z tym.

„Poczuwam się do tego samego gatunku, który uprawiają Jordan Peterson, Nassim Taleb czy Douglas Murray. Te bestsellerowe publikacje nie są książkami fabularnymi, ale nie można ich też nazwać tradycyjną publicystyką – mówił mi Rafał w wywiadzie dla miesięcznika »Nowe Książki« w styczniu 2022 r. – To jest coś nowego. Używam określenia »proza dyskursywna« w odróżnieniu od »prozy narracyjnej«". Więc ja uważam, że piszę właśnie prozę, a nie publicystykę".

Tak bez wątpienia jest w przypadku książek Rafała, takich jak „Cham niezbuntowany" czy „Myśli nowoczesnego endeka" – oryginalnych, prowokujących do myślenia wywodów, do których termin „publicystyka" nijak nie pasuje. Ale ze zbioru tekstów publicystycznych, pisanych w ostatnich latach dla „Do Rzeczy" (a takie zebrane są w tomie „Czas bezprawia"), też wyłania się spójna narracja. Nie są to doraźne połajanki. Sam Ziemkiewicz we wstępie tak definiuje swą pracę: „[…] pomaganie ludziom w porządkowaniu sypiących się na nich informacji, łączeniu ich w przyczynowo-skutkowe ciągi, uświadamianiu przyczyn i konsekwencji". W tym zbożnym dziele ma Rafał wielu wspaniałych sojuszników – wielkie rzesze czytelników i widzów. Ale ma i zaciekłych przeciwników – to ci, którzy z uporem godnym lepszej sprawy wiecznie próbują go umazać nawozem, po prostu salon III RP nie znosi konkurencji, więc każdego, kto ma inne poglądy, z natury gnoić musi.

Wolę siedzieć w saloniku Ziemkiewicza niż na salonach samozwańczych właścicieli III RP, więc „Czas bezprawia" czytałem łapczywie. Rafał ma wielki talent celnego ubierania w słowa tego, co wielu innych myśli, ale nie umie wyrazić. I, co ważniejsze, jeszcze większy talent do wskazywania wyjaśnień oczywistych tam, gdzie wielu innych widziało niemożliwe do rozwikłania węzły gordyjskie. Fajny ten kanadyjski Peterson, ale ten nasz polski – lepszy. ©℗

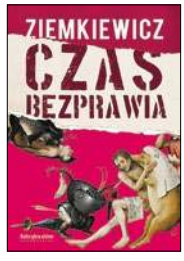

★★★★★☆
RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ „CZAS BEZPRAWIA" FABRYKA SŁÓW 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Niewidoma poetka, przyjaciółka Mirona Białoszewskiego; pisać zaczęła późno, ale z dobrym skutkiem. Dowodzą tego utwory wybrane przez Adama Pluszkę: wśród drobiazgów tylko zgrabnych znajdziemy i te wybitne.

JADWIGA STAŃCZAKOWA „POEZJE I PROZINKI" MARGINESY

Era narkofutbolu w Kolumbii zaczęła się w 1979 r., gdy kartel z Cali zainwestował w klub América. Ale to Pablo Escobar posunął się najdalej w obsesji „zwycięstwo lub śmierć". Opowieść pasjonująca i szokująca.

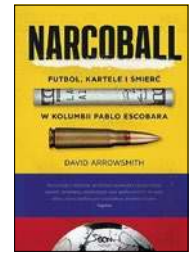

DAVID ARROWSMITH „NARCOBALL. FUTBOL, KARTELE I ŚMIERĆ" SQN

Wznowienie jednej z najlepszych powieści SF ostatniej dekady, nagrodzonej Arthur C. Clarke Award. A zarazem premiera dwóch tomów kontynuacji: „Dzieci ruiny" i „Dzieci pamięci", bo cała trylogia ukazuje się w jednym tomie.

ADRIAN TCHAIKOVSKY „DZIECI CZASU" VESPER

W tej bożonarodzeniowej antologii opowieści niesamowitych uwagę zwracają m.in. opowiadania gwiazd epoki wiktoriańskiej (Mrs J.H. Riddell i W.F. Harvey) oraz Amerykanki Ellen Glasgow, laureatki Nagrody Pulitzera z 1942 r.

recenzuje Piotr Gociek

AUTORZY RÓŻNI „DUCH NA ROZSTAJU DRÓG" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
SIŁA WIZJI

Formalnie nie jest to część słynnego cyklu alternatywnych wizji „Mroczne miasta", ale twórcza metoda pozostaje ta sama. Tym razem widzimy Paryż XXII stulecia, oglądany oczami Kârinh, która urodziła się w kosmicznej kolonii utworzonej przez uchodźców z Ziemi. Dodatkowo bogato ilustrowane posłowie „Wyśnić Paryż" (stąd podtytuł „Wydanie zbiorcze").

RANCOIS SCHUITEN, BENOIT PEETERS „ZOBACZYĆ PARYŻ" SCREAM COMICS 2024

Piotr Gociek

eprasa.pl acb5eb45c8

Czarna maska burżuja

Inscenizacja „Czarnej maski" Krzysztofa Pendereckiego w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej FOT. TEATR WIELKI-OPERA NARODOWA

Grzegorz Kondrasiuk

W najnowszej realizacji „Czarnej maski" Krzysztofa Pendereckiego niczego nam nie oszczędzono. Gęstą, porażającą materię muzyczną i mroczne libretto ubrano w estetykę rodem z serialu „Dynastia"

Na afiszu Opery Narodowej zagościła – na razie na krótko – mało znana opera Krzysztofa Pendereckiego „Czarna maska". Najszybciej starzeje się to, co nowoczesne, w tym XX-wieczne opery, które miewają żywot jętki jednodniówki, ograniczony do daty prapremiery.

Z „Czarną maską" jest odwrotnie – czas jej dobrze służy, wraz z XXI w. wciąż nabiera mocy. Penderecki dostrzegł „librettotwórczy" potencjał dramatu Gerharta Hauptmanna – którego nikt by pewnie dziś już nie pamiętał – w zwartej konstrukcji, trzymającej w napięciu akcji, w dusznej atmosferze tajemnic przeszłości i finałowym punkcie kulminacyjnym. Po drodze do celu kompozytor nie porzucił autora, ale do gęstej sieci znaczeń i kontekstów dodał własne (gdybyśmy dziś mieli takich operowych dramaturgów!).

Miejscem zdarzeń rozgrywających się w ciągu jednej doby (fabuła zachowuje klasyczne zasady jedności czasu, miejsca i akcji) jest dolnośląskie miasteczko Bolkenhein, dzisiejszy Bolków. Jest rok 1662, wciąż żyją wspomnienia wojny trzydziestoletniej i zbrodni popełnianych na tle różnic religijnych. Podczas uroczystej kolacji wydanej przez burmistrza spotyka się wielonarodowe i wielowyznaniowe grono, złożone z przedstawicieli lokalnego establishmentu i europejskich gości. Wraz z dojrzewaniem wieczoru i wzrastającą liczbą opróżnianych butelek wina spod ogłady towarzyskiej, blichtru i deklarowanej tolerancji wypełzają skrywane antagonizmy wyznaniowe oraz namiętności – te cielesne i te finansowe.

Taka konstrukcja uruchamia mnóstwo skojarzeń. Piotr Kamiński w znakomitym przewodniku operowym pisze o podobieństwie do „Wesela", krytyka operowa zobaczyła tu odpowiedź na „Salome" Oscara Wilde'a i Richarda Straussa. W galerii kilkunastu równorzędnych postaci, potraktowanych krytycznie i bezceremonialnie, centralną pozycję zajmuje silna kobieta, żona burmistrza – Benigna. Sercem tej opery są ogromne, skrajnie trudne arie Benigny, odkrywające prawdziwą naturę rzeczy: rozwiązłość, manipulacje uruchomione przez skrywaną przez lata zbrodnię na pierwszym mężu, wreszcie – prowadzące do szaleństwa pożądanie do mordercy, czarnoskórego Johnsona.

Autor i idący po jego śladach kompozytor nałożyli na warstwę obyczajową i socjologiczną swoje obsesje metafizyczne. W świecie antywartości, pozbawionym Boga, wciąż pojawiają się, a w końcu najwyraźniej interweniują widma przeszłości, duchy pomordowanych. Do głosu dochodzi eschatologia – może chrześcijańska, a może już pozachrześcijańska – oparta na ofierze, winie i jej odkupieniu. Nieprzypadkowo powracają konteksty średniowieczne, taniec śmierci kontrapunktowany karnawałem, a jako lejtmotyw, domknięty w finale, brzmi hymn „Dies irae". Jesteśmy już bardzo daleko od oświeceniowego optymizmu rodem z Lessingowskiego „Natana mędrca".

Za tym nadmiarem symbolicznym i natłokiem zdarzeń próbuje nadążyć reżyser David Pountney, którego pomysłem są jeszcze większy nadmiar i natłok. Powstał iście morderczy koktajl. Ekspresjonistyczna poetyka tekstu i tożsama z nią partytura zostały opowiedziane za pomocą efekciarskiej, przeładowanej oprawy scenicznej. Choć w muzyce i w tekście dzieje się wiele, właściwie wszystko – i wykonawczo Opera Narodowa proponuje prawdziwą, nie tylko sceniczną ucztę – to reżyser pokierował się zasadą: dajemy wszystko, co fabryka miała. Niczego nie oszczędzono: schody, pirotechnika, demonicznie ułożony i przystrojony balet, nagość i symulowanie seksu podczas duetów i arii, no i wielki finał, którego zdradzał nie będę.

Te nieusuwalne wady spektaklu najlepiej widać w porównaniu z rejestracją, wciąż dostępną w streamingu, innej realizacji, z ubiegłego roku. NOSPR zaproponowała „Maskę" w formacie semi-stage, czyli i koncertu, i teatru, a ta chwalebna oszczędność wydobyła walory partytury – brutalnej, napędzanej kotłami, buntem, seksem i metafizyką. Tymczasem Pountney najwyraźniej wyszedł z założenia, że elitarna publiczność masochistycznie uwielbia oglądać, jak biją ją po twarzy, a najlepiej uśmiercają. I przeszarżował – w chęci piętnowania zepsutych i amoralnych burżujów, nie tych XVII-wiecznych, ale dzisiejszych.

Przykłady można mnożyć. Najbardziej rzuca się w oczy kompromitacja Benigny poprzez przebranie jej za kiczowatą panterę. Scenograficzne i kostiumowe sugestie odsyłają, owszem, do współczesności, ale takiej rodem z serialu „Dynastia", a sam akt parodii, wymierzony w burżuazję, zawłaszcza przekaz i narzuca swoje własne reguły, czemu sprzyjają i wielka, narodowa scena, i atmosfera Warszawy A.D. 2024. ©℗

KRZYSZTOF PENDERECKI, „CZARNA MASKA"
TEATR WIELKI – OPERA NARODOWA
PREMIERA: 22 LISTOPADA 2024 R.
REŻYSERIA: DAVID POUNTNEY
DYRYGENT: BASSEM AKIKI

eprasa.pl acb5eb45c8

Gorące tematy, jeszcze gorętsze opinie.
Najnowsze felietony **RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA!**

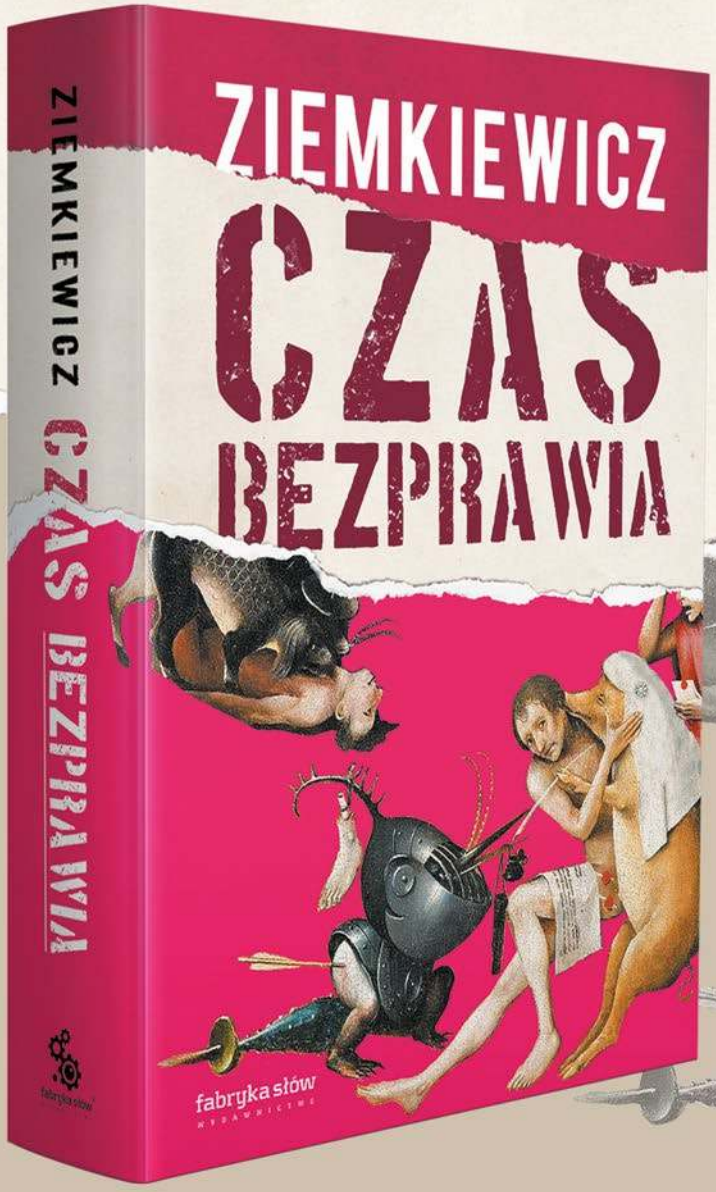

Polska i świat oczami
ZIEMKIEWICZA.
Bez owijania w bawełnę
Satyra, ironia, polityka.
ZIEMKIEWICZ
w najlepszej formie

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA 27.11.2024

patronat medialny

DO RZECZY

REPUBLIKA

eprasa.pl acb5eb45c8

Władza sądownicza – kluczowy problem III RP

Bartosz Lewandowski

Poznanie mentalności sędziowskiej i relacji w środowisku pozwoli lepiej zrozumieć, dlaczego część sędziów postuluje rozwiązania zupełnie niekonstytucyjne

Trójpodział władzy opracowany przez XVIII-wiecznego filozofa i prawnika Charles'a Louisa de Secondat, barona de La Brède et de Montesquieu, znany jest nie tylko jurystom. W dziele „O duchu praw" Francuz wyróżniał władzę prawodawczą, władzę wykonawczą oraz władzę sądzenia. Opis ustroju monarchii angielskiej, który Monteskiusz stawiał za wzór, wskazywał, że władza ta jest najgroźniejsza dla wolności jednostki (orzeczeniem sądu można wręcz być jej pozbawionym), ale jednocześnie paradoksalnie władza sądzenia „jest poniekąd żadna, a sędziowie to jedynie usta, które wygłaszają brzmienie praw". Po lekturze książki Tomasza Pietrygi „Trzecia władza. Sądownictwo w latach 1946–2023" można z czystym sumieniem stwierdzić, że szacowny Monteskiusz plótł nieprawdopodobne androny.

Analiza wypowiedzi przedstawicieli obecnej większości rządzącej w Polsce wskazuje, że sądownictwo jest jednym z centralnych elementów ustrojowych, który ma ulec radykalnej zmianie. Mowa jest oczywiście o kwestii „przywrócenia praworządności" w naszym kraju, ponieważ – jak wiemy – została ona w świetle enuncjacji chociażby obecnego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara praktycznie utracona zmianami ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa w 2017 r. i powołaniem przez prezydenta ok. 3 tys. sędziów po konkursie przed nową KRS. Nie dajmy się zwieść: pod pozorem szlachetnych haseł o konieczności przywrócenia w Polsce „praworządności, konstytucyjności czy wartości europejskich" kryje się brutalna walka o wpływy we władzy sądowniczej. A jest się o co bić, ponieważ władza ta to władza „ostatniego słowa". Kto ją ma, jest w stanie zabezpieczyć interesy polityczne określonych grup, ponieważ – jak pisał w „Biorąc prawa poważnie" (1977) wybitny amerykański filozof prawa Ronald Dworkin – orzeczenia sądowe są de facto „decyzjami politycznymi".

Z PRL DO III RP

Dokładnie tego rodzaju ujęcie zmian w polskim sądownictwie po 13 grudnia 2023 r., które nie dokonują się w sposób konstytucyjny poprzez zmianę ustawodawstwa, ale charakterystyczną dla doktryny tzw. legalizmu pozorowanego metodą faktów dokonanych i egzotycznych interpretacji prawa, tłumaczy radykalny kurs obrany przez kierownictwo resortu sprawiedliwości, samego premiera Donalda Tuska i część środowiska prawniczego (w tym sędziowskiego). Postulowane składanie sędziów z urzędów, cofanie ich awansów i podważenie prerogatywy Prezydenta RP do powołania sędziów wbrew oczywistemu brzmieniu art. 180 ust. 1 Konstytucji RP z 1997 r. jest oczywiście szaleństwem konstytucyjnym i nawoływaniem do łamania fundamentalnych zasad ustrojowych państwa. Sęk w tym, że szaleństwo to ma określony cel, którym jest powrót do przedrewolucyjnego status quo w sądownictwie. Funkcjonująca od

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. ADOBE STOCK

1990 r. hierarchia i struktura trzeciej władzy zostały radykalnie zaburzone. W systemie oraz w sądach wyższych instancji zaczęli orzekać sędziowie uznani przez zwolenników radykalnych zmian za element obcy.

Walka o wpływy ma oczywiście swoją cenę. Przede wszystkim to utrata wiarygodności i konieczność zaprzeczenia samemu sobie. Można oczywiście twierdzić, że walczy się o odpolitycznienie sądów, a jednocześnie publicznie deklarować poparcie środowiska sędziowskiego dla czynnego polityka i senatora (co uczynił sędzia Krystian Markiewicz – prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia), a czemu potem towarzyszyły niejednokrotne spotkania. Można naturalnie mówić o przywróceniu sądów obywatelom, jednocześnie szczycąc się uchylaniem prawidłowych orzeczeń wyłącznie z uwagi na podważenie statusu swoich kolegów i koleżanek po fachu, a także postulując eliminację z zawodu wielu sędziów, co spowoduje realną zapaść w sądownictwie na długie lata. Można wreszcie publicznie krytykować delegowanie sędziów do Ministerstwa Sprawiedliwości czy do sądów wyższych instancji przez kierownictwo resortu sprawiedliwości, a także podkreślać sprzeczność delegacji z prawem europejskim po orzeczeniu TSUE z 2021 r. i jednocześnie z tego instrumentu bez skrupułów korzystać.

Aby lepiej zrozumieć zjawisko i nastroje, które panują obecnie w środowisku sędziowskim, zdecydowanie warto zapoznać się z wydaną pod koniec 2023 r. książką Tomasza Pietrygi „Trzecia władza. Sądownictwo w latach 1946–2023" (Kraków 2023, Wydawnictwo Księgarnia Akademicka). Książka doświadczonego dziennikarza publikującego m.in. na łamach dziennika „Rzeczpospolita" to pierwsza tak kompleksowa praca poświęcona władzy sądowniczej w Polsce po drugiej wojnie światowej. Autor wyraźnie poświęca większą część swojej monografii omówieniu funkcjonowania w Polsce władzy sądowniczej po 1989 r., choć widzi źródła jej późniejszych patologii w ustaleniach uczestników prac Okrągłego Stołu.

I trzeba wyraźnie oddać Tomaszowi Pietrydze, że stawia odważne tezy i jednoznacznie diagnozuje przyczyny braku oczyszczenia środowiska sędziowskiego ze skompromitowanych sędziów wydających polityczne i często bardzo surowe wyroki w okresie PRL. Autor nie boi się opisywać sylwetek konkretnych sędziów, w tym przede wszystkim sędziów Sądu Najwyższego po 1990 r., którzy suchą stopą przeszli od orzekania zgodnie z wymogami sprawiedliwości „socjalistycznej ojczyzny" do wydawania wyroków w imieniu wolnej Rzeczypospolitej Polskiej. Cały piąty rozdział swojej książki autor poświęcił na przybliżenie sylwetek 20 sędziów stanu wojennego zasiadających w Sądzie Najwyższym także do dzisiaj. Cenną wartością pracy jest przywołanie konkretnych spraw na podstawie akt IPN, w których sędziowie tacy jak osławiony Józef Iwulski wydawali surowe wyroki bezwzględnego więzienia za działalność antykomunistyczną.

Tomasz Pietryga udowadnia i opisuje, w jaki sposób sędziowie robiący kariery w PRL i orzekający zgodnie z zasadą jednolitości komunistycznej władzy państwowej stanowili w początkach lat 90. w Polsce podstawowe gremium decydujące o przyjmowaniu i awansach sędziów w ramach dynamicznie rozrastającej się trzeciej władzy. Jak podaje Tomasz Pietryga, w latach 1990–1994 przez powołaną Krajową Radę Sądownictwa I kadencji przeszło aż 3 tys. sędziów, co skutkowało podwojeniem liczby stanu sędziowskiego w Polsce. Jeśli określać KRS mianem upolitycznionej, to nie ma lepszego przykładu niż właśnie KRS pierwszej kadencji. Autor pisze (s. 152): „W pierwszej KRS dokonującej takiej selekcji znalazły się w przeważającej części osoby mocno związane z komunistycznym systemem. Nie mówiąc już o zachowawczej postawie politycznej części członków Rady (zwłaszcza tych z rodowodem z PZPR, ZSL i SD) wobec nowego otwarcia w całym sądownictwie. Aż 15 z 25 członków Rady (w tym sędziów) było związanych z poprzednim systemem i członkostwem w partii. Mit o weryfikacji w Sądzie Najwyższym przetrwał jednak całe dekady. Faktycznie były to jedynie pozory weryfikacji […]. KRS była […] nastawiona negatywnie do zmieniającej się rzeczywistości".

WALKA O PRZYWILEJE

Taki obraz sądownictwa lat 90. wyłania się również z opisu sądownictwa powszechnego na niższych szczeblach niż Sąd Najwyższy. Tomasz Pietryga ukazuje w swojej książce prof. Adama Strzembosza jako postać w zasadzie tragiczną – jako tego, który z jednej strony łatwowiernie zaufał, że środowisko sędziowskie oczyści się samo, z drugiej strony na własnej skórze odczuł działanie starego układu w trakcie procedury konkursowej przed KRS I kadencji, a także przy próbie dokonywania zmian kierownictwa w poszczególnych sądach obsadzonego sędziami z legitymacjami PZPR. Jednocześnie autor dość krytycznie odnosi się do działań i decyzji podejmowanych przy Okrągłym Stole oraz przez samego Adama Strzembosza. W ostatnich słowach pisze (s. 527): „Ostatnie trzydzieści lat to historia niemocy, jeśli chodzi o oczyszczenie sądownictwa z niechlubnej przeszłości – mimo podejmowanych prób. Błędu, który popełniono w 1989 r., nigdy nie udało się naprawić. Koszty tamtego zaniechania będą odczuwalne jeszcze długo".

Warto zwrócić uwagę na sposób scementowania układu w środowisku sędziowskim na przełomie lat 80. i 90. Opierał się on w gruncie rzeczy na przyjęciu dwóch wymogów ustrojowych, które w okresie PRL nie obowiązywały.

eprasa.pl acb5eb45c8

Pierwszym była zasada nieusuwalności sędziego, co dzisiaj znajduje swoje odzwierciedlenie w art. 180 ust. 1 konstytucji. Drugim – powiązanym z pierwszym – było usunięcie jako wymogu pełnienia urzędu tzw. rękojmi należytego wykonywania obowiązków sędziego, co w czasach komunistycznych było wykorzystywane do odwoływania sędziów z uwagi np. na wydanie orzeczenia sprzecznego z oczekiwaniami władz.

Takie zacementowanie środowiska sędziowskiego zmianami ustawowymi miało decydujące znaczenie dla jego postawy od początku lat 90. Mało kto dzisiaj pamięta, że jednym z pierwszych stanowisk KRS I kadencji wydanej już 4 kwietnia 1990 r. była uchwała w sprawie niezawisłości sędziowskiej i niezależności. Za Tomaszem Pietrygą (s. 157) warto przywołać istotny fragment tej uchwały, ponieważ można dojść do przekonania, że w ciągu ostatnich kilku lat głos tej części środowiska sędziowskiego, które postuluje radykalny kurs w przywróceniu praworządności, praktycznie się nie zmienił: „W związku z faktem, że niezawisłość sędziowska i nieusuwalność sędziego są naczelną regułą ustrojową, nie do przyjęcia są koncepcje przeprowadzenia weryfikacji w środowisku sędziowskim metodami administracyjnymi, dyscyplinarnymi. Nieusuwalność sędziego stanowi zasadniczą gwarancję niezawisłości […]. Należy ją chronić i baczyć, by nie doznała uszczerbku, zwłaszcza wobec podnoszonych przez część opinii publicznej postulatów weryfikacji kadry sędziowskiej".

Książka Tomasza Pietrygi pokazuje jednak także inne ważne cechy środowiska sędziowskiego III RP. Pierwszą była zdecydowana i jednoznaczna walka sędziów o własną odrębność i autonomię względem innych władz, przy jednoczesnej bezwzględnej trosce o własne przywileje (głównie płacowe oraz związane z ochroną immunitetową). Autor omawia dość zdecydowane protesty środowiska sędziowskiego, w tym Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, w sprawie wprowadzanych zmian ustawowych dających ministrowi sprawiedliwości większy wpływ na organizację pracy sądów, powoływanie prezesów oraz ograniczenie immunitetu sędziowskiego (ustawa finalnie uchwalona w 2007 r. za rządów koalicji PiS-LPR-Samoobrona, potem uchylona orzeczeniem TK w 2009 r.). Jednocześnie Tomasz Pietryga omawia kulisy wojny między przedstawicielami trzeciej władzy a rządem PO-PSL w latach 2007–2015 o wysokość sędziowskich uposażeń, a także – co istotne – kwestię okresowych ocen sędziów. Tomasz Pietryga pisze wprost (s. 377): „Oceny nie tylko dotykały bardzo wrażliwej sfery sędziowskiej niezawisłości, ale też były swoistym ciosem w sędziowską mentalność, charakterystyczną dla tego środowiska […]. Przez całe dekady środowisko próbowało oddzielić się od presji i kontroli pracy sędziów, czyniąc to zresztą bardzo skutecznie". I dalej: „Próba oceny zewnętrznej była traktowana jako zamach na fundamentalne zasady wynikające z konstytucji: niezawisłości sędziego i niezależności sądu. Powoływanie się na te zasady, gwarantujące trójpodział władzy, było wielokrotnie nadużywane przez środowisko sędziowskie. Takie postawy przyczyniły się do odcięcia Temidy od społeczeństwa i zamknięcia się w wieży z kości słoniowej".

Konsekwencją tego był jeszcze jeden element – sędziowie zwyczajnie opierali się jakiejkolwiek proponowanej zmianie ustawowej, która mogłaby więcej niż delikatnie zmienić sposób funkcjonowania sądów. Każda proponowana reforma mniej czy bardziej udana (np. sądy 24-godzinne) i mniej czy bardziej głęboka (powstanie Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury oraz nowego modelu naboru do stanu sędziowskiego) była zasadniczo obiektem krytyki ze strony przedstawicieli władzy sądowniczej. Tomasz Pietryga pisze (s. 378): „Wszelka krytyka czy wnioski dotyczące dysfunkcji sądowej rzeczywistości były traktowane jako nieuzasadniona ingerencja w niezależność i były tłumione w zarodku. Krytyk sądowej rzeczywistości był definiowany jako agresor, zamachowiec na konstytucyjne wartości. Takie oceny z czasem bardzo się wyostrzyły". Przy takiej postawie czymś oczywistym było, że jakiekolwiek rozliczenia sędziów zhańbionych politycznymi wyrokami w okresie PRL były niemożliwe. Kilkukrotnie sędziom z pomocą przychodził Trybunał Konstytucyjny, który stwierdzał niezgodność z konstytucją regulacji umożliwiających składanie sędziów z urzędów w trybie dyscyplinarnym.

TOMASZ PIETRYGA „TRZECIA WŁADZA" KSIĘGARNIA AKADEMICKA 2023

ZROZUMIEĆ NADZWYCZAJNĄ KASTĘ

Sytuacja w środowisku sędziowskim do 2015 r. nie była dobra i przypominała raczej skostniałą strukturę feudalną Francji tuż przed wybuchem rewolucji francuskiej. W książce można przeczytać o wzroście znaczenia Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, w którym coraz większą rolę zaczęli odgrywać najbardziej obciążeni pracą i płacowo upośledzeni sędziowie sądów rejonowych, w tym późniejszy wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak. Rozpoczęli oni podnoszenie zdecydowanie antyelitarnych postulatów kwestionujących m.in. faworyzowanie w wyborach do KRS sędziów sądów wyższych instancji przy lekceważeniu głosu sędziów najniższego szczebla, a także nierównomierne obciążenie pracą oraz swoistą kastowość środowiska sędziowskiego, w którym o awansie sędziego nie decydowały często względy merytoryczne, ale sympatie i niejasne powiązania osobowe, które potem miały przełożenie w niejawnych konkursach przed KRS. Jak zauważa Tomasz Pietryga (s. 389), orientację antyelitarną prezentowali w głównej mierze sędziowie o poglądach raczej konserwatywnych, co spowodowało pęknięcie w środowisku sędziowskim i wyodrębnienie się lewicowo-liberalnego skrzydła utożsamianego potem z sędzią Krystianem Markiewiczem oraz Bartłomiejem Przymusińskim, którzy weszli w skład władz Iustitii w 2015 r. Jak zauważa Tomasz Pietryga, nowe władze stowarzyszenia nie prezentowały już postulatów antyelitarnych.

Książka Tomasza Pietrygi jest zdecydowanie warta przeczytania. Poznanie mentalności sędziowskiej i relacji w środowisku pozwoli lepiej zrozumieć, dlaczego część sędziów postuluje rozwiązania zupełnie niekonstytucyjne i domaga przywrócenia naruszonego w 2017 r. status quo.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest adwokatem, doktorem nauk prawnych.

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. JAN

Manifest szabelkisty

Robert Bogdański

Łukasz Warzecha w tekście „Szabelkiści za czerwoną linią" („Do Rzeczy" nr 48/2024) sarkastycznie skomentował pomysły wkroczenia wojsk państw zachodnich na Ukrainę. Publicysta nie ma racji

W połowie listopada grupa ekspertów od bezpieczeństwa i spraw zagranicznych opublikowała list otwarty wzywający do sformowania „koalicji chętnych" składającej się z Kanady i niektórych państw europejskich, do pomocy Ukrainie. Polskiemu czytelnikowi list może się wydać częściowo zabawny, bo zaczyna się od apelu, aby „pójść za wezwaniem Donalda Tuska", a wszystko podlane jest sosem strachu przed drugą kadencją Donalda Trumpa. Jednak treść listu przedstawia dość konkretny program, który mógłby się przyczynić do pokonania Rosji.

Po pierwsze, chodzi o zwiększenie dostaw sprzętu wojskowego. Po drugie, o konfiskatę mitycznych 300 mld dol. rosyjskich aktywów, które po prawie trzech latach wojny powoli zaczynają zyskiwać status yeti. Po trzecie wreszcie – i to jest najważniejszy i najbardziej ryzykowny element planu – o wprowadzenie na teren zachodniej Ukrainy wojsk koalicji i rozpięcie nad tymi wojskami (a także nad całym terytorium stacjonowania) parasola obronnego. Ostatnie dwa punkty to realne pokazanie Ukrainie drogi do NATO i udzielenie jej gwarancji bezpieczeństwa oraz radykalne zwiększenie wydatków na obronę do co najmniej 3 proc. PKB.

List podpisało wielu poważnych ludzi, w tym byli prezydenci Estonii i Łotwy oraz były minister obrony Wielkiej Brytanii. Ze względu na punkt trzeci podpisanego przez nich dokumentu – ten o wprowadzeniu wojsk na Ukrainę – można by ich wszystkich określić mianem „szabelkistów". Rozumiem pod tym ukutym przez Łukasza Warzechę terminem ludzi, którzy bez oglądania się na konsekwencje dążą do wojny.

Dlatego warto punktowi trzeciemu przyjrzeć się bliżej. Wojska „koalicji chętnych", które by weszły na zachodnią Ukrainę, miałyby za zadanie przejąć od oddziałów ukraińskich obowiązki niezwiązane z bezpośrednią walką na froncie: głównie logistyczne i szkoleniowe. Ukraińcy mogliby dzięki temu zmobilizować do walki więcej ludzi, których im coraz dotkliwiej brakuje. Objęcie terytorium stacjonowania wojsk koalicji ochroną przeciwlotniczą (a nie chodzi tu tylko o wyrzutnie rakiet, lecz także o kontrolę nad niebem przez samoloty wielozadaniowe) stworzyłoby na zachodzie walczącego kraju strefę względnego bezpieczeństwa, w której mógłby rozwijać się przemysł obronny i do której mogliby być kierowani uchodźcy z terenów najbardziej zagrożonych nalotami. W ten sposób Polska traciłaby swoje pierwszoplanowe znaczenie jako hubu logistycznego, bo logistyka przenosiłaby się na wschód, np. do Lwowa, a być może i dalej. Traciłaby także znaczenie jako miejsce, do którego napłyną rzesze uchodźców w razie eskalacji wojny.

Czy taki projekt jest ryzykowny? Oczywiście! Rosja z pewnością zareagowałaby po pierwsze wściekłymi atakami na wojska koalicji na terenie Ukrainy, wiedząc, że ofiary w ludziach będą najlepszym sposobem, aby pokonać demokratyczne społeczeństwa. Czy odważyłaby się zaatakować terytoria krajów biorących udział w koalicji? Zapewne tak, ale raczej poniżej progu wojny, czyli poprzez cyberataki, zakłócanie sygnału GPS, sabotaże podmorskiej infrastruktury itp.

Brzmi znajomo? Tak – Rosja już to robi, tylko teraz robiłaby to bardziej spektakularnie. Czy zdecydowałaby się na atak nuklearny? Tego nie wie nikt, ale taka niewiedza działa w obie strony: nie wiemy, czy by nie zaatakowała, i nie wiemy, czy by zaatakowała. Próg ataku jest bardzo wysoki: odwet Zachodu, potępienie świata, co najważniejsze – Chin i Indii, wreszcie strach własnego społeczeństwa i technokratycznej ekipy, na której opiera się władza na Kremlu.

Niezależnie jednak, jak rozstrzygniemy problem eskalacji nuklearnej, trzeba się zgodzić, że plan wysłania wojsk na Ukrainę należy do kategorii bardzo ryzykownych i dobrze jest zrekonstruować powód, dla którego dziesiątki poważnych ludzi zdecydowało się go poprzeć. Tym powodem w mojej opinii jest przekonanie, które wyraził ostatnio publicznie były głównodowodzący wojsk Ukrainy, gen. Załużny: że trzecia wojna światowa już trwa. Widać to choćby po tym, co się dzieje poniżej progu wojny, a także po mobilizowaniu się koalicji antyzachodniej, choćby włączeniu Korei Północnej do walki. Autorzy planu „koalicji chętnych" wyszli z założenia, że skoro wojna się zaczęła i narasta, a to, kiedy przybierze formę tzw. konfliktu kinetycznego, jest tylko kwestią czasu, to lepiej jest przyjąć walkę na swoich warunkach i bliżej granicy przeciwnika. Nie czekać, aż Rosja uderzy na kraje NATO (kraje bałtyckie są pierwszym kandydatem do rosyjskiego ataku, stąd zapewne duża reprezentacja Bałtów wśród sygnatariuszy listu), tylko wejść do walki tam, gdzie ona się toczy i wesprzeć tych, którzy zadają Rosji realne straty.

Inaczej mówiąc, list jest wyrazem polityki realnej: skoro jest wojna, to lepiej toczyć ją wcześniej i z dala od swojego terytorium. Wiąże się też ze sformułowaniem konkretnego celu: pokonania Rosji. W mojej opinii jest to cel nie tylko Ukrainy, lecz także Europy, a zwłaszcza naszej części Europy. Przekonanie o tym, że można pokojowo współistnieć z Rosją, to mrzonka i myślenie życzeniowe. Tylko Rosja pokonana i rozkawałkowana wzdłuż granic narodowościowych gwarantuje nam długofalowe bezpieczeństwo. To oczywiście szabelkizm. A więc: szabelkiści świata – łączcie się! ©℗

Odpowiedź Łukasza Warzechy za tydzień.

eprasa.pl acb5eb45c8

Szefowie dyplomacji – Ukrainy Andrij Sybiha (z lewej) oraz Polski Radosław Sikorski FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Ekshumacje na Wołyniu. Nie ma i nie będzie

Jerzy Karwelis

W relacjach polsko-ukraińskich brakuje symetrii. Zapowiedź ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej jest komunikatem jednej strony. Rząd w Warszawie złożył deklarację bez pokrycia, która wpisuje się w prezydencką kampanię wyborczą w Polsce

Widać ostatnio wyraźnie zmianę narracji dotyczącej naszych stosunków z Ukrainą, głównie w kontekście zgody na ekshumację ofiar rzezi wołyńskiej. Nagle z wielu trąb rządowych zagrała ta sama melodia, co oznacza, że dyrygent obrócił kartkę w swym zestawie nutowym i poszczególni gracze (grajkowie) przeszli do nowej części uśmiechniętej symfonii.

WSZYSCY TEGO CHCIELI I CHCĄ

Nagle okazało się, że z tymi ekshumacjami to w ogóle nie było sprawy. Ze wspólnej konferencji ministrów spraw zagranicznych Ukrainy i Polski dowiedzieliśmy się, że przecież nikt tego tematu nie blokował. Oczywiście wszyscy byli za, tylko jakoś tak wyszło, że dopiero teraz się dogadaliśmy. Wcześniejsze argumenty, powielane głównie przez stronę polską, jakby w imieniu milczącej w tej sprawie Ukrainy, sczezły jak zdmuchnięte powiewem nowego – nic już się nie mówi o tym, że to nie pora, bo wojna, bo to zantagonizuje przyjazny sojusz, w końcu że to awykonalne.

Zniknęły też argumenty spoza mainstreamu (tego zarówno propisowskiego, jak i propeowskiego wołyńskiego „porozumienia ponad podziałami"), że akurat te same okoliczności nie przeszkadzały i nie przeszkadzają dokonywać ekshumacji ok. 100 tys. hitlerowskich żołnierzy, które trwają od dłuższego czasu w ramach porozumienia ukraińsko-niemieckiego. Ten wstydliwy fakt niesymetrii w relacjach Ukrainy z Polską jako „sługą narodu ukraińskiego" był konsekwentnie przemilczany na tyle, że ze sceny politycznej, zblatowanej w sprawie „milczenia nad dołami śmierci", odezwał się jedynie Leszek Miller, któremu – jak widać – wszystko już jedno w plemiennej wojnie polsko-polskiej.

Jednak – by uprzedzić pytania niepoprawnych dziennikarzy, którzy ewentualnie przedarliby się na konferencję ministrów – znaleziono wyjście. A impas

eprasa.pl acb5eb45c8

był spory – skoro ekshumacji nie było, to były dwa wyjścia: albo strona polska o nie nie występowała, albo strona ukraińska się na nie nie zgadzała. Znaleziono więc salomonowe wytłumaczenie – polska strona zwracała się o zgodę na ekshumacje, jednak strona ukraińska… nie odpowiadała. A teraz wychodzi, że gdyby odpowiedziała, toby odpowiedziała pozytywnie, tylko… nie odpowiedziała.

COVIDOWE TŁUMACZENIA

A skąd tu COVID? Ano mamy to samo co z COVID. Pamiętają państwo – wszyscy się srożyli: rządy, policja, media, WHO, ONZ i bezstronni lekarze, jak to trzeba włączać lockdowny, się dystansować, maskować, testować i szczepić. A teraz okazało się, że cała drabinka rekomendacji się rozpadła. Rządy bowiem powoływały się na rekomendacje WHO (jakby to one były jakimś źródłem prawa), media oraz ciała kontrolujące epidemię (nie wszystkie legalne zresztą) na ekspertów, eksperci na media, spanikowani ludzie zaś na wszystkich naraz.

Teraz okazało się – po sensacyjnym oświadczeniu szefa WHO – że ta organizacja, a zwłaszcza już sam jej szef, nigdy niczego nie nakazywała, wcale nie sanitaryzowała otoczenia, nie wywoływała paniki wśród ludzkości. Zresztą nawet nie miała prawnych narzędzi wymuszenia na rządach czegokolwiek. (Notabene WHO chce to teraz naprawić poprzez skupienie w swym ręku władzy światowej w ramach pandemii ogłaszanej w przygotowywanym w ONZ traktacie pandemicznym). Jednocześnie dziś rządy powołują się na rekomendacje WHO, media na ekspertów, eksperci zaś gdzieś zniknęli albo objęli stanowiska rządowe, multiplikując na poziom publiczny swoje konflikty interesów. Tak więc okazało się, że awantura była, tylko teraz wyszło słoneczko i okazało się, że nie ma winnych zamieszania i „kochajmy się".

Wypisz wymaluj jest teraz z tymi ekshumacjami. Wcześniej nie dało się, nie wiadomo było, dlaczego strona ukraińska nie wykonuje nawet tak symbolicznych gestów. Rządy – okazało się dziś – z każdej strony polskiej sceny politycznej wolały przemilczać te fakty, nawet z okazji okrągłej rocznicy rzezi. Ukraina, jeśli już – vide: koszmar wystąpienia na Campusie Polska ówczesnego szefa ukraińskiej dyplomacji Dmytra Kułeby – proponowała narrację symetryzmu: że były jakieś wzajemne niesnaski, a kto zaczął – kto to teraz rozwikła? Było więc cicho albo żenująco. I nagle okazało się, że wszyscy chcieliśmy tych ekshumacji, tylko nie wiadomo, dlaczego ktoś nie wyrażał zgody. Nawet nie starano się wytłumaczyć tego smutnego faktu, nawet nie odstrzelono jakiegoś urzędniczego „kozła ofiarnego", który to na złą kupkę położył na swym biurku polskie podania. Skoro nie ma winnych, to w takim razie należy się zastanowić, jak to jest, że wtedy się nie dało, a teraz się da, czyli prowadzi nas to do konieczności zastanowienia się, co się stało, że teraz się da.

RZEŹ JAKO TAKTYKA WYBORCZA

Moim zdaniem należy odrzucić pojawiającą się argumentację, że Ukraińcy przejrzeli na oczy i żałują swej stanowczej odmowy. Zwłaszcza w kontekście tego, że wybory prezydenckie we wspierających Ukrainę Stanach Zjednoczonych wygrał Donald Trump, który chce domknąć wojnę na Wschodzie. A więc Ukraińcy – widząc w kontynuacji tego konfliktu jakąś wręcz samobójczą strategię – mieliby się zwrócić ku państwu, które w swym wojennym zapale ciągnięcia dalej tej tragedii stoi zaraz na drugim miejscu po Ukrainie, czyli do Polski? Czasami można nawet odnieść wrażenie, że to… Polska jest na pierwszym miejscu wśród zwolenników kontynuowania tej wojny, przed Ukrainą, zwłaszcza jeżeli się odcedzi wojenną podżegającą narrację obu państw i porozmawia z Ukraińcami.

Nie wydaje się, że to „pojednanie nad Wołyniem" odbywa się przy aktywnej postawie Kijowa. Myślę, że jeżeli już, to mamy do czynienia wyłącznie z bierną zgodą Ukraińców na powrót, w formule oficjalnej, tego tematu; że z tą inicjatywą wystąpił polski rząd i to nie w celu załatwienia sprawy, nawet niezałatwienia sprawy tak, żeby pokazać, że Donald Tusk jest w tym temacie bardziej sprawczy od Jarosława Kaczyńskiego. To mimikra przedwyborcza. Coś jak z migracyjnym fikołkiem uśmiechniętej Polski, powtórzonym w eurowyborach wraz z całą resztą lewackich elit krajów Unii Europejskiej. Z badań wyszło, że to dla suwerena ważny temat, nawet może aspirującym do władzy zaszkodzić, a więc wybijmy się „na tle". Cóż z tego, że musimy w tej sprawie zjeść własny język, zwłaszcza że w kwestii niemocy zrzuci się winę na PiS i może trochę uwiedzie najtwardszy jego elektorat, który jednak głosował na Kaczyńskiego z zaciśniętymi zębami, ale na cmentarzach świeczki palił pod krzyżami wołyńskimi? Może się ten numer udać, ale tylko taktycznie, to znaczy – jak we wskazanych przypadkach – naród to kupi, obiecujący zaś nie dowiezie, bo… nie musi.

Zobaczymy więc wkrótce nie tyle Radosława Sikorskiego, który nagle zagra z innej dudki, ile kandydata Rafała Trzaskowskiego, który wczoraj wywalał krzyże z urzędów, dziś zaś będzie je stawiał nad wołyńskimi dołami śmierci. Odbędzie się więc od dawna ćwiczone teatrum chwilowego zwierzenia, kupienia płynnych narracji, piwotów deklaracji i wartości, „łapaj złodzieja!" i wszystko wróci do normy. To znaczy żadnych ekshumacji nie będzie, będziemy się wozić z ich pozorowaniem do maja, czyli do wyborów prezydenckich. A potem będzie jak ze 100 konkretami Tuska – dowiezionym konkretem okaże się już tylko zaniechanie i zwalanie winy na poprzedników. Tyle u nas.

Ze strony Ukrainy też nie widzę większych szans na realizację konkretów, i to z trzech powodów. Po pierwsze, ekshumacje mocno wstrząsnęłyby „symetryzmem" win polsko-ukraińskich. I to zarówno ilościowym, jak i – że tak rzeknę – jakościowym. Po prostu gdy się zacznie liczyć porządnie ofiary, ujawni się ludobójcza skala planu banderowców. Do tego dojdzie skatalogowanie tego, w jak bestialski sposób zadawali oni śmierć. A to przyjaciół Ukrainie nie przyda, także na świecie. Po drugie, Ukraina tego nie zrobi, gdyż zada to śmiertelny cios jej fatalnie wybranemu mitowi założycielskiemu, lokowanemu niestety w okolicach faszystowskich źródeł, z których wypływają jej dążenia niepodległościowe. Wreszcie po trzecie, kwestia ostateczna – Ukraina nie musi tego robić, bo i tak zrobi to, co jej nakażą „starsi i mądrzejsi". Kijów wie bowiem, że źródło naszej sprawczości nie leży w Warszawie. Udowodniliśmy im po wybuchu rakiety w Przewodowie, gdy polskie władze czekały, aż się Joe Biden obudzi, by wiedzieć, jak mamy zareagować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

Nadchodzi PO-PiS „obyczajowy”

Marek Jurek

Prawo i Sprawiedliwość ma całkiem nowy plan dla Polski. Jarosław Kaczyński zaprezentował go w miejscu szczególnym, w „Tygodniku Solidarność”, którym kierował przeszło 30 lat temu, w czasach walki o prezydenturę Lecha Wałęsy. Rzecz jest tak zasadnicza, że warto ją przedstawić dokładnie i w całości

Tako rzecze Jarosław Kaczyński: „Trzeba przynajmniej spróbować zbudować w sprawach obyczajowych kompromis między myśleniem konserwatywnym a liberalnym. Przy czym oczywiście my nie chcemy rezygnować z naszych poglądów. Z drugiej jednak strony zdajemy sobie sprawę, że państwo nie powinno zbyt głęboko ingerować w ludzką prywatność. Mamy świadomość, że decyzja Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji naruszała to poczucie i dlatego wywołała tak silny sprzeciw. W PiS jest wielu zwolenników budowania kompromisu i są też zwolennicy znacznie bardziej radykalni niż ja. Ale jest też wielu przeciwników. Co ciekawe, także wśród młodych polityków. My się jakoś tam ze sobą dogadamy. Prawdziwym problemem jest porozumienie się z tą drugą stroną, bo nie wiem, czy ona jest zainteresowana kompromisem. Być może przyjdzie czas, w którym taki kompromis będzie możliwy”.

Ta deklaracja już żyje własnym życiem, będzie przedmiotem różnych interpretacji, więc na początek należy wyjaśnić jej kontekst. A dokładnie biorąc – jego brak. To nie jest przypadkowa, kontekstowa reakcja, ale zasadnicza deklaracja. Igor Zalewski, który prowadził ten wywiad, zadał najbardziej otwarte i neutralne pytanie: „Co trzeba [dla Polski] wymyślić w 2024 r.?”. Kwestia była ogólna, niesugerująca w ogóle żadnej tematyki. To prezes Prawa i Sprawiedliwości wskazał „kompromis w sprawach obyczajowych” jako nadzwyczaj pilne (w końcu pytanie było nawet nie o przyszły, ale o bieżący rok) polityczne zadanie dla państwa i programowe dla partii.

WYDRĄŻANA KONSTYTUCJA

W kraju narasta opór wobec rewolucji edukacyjnej minister Nowackiej. Jarosław Kaczyński w cytowanym wywiadzie krytykuje zamiary i poczynania MEN, uważając nawet, że będą jednym z ważnych tematów kampanii. Jego krytyka jest jednak bardzo teoretyczna, pełna abstrakcyjnych rozważań na temat postmodernizmu, dekonstrukcjonizmu i tożsamości. Choć zadaniem polityków nie jest snucie opowieści animujących tożsamościowe rytuały, aklamacje w rodzaju „dobrze mówi, właśnie, tak jest!”. Zadaniem polityków nie jest opowiadanie, jak jest źle, ale tworzenie aktów i instytucji które temu zaradzą, a przynajmniej – formułowanie właściwych postulatów. W każdym razie, gdy politycy uciekają w dywagacje, opinia publiczna powinna żądać postulatów, propozycji, zapowiedzi działań.

Paradoksalnie wymóg ten o wiele lepiej spełniają prorodzinne środowiska społeczne. Ich argumenty w obronie wychowania są o wiele bardziej polityczne. Cały czas odwołują się do konstytucji, nie jako do źródła porządku wartości,

eprasa.pl acb5eb45c8

ale jako obowiązujących każdą władzę gwarancji dobra wspólnego.

Gdy bowiem konstytucja (w art. 18) mówi o „ochronie i opiece Rzeczypospolitej" wobec rodziny i małżeństwa („jako związku kobiety i mężczyzny"), mówi o instytucjach, o ich nienaruszalnym miejscu w porządku prawnym i w kulturze przekazywanej również przez instytucje Rzeczypospolitej, przez edukację czy media publiczne. Tu nie chodzi o stwierdzenie faktu, że Polki i Polacy jeszcze lubią brać śluby. Albo że mają prawo do ochrony domu przed kradzieżą; do tego wystarcza Kodeks karny. Konstytucja natomiast gwarantuje, że rodzina i małżeństwo mają pozostać nienaruszalnymi wzorami społecznymi, mimo że bywają odrzucane. Każdy, kto pamięta debatę konstytucyjną z lat 90., wie, że art. 18, szczególnie w odniesieniu do małżeństwa, pisany był w kontekście trwającej już rewolucji homoseksualnej w liberalnych państwach Zachodu. Co do takiego jego sensu nie ma wątpliwości Unia Europejska, skoro atakowała inne państwa (np. Rumunię) za wolę implementacji podobnych zapisów do własnego porządku konstytucyjnego.

Niestety, udziałem w europejskim, a szczególnie środkowoeuropejskim oporze wobec rewolucji gender PiS nigdy nie był zainteresowany. Wystarczały właśnie tożsamościowe rytuały na wewnętrzny użytek wyborczy. A dziś, zamiast stanowczych deklaracji, że polityka musi się toczyć w granicach dobra wspólnego, potwierdzonych i określonych w konstytucji, prezes Prawa i Sprawiedliwości proponuje kompromis z postulatami ignorowania, a w praktyce zniesienia tych granic.

NIHIL NOVI

Samego Jarosława Kaczyńskiego ignorować nie sposób. Mógł więc zaskoczyć jedynie tych, którzy wcześniej wypierali jego stanowisko ze świadomości. Najlepiej zdefiniował je w 2016 r., w czasie debaty nad obywatelskim projektem „Stop aborcji". Dla przypomnienia: Prawo i Sprawiedliwość miało nieograniczone możliwości modyfikacji tego projektu w trakcie prac parlamentarnych (w końcu kierowało do nich nawet projekty aborcjonistów), wolało jednak odrzucić go wspólnie z Platformą Obywatelską. Dziś PiS nawiązuje do tamtego wspólnego stanowiska i gotów jest nadać mu charakter formalny.

Wtedy właśnie przywódca Prawa i Sprawiedliwości mówił, że osobiście „musi uwzględnić w swoich decyzjach w sprawach moralnych naukę biskupów", natomiast „stanowiska PiS-u w tej sprawie nie ma i nie będzie, [bo jest to] decyzja każdego posła i każdej posłanki. Każdy musi we własnym sumieniu to rozważyć". Pisałem wówczas, że czynienie z prawa do życia „kwestii (subiektywnego) sumienia polityków" i wymogu biskupów to zdecydowany odwrót od jasnego stanowiska Trybunału Konstytucyjnego z 1997 r., który uznał wówczas ochronę życia w każdej fazie za niezbywalną powinność demokratycznego państwa prawa.

Respektując, ale z umiarem, owe „(subiektywne) sumienia posłów", prezes PiS apelował o głosowanie wspólnie z Platformą za odrzuceniem „Stop aborcji", jednak nie w imię dyscypliny klubowej, a dyscypliny moralnej.

Perwersyjność tamtego konceptu polegała zwłaszcza na tym, że dyscyplina moralna, owszem, obowiązuje i powinna być przywoływana. Tyle że Jarosław Kaczyński nigdy nie zdecydował się do niej odwoływać. Nigdy bowiem nie mówił, że „w sprawie prawa do życia stanowisko partii jest niepotrzebne, bo w tej kwestii wszystkie partie obowiązuje ta sama dyscyplina moralna; sami jej podlegamy i jej w naszym gronie wymagamy, więc o jej przestrzeganie apelujemy do liderów wszystkich ugrupowań; a kogo nie przekonują racje etyki społecznej – niech przynajmniej pamięta o orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z 1997 r., które powinno być podstawą politycznego consensusu Rzeczypospolitej".

ALE JEDNAK LUDZIE

Artur Zawisza, polityk niezwykle zdolny, którego nigdy nie zawiódł intelekt, choć zawodził temperament, napisał był dawno temu, że polski chrześcijańsko-demokratyczny consensus lat 90. nie powstał w efekcie żadnych chadeckich kompromisów. Nie zaprojektowała go żadna chadecja czy inna „centroprawica". W ogóle nikt go nie projektował. Jako żywy porządek ustrojowy ukształtował się w ideowej walce, w starciu opinii katolickiej i liberalnej, w napięciu między dążeniem do uczynienia Polski państwem dobra wspólnego a postkomunistycznym i liberalnym oporem wobec tych dążeń. U progu niepodległości uzyskaliśmy tyle, na ile wówczas Polskę (jako społeczeństwo) było stać. Nie uzyskalibyśmy jednak nic, nie broniąc życia i rodziny w imię normatywnego porządku, który nas do tego zobowiązywał.

Nie tylko ludzie, lecz także narody nie mogą żyć tak, jakby Boga nie było. Normatywny porządek (np. człowiek ma prawo się urodzić, małżeństwo ma naturalny ustrój, którego nie można parodiować, edukacja publiczna powinna przekazywać dziedzictwo narodowe) musi mieć rzeczników, jeśli ma nie stracić społecznego znaczenia. Musi mieć lojalnych rzeczników norm, a nie butnych rzeczników większości dopóty, dopóki jesteśmy w większości. Bo celem porządku normatywnego (którego nie wolno sprowadzać do opinii „obyczajowych") nie jest utrudnianie ludziom życia, ale przeciwnie, umacnianie ich w pokonywaniu moralnych trudności i oczywiście pomaganie im w odróżnianiu dobra od zła, również dobra społecznego od zła społecznego. Choć w wielu miejscach porządek ten jest praktycznie negowany, to nie może być formalnie odrzucany ani relatywizowany, jeśli społeczeństwo ma nie stracić busoli moralnej, a państwo – zdolności realizacji dobra wspólnego.

I nawet jeśli aspirująca do władzy partia wierzy, że musi podążać za silnymi trendami medialno-społecznymi, to na pewno nie może za nimi podążać opinia katolicka. Nie może ze względu na własne powołanie, ze względu na swą narodową odpowiedzialność i wreszcie – ze względu na samą partię, którą uznaje – potocznie się mówi – „za mniejsze zło", ale my raczej powiedzmy: za aktualne optimum czy w każdym razie istotną część owego aktualnego narodowego optimum.

Problem w tym, że samodzielna opinia katolicka się kurczy. Po śmierci Jana Pawła II to Jarosław Kaczyński stał się największym autorytetem społecznym dla milionów katolików w Polsce. I nie należy upraszczać tej relacji. Nie tylko on przekonywał swych zwolenników do swoich poglądów. Również oni, swym fideizmem i uległością, przekonali go, że są gotowi przyjąć każdą dyspozycję. Chętniej lub mniej chętnie, ale są gotowi. I właśnie oglądamy kolejny tego efekt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

Toporna antyklerykalna propaganda

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Rafał Łatka

Książka Artura Nowaka i Stanisława Obirka najwięcej mówi o obsesjach autorów, których zaślepia nienawiść do Kościoła, a szczególnie do jego tradycyjnego nauczania

Historia Kościoła katolickiego w Polsce w XX w. bez wątpienia wymaga krytycznego namysłu oraz analitycznego spojrzenia. Konieczne jest także odpowiednie nakreślenie proporcji między zasłużonymi a skompromitowanymi postaciami w gronie duchowieństwa.

W książce Artura Nowaka i Stanisława Obirka pt. „Skandaliści w sutannach. Od kardynała Wyszyńskiego do arcybiskupa Jędraszewskiego" takiej perspektywy nie znajdziemy. Zamiast tego zmieszano postaci, które rzeczywiście się dopuściły obrzydliwości – takie jak ks. Andrzej Dymer czy abp Juliusz Paetz oraz osoby kontrowersyjne, takie jak o. Tadeusz Rydzyk i abp Stanisław Wielgus z kapłanami wybitnymi – lecz wobec których nienawiść żywią autorzy – z takimi jak kard. Stefan Wyszyński czy ks. Piotr Skarga, a także Jan Paweł II (któremu rozdziału nie poświęcono, ale przewija się w treści książki).

Rzecz jasna, skandalistów poza jednym wyjątkiem (abp. Józefa Życińskiego) autorzy widzą głównie w duchownych o poglądach konserwatywnych, prawicowych, a nie widzą ich po stronie liberalnej. Z tego względu w ich książce brak portretów postaci takich jak: ks. Kazimierz Sowa – biznesmen związany z Platformą Obywatelską, ks. Adam Boniecki – znany z wystąpień wprost kwestionujących wiele elementów magisterium Kościoła; kard. Henryk Gulbinowicz – bo trzeba by przywołać ustalenia nielubianych historyków pracujących w Instytucie Pamięci Narodowej; czy były ksiądz Roman Kotliński – twórca obrzydliwego pisemka antyklerykalnego „Fakty i Mity". Zresztą styl autorów niewiele od poziomu „Nie" Jerzego Urbana oraz „Faktów i Mitów" odbiega. Być może właśnie tam nawet znaleźli dla siebie źródło inspiracji.

Głównym celem książki Nowaka i Obirka jest doklejenie do postaci rzeczywistych skandalistów czy też kapłanów budzących kontrowersje, kluczowych postaci Kościoła w Polsce, takich jak kard. Wyszyński, Jan Paweł II czy ks. Skarga, i wytworzenie w czytelniku przekonania, że niewiele się one różnią od ks. Dymera czy abp. Sławoja Leszka Głodzia. Takie ujęcie tematu ma posłużyć do kształtowania opinii, że w Kościele katolickim nie ma żadnych postaci wybitnych, godnych naśladowania, bo przecież nawet jego liderzy są – mówiąc kolokwialnie – umoczeni w skandale (obyczajowe, finansowe, polityczne).

BEZ NOWYCH USTALEŃ

Oczywiście to nie nowość. Jest to sięganie do sprawdzonych komunistycznych wzorców. Według komunistów skandalistami mieli być ks. Jerzy Popiełuszko, abp Ignacy Tokarczuk czy właśnie, znienawidzony przez wszystkich postępowców, kard. Wyszyński. Arsenał Nowaka i Obirka w tym zakresie jest jednak słabiutki, a zarzuty nieprzystające do rzeczywistości. Jeśli chodzi o Prymasa Tysiąclecia, to jest to przywoływanie wytworzonych przez „Znak" i „Tygodnik Powszechny" klisz, na których oparta jest opowieść o antyintelektualnej postawie przywódcy Kościoła w Polsce (jakoś zupełnym przypadkiem autorzy książki nie wspominają o tym, że mimo iż kard. Wyszyński nie podzielał poglądów tych środowisk, to otaczał je opieką i bronił

eprasa.pl acb5eb45c8

ich przed represjami komunistycznymi). Do tego dochodzą oskarżenia hierarchy o antysemityzm. W tej sprawie jedynym dowodem są niczym niepotwierdzone opinie znanego historycznego hochsztaplera Jana Grabowskiego.

Oskarżenia wobec Jana Pawła II są sprytniej sformułowane i wyrażone w pośredni sposób w rozdziale poświęconym kard. Stanisławowi Dziwiszowi. Chodzi tu o to, żeby czytelnik postrzegał te dwie postaci historyczne wspólnie, a wszelkie zaniedbania byłego metropolity krakowskiego czy kontrowersje z nim związane można było przypisać także papieżowi Polakowi. I tu znów można wpisać sposób prezentacji tematu w metody takich autorów jak Ekke Overbeek, którego oskarżenia wobec kard. Adama Sapiehy i kard. Karola Wojtyły okazały się niewartą funta kłaków manipulacją.

Generalnie rzecz ujmując, cała książka „Skandaliści w sutannach" to pozbawione jakichkolwiek warsztatowych zasad (które przecież istnieją nawet przy pisaniu książek publicystycznych) zestawienie informacji pozyskanych z tekstów innych autorów. Nie ma w niej w gruncie rzeczy żadnych nowych ustaleń Nowaka i Obirka ani nawet jakiejś ożywczej interpretacji. Co więcej, autorzy tego dzieła sięgają tylko do artykułów osób ze swojego środowiska, więc nie ma tu absolutnie mowy o przedstawieniu tematu w rzetelny, zrównoważony sposób. Z tego względu pisząc o ks. Henryku Jankowskim, nie wspominają, że jako pierwszy jego współpracę agenturalną z SB opisał pracownik IPN Grzegorz Majchrzak. Analogicznie rzecz ma się z abp. Stanisławem Wielgusem, bo przecież przywołując teksty Jana Żaryna czy Sławomira Cenckiewicza, autorzy musieliby stwierdzić, że środowisko prawicowe stać na krytyczny namysł nad skompromitowanymi duchownymi. Pomijam tu już zupełnie fałszywe stwierdzenie Nowaka i Obirka, że „Kościół rzadko bywa obiektem zainteresowania" IPN. Udowadniają tym samym swoją zupełną ignorancję, gdyż zdecydowaną większość przypadków współpracy duchownych z SB ujawnili właśnie (obok ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego) pracownicy tej znienawidzonej przez autorów „Skandalistów…" instytucji.

Dodać należy, że w rozdziale dotyczącym abp. Marka Jędraszewskiego nie są w stanie napisać na jego temat ani jednego pozytywnego słowa, podczas gdy nawet redaktor Tomasz Terlikowski znalazł na to miejsce w swojej ostatniej książce o tym hierarsze.

W recenzowanej książce znalazły się także „portrety" ks. Michała Olszewskiego oraz ks. Waldemara Chrostowskiego. Charakterystyczne jest jednak to, że określając tego pierwszego mianem aferzysty, Nowak i Obirek traktują jego sprawę jako w pełni wyjaśnioną, podczas gdy każdy, kto śledzi debatę publiczną, ma świadomość, że w dalszym ciągu winy ks. Olszewskiemu nie udowodniono. Co ciekawe, jeden z autorów książki (Nowak) jest zawodowo adwokatem i pozostaje zadać pytanie, jak się ma takie formułowanie oskarżeń do jego profesji. I drugie pytanie, które się nasuwa (choć ma ono bez wątpienia charakter retoryczny): Czy jeśli kapłan zostałby uniewinniony, to czy Nowak i Obirek by go przeprosili?

ZAFAŁSZOWANIA I NADINTERPRETACJE

Rozdział poświęcony ks. Chrostowskiemu to jeszcze większa kompromitacja. Co prawda, autorzy półgębkiem przyznają, że osoba, którą opisują, to wybitny badacz, mający liczne osiągnięcia naukowe na swoim koncie, ale to się przecież nie liczy, bo jest przecież „antysemitą". Celowo ostatnie słowo ujmuję w cudzysłowie, gdyż łatkę tej najgorszej w świecie lewicowym zbrodni Nowak i Obirek przyszywają mu dlatego, że nie zgadza się on ze sposobem prowadzenia dialogu katolicko-żydowskiego forsowanym przez „Tygodnik Powszechny" i „Znak". Środowisko to zakłada oczywiście, że rację należy przyznawać wyłącznie jednej stronie sporu, a winy (zarówno te prawdziwe, jak i te urojone) powinien wyznawać tylko Kościół katolicki.

Autorzy książki „Skandaliści w sutannach", tak chętnie operujący w innych przypadkach opisami współpracy agenturalnej duchowieństwa z SB, w tym rozdziale nie wspominają ani słowem, że jeden z głównych rzeczników tego rodzaju dialogu – ks. Michał Czajkowski – był długoletnim donosicielem aparatu bezpieczeństwa o ps. Jankowski, a jego rolę krytycznie oceniał ks. Chrostowski. Co ciekawe, Nowak i Obirek piszą o ks. Czajkowskim w innym rozdziale, poświęconym abp. Wielgusowi, i to… w sposób pozytywny, gdyż podkreślają, że jako jedyny miał rzekomo odwagę się przyznać do współpracy agenturalnej. Oczywiście nie ma ani słowa o tym, że stało się to dopiero wtedy, gdy prawda o jego donosicielstwie wyszła na jaw. Ponadto autorzy „Skandalistów w sutannach" nie odnotowali tekstu Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki, którzy udowodnili, że ks. Czajkowski został zwerbowany właśnie z powodu molestowania nieletnich chłopców (chciałoby się dodać nieco złośliwie, że Nowak i Obirek znaleźli właściwego dla siebie bohatera).

Podsumowując, książka „Skandaliści w sutannach" może przekonać tylko najbardziej skrajnych antyklerykałów. Przeciętnie inteligentny czytelnik dostrzeże toporne manipulacje, zafałszowania i nadinterpretacje popełniane przez Nowaka i Obirka. W ich świecie Kościół katolicki jest instytucją z gruntu złą, a jej hierarchowie w XX w., tacy jak kard. Wyszyński i Jan Paweł II, nie różnią się od księży, na których ciążą czyny pedofilskie czy donoszenie SB. Przyznać trzeba, że nawet brutalna propaganda Urbana była podawana w bardziej subtelny sposób.

Recenzowana publikacja najwięcej mówi o obsesjach autorów, których zaślepia nienawiść do Kościoła, a szczególnie do jego tradycyjnego nauczania. To zjawisko jest tym bardziej ciekawe, że wspomnianej instytucji obydwaj zawdzięczają karierę i rozgłos. Przecież to dzięki warunkom zapewnionym przez jezuitów Stanisław Obirek został profesorem (zakon porzucił po tym, gdy wszystkie możliwe korzyści z bycia w nim osiągnął). Natomiast Artur Nowak zapewnił sobie karierę medialną, występując jako obrońca osób skrzywdzonych przez kapłanów – przy czym nie przeszkadzało mu to, że bronił także oszustów takich jak zdemaskowany kłamca Marek Lisiński.

ARTUR NOWAK, STANISŁAW OBIREK „SKANDALIŚCI W SUTANNACH" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2024

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem i politologiem, doktorem habilitowanym, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl acb5eb45c8

Wprowadzenie stanu wojennego, Gdańsk, 13 grudnia 1981 r. FOT. IPN

Operacja „Sasanka”

Grzegorz Majchrzak

„Obwieszczenie Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce ze względu na bezpieczeństwo państwa” jest z pewnością najbardziej znanym dokumentem stanu wojennego. Jego reprodukcje można znaleźć w wielu publikacjach, na czele z podręcznikami szkolnymi. Jednak jego historia nadal pozostaje mało znana czy wręcz nieznana. A szkoda, bo jest naprawdę ciekawa

Dokumentację stanu wojennego (w tym obowiązujące w kraju po jego wprowadzeniu dekrety) przygotowywano w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego oraz Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Czy tak też było z „Obwieszczeniem Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce ze względu na bezpieczeństwo państwa”? Tego niestety nie wiemy. Wydaje się to równie prawdopodobne jak samodzielne jego przygotowanie przy Rakowieckiej. Z pewnością natomiast to MSW samodzielnie odpowiadało za jego druk oraz późniejszy kolportaż.

DRUK NA WSCHODZIE

W tej pierwszej kwestii skorzystało zresztą z „bratniej pomocy” towarzyszy sowieckich. Otóż w dniach 25–26 sierpnia 1981 r. w niezwykłą misję do Moskwy udali się Hipolit Starszak, zastępca dyrektora Biura Śledczego MSW, oraz Zdzisław Malina, zastępca szefa Sekretariatu Komitetu Obrony Kraju (organu Rady Ministrów utworzonego w 1967 r. i odpowiedzialnego za kwestie obronności i bezpieczeństwa państwa). Przeprowadzili oni rozmowy w Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów Związku Sowieckiego dotyczące rozpoczęcia druku obwieszczenia oraz organizacji jego transportu do Polski.

Niestety, nie wiemy, kto był ich rozmówcami. Znamy jednak przebieg i efekty tego spotkania. Jak się okazuje, towarzysze sowieccy mieli wpływ na ostateczny kształt obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego. W związku z ich uwagami – jak informował potem Starszak – „wprowadzono kilkanaście poprawek do przygotowanego projektu […] dotyczących liternictwa i szaty graficznej”. Przedstawiciele Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego wykazać mieli zresztą pełną gotowość do realizacji prośby strony polskiej o druk obwieszczenia. I to – jak pisał wicedyrektor Biura Śledczego – „mimo różnorakich trudności wynikających głównie z małej mocy urządzeń, na których zdecydowano [się] je drukować”.

A rzeczywiście było co powielać – łącznie bowiem zamierzano wydrukować 250 tys. egzemplarzy obwieszczenia. Według informacji towarzyszy sowieckich powielanie planowano zakończyć 4 września 1981 r. Wydruki planowano zapakować w 500 paczek, z których każda miała zwierać po 500 egzemplarzy dokumentu. Jedna paczka miała ważyć ok. 11 kg, a całość ponad 5,5 t. Zgodnie z sugestią – należałoby raczej stwierdzić: prośbą – strony polskiej miały one zostać przewiezione ze stolicy Kraju Rad do

eprasa.pl acb5eb45c8

Polski należącym do eskadry rządowej samolotem Ił-18. Przetransportowane do kraju obwieszczenia, a dokładniej paczki z nimi, do czasu podjęcia decyzji o ich rozesłaniu po kraju miały być – i były – przechowywane w Warszawie, w gmachu MSW przy ul. Rakowieckiej.

Niestety, nie znamy ceny druku, możemy się jedynie domyślać, że jego koszty poniosła strona polska. Ostatecznie obwieszczenie, a przynajmniej jego pierwszą partię, wydrukowano jeszcze przed końcem sierpnia 1981 r. Było to możliwe dzięki „zainteresowaniu kierownictwa Komitetu [Bezpieczeństwa Państwowego] i zaangażowaniu bezpośrednich wykonawców tego zdania świadomych jego znaczenia wobec sytuacji w Polsce" – jak raportował po powrocie ze swojej misji do Moskwy Hipolit Starszak. W każdym razie 1 września jedną z kilkuset (ostatecznie prawdopodobnie 510) paczek otworzyli dwaj funkcjonariusze Biura Śledczego MSW (w tym Starszak).

TAJNY KOLPORTAŻ

Jako pierwszy z obwieszczeniem zapoznał się – w tym dniu, po godz. 18 – minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. Czy i komu ewentualnie je pokazywał, tego niestety nie wiemy. W każdym razie obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego zostało – w dniach 17–18 września 1981 r. – rozwiezione po kraju w ramach operacji, której nadano kryptonim Sasanka. Zadanie to powierzono dziewięciu konwojom centralnym, które wysłano do ośmiu komend wojewódzkich Milicji Obywatelskiej (w Bydgoszczy, Częstochowie, Kielcach, Lublinie, Łodzi, Łomży, Poznaniu i we Wrocławiu) oraz do Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, a także 40 kolejnym konwojom, które następnie miały przewieźć „przesyłkę specjalną" do miast docelowych.

I tak np. druki, które trafiły do KW MO w Częstochowie, były w „drugim etapie" rozwożone do komend wojewódzkich w Bielsku Białej, Katowicach i Opolu, te zaś przewiezione do KW MO w Kielcach trafiły z niej do komend wojewódzkich w Kielcach, Krośnie, Nowym Sączu, Radomiu, Tarnobrzegu, Tarnowie i oczywiście w Krakowie. Ogółem w całej operacji miało wziąć udział 405 funkcjonariuszy milicji oraz 200 pojazdów, przy czym ponad połowa z nich (102) stanowiła rezerwę. Każdy konwój składał się z dwóch nieoznakowanych pojazdów (samochodu dostawczego marki Nysa oraz samochodu osobowego z radiostacją). Nad bezpieczeństwem każdego z nich czuwało dwóch uzbrojonych konwojentów (dowódca konwoju z bronią krótką oraz konwojent z bronią długą).

Operacja „Sasanka" rozpoczęła się 17 września o godz. 13 od odprawy załóg konwojów centralnych, a zakończyła w dniu następnym ok. godz. 3.30 dostarczeniem obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego do ostatniego z miast docelowych. Transport ten, który był zresztą bardzo szczegółowo zaplanowany (m.in. „tempo marszu" maksymalne 50 km/h oraz podróżne/średnie 40 km/h, starannie zaplanowane odpoczynki poza granicami miast osiedli i parkingów publicznych), przebiegł bez zakłóceń (wypadków, kolizji czy innych zdarzeń nadzwyczajnych). Awarii uległ jedynie samochód dostawczy wysłany do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Kielcach – w jego miejsce podstawiono samochód z rezerwy KW MO w Radomiu, gdyż zepsuł się on 7 km od granic tego miasta.

W efekcie rozwieziono ogółem 488 paczek, 22 zaś pozostawiono w rezerwie.

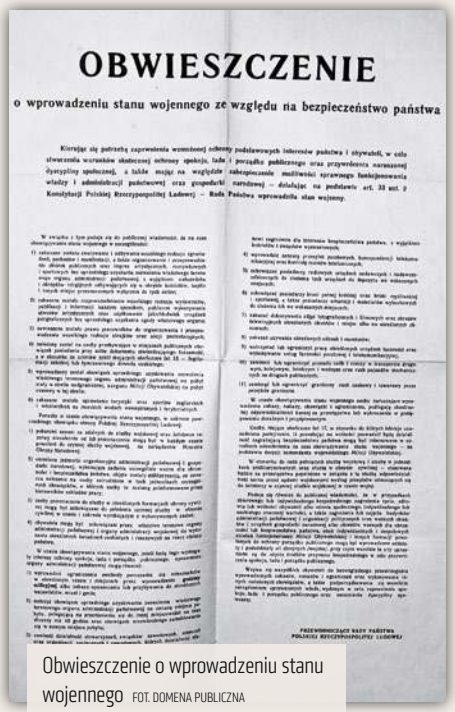

OBWIESZCZENIE

o wprowadzeniu stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa

Kierując się potrzebą zapewnienia wzmożonej ochrony podstawowych interesów państwa i obywateli, w celu utworzenia warunków skutecznej ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego oraz przywrócenia zachwianej dyscypliny społecznej, a także mając na względzie zabezpieczenie możliwości sprawnego funkcjonowania władzy i administracji państwowej oraz gospodarki narodowej – działając na podstawie art. 33 ust. 2 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – Rada Państwa wprowadziła stan wojenny.

Obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Co ciekawe, zdecydowanie najwięcej, bo 24 tys. egzemplarzy obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego, trafiło do województwa katowickiego, podczas gdy dla województwa stołecznego przeznaczono „zaledwie" 11 tys., a gdańskiego 7,5 tys. Z kolei najmniej egzemplarzy obwieszczenia wysłano do województw chełmskiego (200 egzemplarzy), bielskiego, krośnieńskiego i przemyskiego (po 250). Tak na marginesie: przy okazji transportu po kraju obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego przewieziono również koperty zaadresowane do dowódców okręgów wojskowych i rodzajów wojsk. Niestety, nie wiemy, co one zawierały.

SZAFY POD NADZOREM

Szczęśliwie przetransportowane do komend wojewódzkich druki nakazano zdeponować w żelaznych szafach znajdujących się w wydzielonych pomieszczeniach. Szafy te miały zostać zaplombowane i znajdować się pod stałym nadzorem. Oczywiście w tym przypadku chodziło o zachowanie tajemnicy, co zresztą – jak wynika z naszej dotychczasowej wiedzy – w pełni się udało. Otwarcie tych przesyłek oraz ich dystrybucja miały się odbyć na odrębne polecenie ministra spraw wewnętrznych Kiszczaka lub kierownika sztabu MSW operacji „Lato 80" Bogusława Stachury.

Druki obwieszczenia zdeponowane w komendach wojewódzkich MO w drugiej połowie września 1981 r. leżały spokojnie w szafach do 12 grudnia 1981 r., kiedy to na polecenie Wojciecha Jaruzelskiego rozpoczęto operację stanu wojennego. W okresie stanu wojennego obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego należało – obok wspólnych milicyjno-wojskowych patroli oraz koksowników na ulicach polskich miast czy prezenterów „Dziennika Telewizyjnego" w mundurach ludowego Wojska Polskiego – jednym z najbardziej widocznych jego przejawów. Niejednokrotnie zresztą było przedmiotem „sabotażu" i różnych „antypaństwowych" dopisków, co z kolei powodowało represje wobec ich autorów. Oczywiście jeśli tych udało się ustalić. Ale to już całkiem inna historia…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl acb5eb45c8

Demonstracja w Warszawie, 1 maja 1982 r. FOT. CAF/PAP

Konspira po latach

Adam Hlebowicz

„Alfabet Solidarności. Część 2 – Konspira" to książka potrzebna. Może dziś bardziej niż kiedy indziej. Publikacja Instytutu Dziedzictwa Solidarności przywraca pamięć o wielu wydarzeniach, ludziach, tych znanych, niekiedy zapomnianych, o nazwach i bon motach stanu wojennego, o cichym heroizmie i prymitywnej propagandzie

To był jeden z najgorętszych tytułów, jakie opublikowały wydawnictwa podziemne po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. „Konspira, czyli rzecz o podziemnej Solidarności", w której trzech autorów – Maciej Łopiński, Zbigniew Gach (pod pseudonimem Marcin Moskit) i Mariusz Wilk – przeprowadziło w 1984 r. siedem wywiadów z ukrywającymi się liderami antysystemowej opozycji. Ponad 20 wydań, równoległa edycja opublikowana na emigracji, tłumaczenia na kilka języków, nagrody. Na czym polegał jej sukces? Na tym, że autorom udało się stworzyć doskonałą literaturę faktu, powstałą „in statu nascendi", żywą, dynamiczną, opisującą to, co dla wielu było zakryte. Strajki, manifestacje, organizacja podziemnego druku i kolportażu, życie w największym napięciu w służbie wolności i dążeniu do niepodległości.

Oto dokładnie po 40 latach od tamtego wydania ukazuje się „Alfabet Solidarności. Część 2 – Konspira". Tym razem autorów jest pięcioro i redaktor Krzysztof Nowak spajający całość. Niełatwo się pisze książki w duetach, każdy, kto to przeszedł, wie. Zadanie o wiele trudniejsze, gdy autorów jest więcej. Andrzeja Horubałę, Pawła Janowskiego, Piotra Semkę, Barbarę Sułek-Kowalską i Mirosława Mateusza Wyrwicha łączy wspólne doświadczenie świadomego uczestnictwa w działalności podziemnej Solidarności lat 1981–1989. Autorzy mają różne temperamenty i odmienne pola zainteresowań. Także różne style pisania. Barbara Sułek-Kowalska pisze przejmująco o swojej rodzinie, o własnych doświadczeniach tamtego czasu. Wiele akcentów osobistego doświadczenia znajdziemy także w szkicach autorstwa Piotra Semki, który przy okazji w swoim stylu przywraca naszej pamięci takie pojęcia jak „junta juje", plecakowcy czy dowcipy z okresu stanu wojennego. Andrzej Horubała pisze ze znawstwem o kulturze owego okresu. O wzlotach i upadkach, koncentrując się jednak na tych pierwszych. Poezje Zbigniewa Herberta i Jana Polkowskiego, piosenki Antoniny Krzysztoń i Jana Krzysztofa Kelusa, powieść z kluczem „Rozmowy polskie latem roku 1983" Jarosława Marka Rymkiewicza, inscenizacje Teatru Ósmego Dnia, satyry Jacka Fedorowicza. Wcale nie tak mało, choć wówczas bardziej surowo oceniliśmy dorobek podziemnej kultury. Mateusz Wyrwich opisuje zróżnicowane formy podziemnej działalności, od nielegalnych czasopism, przez różne struktury, po unikalne formy oporu, jak np. masowe spacery w czasie nadawania propagandowego „Dziennika Telewizyjnego". Paweł Janowski dodaje do tego opozycyjną działalność rolników, ruch pielgrzymkowy z symbolami Solidarności czy działalność kapelanów związanych z tym ruchem społecznym.

NIEOCZYWISTE OBSERWACJE

Jak bardzo okres tych ośmiu lat zaznaczył się w świadomości Polaków? Inne było doświadczenie młodego pokolenia, rwącego się do działania, niezgadzającego się na rychłe uśpienie narodu. Odmienne pokolenia najstarszego, pamiętającego czasy wojny i brutalnych represji komunistycznych okresu powojennego. Dla nich była to kolejna bolesna eksperiencja, jednak w innej skali represji i zagrożenia przyszłości Polski. Wreszcie pokolenie średnie – to, które głównie tworzyło ruch Solidarności. Szybko, bardzo szybko okazało się, że z 10-milionowego ogromnego zapłonu pozostały zaledwie tysiące, może dziesiątki tysięcy ludzi, którzy są gotowi poświęcać swoje życie, pracę zawodową, często rodzinę w walce o zmiany w Polsce. Większość była życzliwie nastawiona wobec działań opozycji, jednak albo biernie statystowała, albo wspierała ją drobnymi gestami.

Oprócz ok. stu osób zamordowanych przez bezpiekę i ZOMO ciągle nie znamy

eprasa.pl acb5eb45c8

dokładnej liczby ofiar. Oprócz internowanych, aresztowanych, zwalnianych z pracy największa strata, którą poniosła w tym czasie Polska, to ogromna fala emigracji. Ostrożnie szacuje się ją na milion uchodźców, z czego aż 15 proc. to byli ludzie z wyższym wykształceniem. W całym spektrum polskiego społeczeństwa mieliśmy takich ludzi 7 proc. Tę stratę odczuwamy do dzisiaj, zwłaszcza że zdecydowana mniejszość z tych, którzy zdecydowali się wyjechać, odniosła za granicą sukcesy.

Jest w „Alfabecie…" wiele smaczków i obserwacji nieoczywistych. Piotr Semka trafnie opisuje różnych psujów solidarnościowej konspiracji. Dzieli ich na konfabulantów, kieszonkowych Napoleonów, podziemnych malwersantów i miłośników podziemnego kolorytu. Wszyscy na swój sposób oryginalni, ale niezmiernie uciążliwi czy wręcz groźni w działalności jakiegokolwiek podziemia. W innym miejscu ten sam autor słusznie domaga się opisania przez historyków fenomenu ukrywania setek konspiratorów. Niekiedy to były lata takiej cichej, niezauważonej działalności. Narażonej na podobne konsekwencje jak w przypadku tych, których ukrywano. Mateusz Wyrwich przypomina o takich inicjatywach jak Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy czy początkach Duszpasterstwa Ludzi Pracy. O darach z Zachodu, tzw. zrzutach (było to świadome nawiązanie do terminologii drugowojennej), ze smakiem pisze Barbara Sułek-Kowalska. Pomarańczowe sery, nieznane wówczas w polskich sklepach, drogocenny olej, skarb w każdej domowej kuchni, czy mleko w proszku, jakże potrzebne przy bardzo licznie się wtedy rodzących dzieciach, to było menu, które nas zachwycało. Dary, widomy znak łączący Polaków ze światem Zachodu, niekiedy trafiały się tam liściki od francuskich, belgijskich czy niemieckich przyjaciół, były promykami światła w bardzo szarej rzeczywistości lat 80. Punkty ich dystrybucji, od plebanii św. Brygidy w Gdańsku, przez niemal wszystkie parafie w kraju, znajdowały się dosłownie wszędzie, gdzie tliło się jakieś niezależne od władz życie. Na KUL dostaliśmy paczki z ciuchami z Kanady. Dzięki temu kilku kolegów chodziło w kolorowych spodniach, to była awangarda, ja znalazłem obszerny brązowy prochowiec, który tak się spodobał moim kolegom z akademika, że płaszcz stał się przechodni.

NIEBEZBŁĘDNIE

Czego zabrakło w publikacji IDS? Żaden z autorów nie pochodzi ze Śląska, stąd być może braki w opisie takich wydarzeń jak tragedia kopalni „Wujek" czy podziemnych strajków górniczych w kopalniach „Piast" i „Ziemowit". Za mało syntetycznie został opisany podziemny ruch drukarski i kolporterski, absolutny fenomen tego czasu, słusznie nazywany „papierową rewolucją". Szkoda, że nie podjęto opisu bojkotu mediów państwowych przez środowisko aktorów i innych twórców. Za mało jest też o dziennikarzach, masowo zwalnianych z pracy po 13 grudnia. Książka jednak nie ma ambicji wyczerpania tematu. Może to jest zachęta dla innych autorów, żeby powrócić do tych dzisiaj trochę zapomnianych lat.

Czasami teksty są niespójne. Paweł Janowski pisze w „Agentach w kościołach" o tym, jak „wielka była skala spenetrowania środowiska kościelnego przez SB", a w innych tekstach tegoż samego autora i innych są szkice o bohaterskich księżach Andrzejewskim, Indrzejczyku, Jastaku, Popiełuszce, Suchowolcu i innych. Inwigilacja przez SB duchowieństwa była prowadzone na bardzo szeroką skalę. Efekt? Podobny w procentach jak w przypadku innych grup zawodowych. W dwóch miejscach pojawia się podobna opowieść o marszach milczenia w czasie nadawania propagandowych wiadomości telewizyjnych. Piotr Semka, pisząc o słynnym na Wybrzeżu Gdańskim tekście Stanisława Danielewicza, pozornie muzycznym, de facto zawierającym w pierwszych akapitach tekstu słowa „Wrona skona", umieszcza go w mutacji dwóch lokalnych dzienników. Tymczasem były ich trzy, stąd popularna wówczas nazwa tej gadzinówki „Trójpolówka".

Zdarzają się też błędy poważniejsze. Paweł Janowski w tekście „Uciszyć pamiętających" pisze o 22 tys. zamordowanych w Katyniu. Pod Smoleńskiem zabito ok. 14,5 tys. obywateli polskich, więźniowie ze Starobielska i z Ostaszkowa nie byli zwożeni do Katynia, ale byli zabijani odpowiednio w Charkowie i Kalininie (Twer).

A. HORUBAŁA, P. JANOWSKI, P. SEMKA, B. SUŁEK-KOWALSKA, M. WYRWICH, RED. K. NOWAK
„ALFABET SOLIDARNOŚCI. CZĘŚĆ 2 – KONSPIRA"
INSTYTUT DZIEDZICTWA SOLIDARNOŚCI 2024

PRZYWRACANIE PAMIĘCI

„Alfabet Solidarności. Część 2 – Konspira" to książka potrzebna, żeby powracać do tamtych czasów. Może dziś bardziej niż kiedy indziej. Spór o stan wojenny toczy się od chwili jego wywołania. Choć finalnie opozycja zwyciężyła, to zaciemnianie ówczesnych wyraźnych podziałów zaczęło się zaraz przy Okrągłym Stole, o czym autorzy obecnej „Konspiry" również piszą. Dawniejszy opozycjonista i konserwatysta prof. Andrzej Romanowski uważa dzisiaj, że w 1981 r. należało „stanąć przy generale". Razem z Kiszczakiem, Urbanem, Przymanowskim, Tumanowiczem i wieloma innymi. Według tej opowieści „Jaruzel", bo tak go nazywaliśmy w czasach stanu wojennego, to obrońca „polskich odmienności – prywatnej własności chłopskiej, niezależnego Kościoła, szczątkowego politycznego pluralizmu i więzi z Zachodem", a nie tępy, nudny kacyk wsłuchujący się z najwyższą uwagą w to, jaki przekaz płynie z Moskwy. Okrągły Stół i rozmowy z opozycją to było jedyne wyjście dla ekipy komunistycznej, każde inne skończyłoby się dla nich źle.

Publikacja Instytutu Dziedzictwa Solidarności przywraca pamięć o wielu wydarzeniach, ludziach, tych znanych, niekiedy zapomnianych, o nazwach i bon motach stanu wojennego, o cichym heroizmie i prymitywnej propagandzie. Co z tego zapamięta i jakie wyciągnie wnioski młode pokolenie Polaków? Dla nas był to najważniejszy okres życia, uniwersytet, decydujący o dalszych wyborach. Dla nich oby to były nauka i inspiracja, że w każdych warunkach, w jakich przychodzi nam żyć, prawda i wolność są wartościami, o które warto zabiegać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

Książka nie była przeznaczona do dystrybucji w księgarniach, lecz jako darmowy e-book, dostępny w Internecie bez żadnych opłat. Do pobrania pod adresem: https://ids1980.pl/alfabet-solidarnosci.

eprasa.pl acb5eb45c8

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Takie były początki

Wraz z tworzeniem się państwa polskiego w 1918 r. zapadła w Moskwie decyzja o utworzeniu moskiewskiej kompartii w Polsce, a już 16 grudnia 1918 r. powstała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski (KPRP). W marcu 1919 r. KPRP została w II RP zdelegalizowana, bo nie uznała istnienia niepodległej Polski. Przeszła zatem do konspiracji. W 1925 r. skrócono jej nazwę i stała się Komunistyczną Partią Polski (KPP). W jej ramach istniały też: Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy (KPZU – na terenach województw lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego i wołyńskiego) oraz Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi (KPZB – na terenach północno-wschodniej części II RP). Na terenie Śląska i Wielkopolski oraz Pomorza działały struktury autonomiczne (Komunistyczna Partia Górnego Śląska – Komunistische Partei Oberschlesiens – i komórki Komunistycznej Partii Niemiec – KPD), ponieważ te ziemie traktowane były jako włączone w skład Polski tylko „tymczasowo" i miały „wrócić" do Niemiec. Istniał również Komunistyczny Związek Młodzieży Polski (KZMP).

Te organizacje liczyły łącznie kilkadziesiąt tysięcy członków, a KZMP (odpowiednik sowieckiego Komsomołu) ok. 15 tys. Istniał też żydowski Komcukunft. Najmłodsi szkoleni byli w ramach Pioniera.

W wyborach powszechnych komuniści startowali z legalnych przybudówek, zdobywając początkowo nawet milion głosów! Do tego dysponowali szerokim zapleczem kadrowym i organizacyjnym. Partią, nominalnie pozbawioną nacjonalizmów, wstrząsały jednak bardzo ostre waśnie narodowościowe. Dochodziło zatem do podziałów na… komitety: polski i żydowski, ale to nie były ważne problemy, ponieważ towarzyszy polskiego pochodzenia było niewielu.

Płaszczyzną działania była praca polityczna i propagandowa, ale najważniejsze były szpiegostwo wojskowe i dywersja. Odpowiadały za to Wydziały Wojskowe, czyli „wojskówka", do której kierowano najbardziej zaufanych funków, po kursach sowieckich. W ich ramach istniały „specjalne grupy likwidacyjne", które „na rozkaz partii" dopuszczały się licznych zbrodni i napadów rabunkowych.

Kres struktur komunistycznych nastąpił w 1938 r. na polecenie Stalina. Ponad 3,5 tys. członków zostało wymordowanych. Ci, którzy nie chcieli wykonać polecenia partii i udania się do „ojczyzny proletariatu", byli likwidowani w Polsce i innych krajach w ciągu kilku następnych lat. W momencie wybuchu drugiej wojny światowej organizacje komunistyczne w II RP już nie istniały.

Ale zostały odbudowane w 1942 r., a ich spadkobiercy działają do dziś, m.in. jako… KPP, w sojuszu z SLD – Nową Lewicą. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Czerwone Gitary

Zespół w 1965 r. uzyskał ogólnopolski rozgłos, do czego przyczyniły się pierwsze nagrania radiowe. Dokonano ich w maju i we wrześniu, a emisja piosenek zapewniła formacji zainteresowanie fanów w całej Polsce. Zespół zresztą grał wiele koncertów na terenie całego kraju, czego przykładem może być trzymiesięczna trasa po miastach i miasteczkach 10 województw. Członkowie kapeli nigdy zresztą nie ignorowali nawet niewielkich miejscowości, co jeszcze wzmacniało ich popularność. Najważniejsza jednak chwila nadeszła w październiku 1966 r., gdy zespół zarejestrował materiał na swój pierwszy longplay. Jednak by muzykom nie poprzewracało się w głowach, Polskie Nagrania zarezerwowały dla nich studio nagraniowe tylko na dwa dni.

Obecnie wydaje się, że nagranie płyty w takim terminie jest niemożliwe, ale wówczas technika była znacznie prostsza. Nie było jeszcze „wielośladów, tylko wąska taśma" w dwuścieżkowym magnetofonie. W efekcie na „jedną ścieżkę nagrywano podkłady muzyczne, a na drugą partie wokalne".

Wydawać się to może bardzo prymitywne, ale warto pamiętać, że w podobny sposób cztery lata wcześniej Beatlesi rejestrowali swój debiutancki album. Zajęło im to zresztą jeszcze mniej czasu, gdyż zaledwie 10 godzin. Czasy wielomiesięcznej pracy w studiu nagraniowym miały dopiero nadejść.

Szybkie tempo pracy Czerwonych Gitar może wzbudzać uznanie, ale jeszcze większym zaskoczeniem było to, że album ukazał się już po dwóch miesiącach (10 grudnia 1966 r.). To było coś wyjątkowego, gdyż takiej sprawności wydawniczej gospodarka socjalistyczna jeszcze nie zanotowała. Inna sprawa, że starano się zdążyć przed Gwiazdką, ponieważ zbliżające się Boże Narodzenie miało podnieść sprzedaż. Nie obyło się jednak bez pewnego humorystycznego akcentu, który dopiero po latach można docenić. Płytę tłoczono bowiem na zlecenie Polskich Nagrań w Zakładach Chemicznych im. Bohaterów Studzianek w Pionkach. Firma była bardziej znana z produkcji prochu, amunicji i materiałów wybuchowych, a płyty tam powstające miały oznaczenie Pronit. Ich dystrybucją zajmowały się Polskie Nagrania, a później także inne przedsiębiorstwa państwowe (Wifon, Tonpress).

Jak przystało na płytę powstałą w zakładzie o takiej specjalizacji, materiał zamieszczony na niej był prawdziwie wybuchowy. Longplay otrzymał tytuł „To właśnie my!" i zawierał 14 utworów, które łącznie trwały niespełna 40 minut. Okazał się największym hitem w dotychczasowych dziejach polskiej fonografii, a jego pierwsze wydanie rozeszło się w nakładzie 175 tys. egzemplarzy. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

BOMBY POD NOGI ZABORCÓW!

Zamachy dla niepodległej Polski – Przyszła elita II RP przed pierwszą wojną światową organizowała ataki bombowe wymierzone w funkcjonariuszy carskiego reżimu

Najgroźniejsi agenci ochrany – Stworzona po zamachu na cara tajna policja dokonała wielu udanych prowokacji. Z jej doświadczeń czerpała potem bolszewicka bezpieka

Reagan, rakiety i dolary – Pieniądze od jednego wroga Stanów Zjednoczonych posłużyły do zwalczania drugiego. Tajna operacja CIA skończyła się olbrzymim skandalem

Aryjski wilk i żydowski szczur – W nazistowskich Niemczech „miłość" do zwierząt motywowana była pseudodarwinistyczną ideologią

Bolesław Ocalony – Niemiecki monarcha stanowczo wypierał się swojego udziału w zamachu na Bolesława Chrobrego, ale wszystkie tropy w tej sprawie prowadziły na jego dwór

Nowy Wspaniały Żyd – Zgodnie z założeniami syjonizmu naród żydowski miał przejść w Palestynie metamorfozę. Słabego Żyda z diaspory miał zastąpić potężny Żyd wojownik

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl acb5eb45c8

Gruzja na krawędzi

Jacek Przybylski

Gruziński rząd coraz bardziej otwarcie zbliża się do Rosji. Po decyzji rządu o zatrzaśnięciu drzwi do Europy dziesiątki tysięcy ludzi wyszły na ulice. Służby bezpieczeństwa brutalnie pacyfikują protestujących i aresztują opozycjonistów. Władze oskarżają zaś „agentów" Zachodu o próbę wywołania nowej „kolorowej rewolucji"

Starcia policji z demonstrantami są z dnia na dzień coraz bardziej brutalne

FOT. DARO SULAKAURI/GETTY IMAGES

Aleja Rustawelego. Główna ulica w Tbilisi, rozciągająca się między pl. Wolności a pl. Rewolucji Róż, znów stała się niemym świadkiem historii. To właśnie tu od 28 listopada dzień w dzień dochodzi do coraz ostrzejszych starć służb bezpieczeństwa oraz antyrządowych manifestantów. Policja używa nie tylko armatek wodnych, lecz także gazu łzawiącego, gumowych kul oraz siły fizycznej. Jej funkcjonariusze z coraz większą brutalnością pacyfikują tych, którzy zdecydowali się wyjść na ulice, gdy premier Irakli Kobachidze ogłosił, że zawiesza „przynajmniej do roku 2028" rozmowy o wstąpieniu kraju do Unii Europejskiej. Władze w Tbilisi zrezygnowały również oficjalnie ze wszelkich unijnych dotacji i funduszy.

W kraju, w którym dążenia do integracji z Zachodem i UE popiera zdecydowana większość społeczeństwa, taki ruch władz w Tbilisi musiał wywołać gwałtowną reakcję. Zwłaszcza że Gruzini prozachodnią postawę prezentują od dekad, czyli już od czasów rządów prezydenta Eduarda Szewardnadzego. Prorządową politykę kontynuowano nawet, gdy Gruzińskie Marzenie po raz pierwszy wygrało wybory w 2012 r. W roku 2018 dążenie do członkostwa w Unii Europejskiej i NATO wpisano do gruzińskiej konstytucji jako oficjalne cele polityki gruzińskich władz. W marcu 2022 r. Gruzja wystąpiła z wnioskiem o członkostwo w UE. W grudniu 2023 r. roku Gruzja otrzymała zaś oficjalnie status „kraju kandydującego", przy zastrzeżeniu, że powinna podjąć odpowiednie kroki określone w zaleceniu Komisji Europejskiej. Był to spory krok w stronę Zachodu, ale już wówczas rząd w Tbilisi nie krył się z tym, że bliżej mu do Moskwy niż do Brukseli. W czerwcu obecnego roku unijni przywódcy wyrazili zaś „poważne zaniepokojenie" w związku z przyjęciem ustawy o przejrzystości wpływów zagranicznych. Po wyborach w październiku 2024 r., w których zwyciężyła partia Gruzińskie Marzenie, unijni przywódcy ostrzegli po raz kolejny, że kierunek działań gruzińskiego rządu zagraża planom przystąpienia tego kraju do UE.

Liderzy opozycji mówili, że „doszło do całkowitego sfałszowania wyników wyborów". Przywódca, lider opozycyjnego bloku Silna Gruzja, Mamuka Chazaradze, przekonywał, że sfałszowanie głosowania było częścią operacji KGB przeprowadzo-

eprasa.pl acb5eb45c8

nej pod nadzorem założyciela rządzącego Gruzińskiego Marzenia, miliardera Bidziny Iwaniszwilego, który – jak twierdzą prozachodnie siły – przygotowuje Gruzję do przekazania jej Władimirowi Putinowi. Według zachodnich komentatorów Gruzińskie Marzenie prawdopodobnie rzeczywiście wygrało te wybory, a fałszerstwo zmieniło skalę tego zwycięstwa, przez co koalicja opozycyjnych ugrupowań nie tylko nie przejęła władzy, lecz także może być zupełnie pominięta w procesie sprawowania władzy.

STARCIA W TBILISI

Po wyborach protesty wprawdzie wybuchły, ale były wyjątkowo słabe jak na kaukaski temperament Gruzinów. Po ogłoszeniu decyzji premiera Gruzji temperatura demonstracji znacząco jednak wzrosła. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", prozachodni demonstranci coraz rzadziej mogli po prostu grać na bębnach i powiewać flagami Unii Europejskiej, a coraz częściej musieli bronić się przed funkcjonariuszami bezpieki, stawiając barykady zbudowane z ławek, koszy na śmieci i hulajnóg elektrycznych. W starciach z policją używali zaś rac i fajerwerków. Na ulicach rozbłyskiwały również lasery, przez co relacje ze starć wyglądały niczym sceny z filmów science fiction. Podczas protestów zatrzymano już kilkaset osób. Momentami areszty są już tak przepełnione, że policja część demonstrantów musi przetrzymywać w samochodach w oczekiwaniu na nowe miejsca w celach.

Wielu prozachodnich manifestantów po starciach z policją zostało poważnie rannych. Według oficjalnych danych do szpitali trafiło ponad 160 osób, ale gruzińscy obrońcy praw człowieka szacują, że liczba rannych w protestach jest o wiele wyższa, niż przyznają to władze.

Starcia prozachodnich demonstrantów trwały nie tylko w Tbilisi, lecz także w Batumi nad Morzem Czarnym oraz w Kutaisi, czyli trzecim co do wielkości mieście Gruzji, w którym od 2012 do 2018 r. znajdowała się siedziba gruzińskiego parlamentu.

BŁĄD CZY PROWOKACJA?

Komentatorzy zachodzą w głowę, czy prorosyjski rząd w Tbilisi, ogłaszając kontrowersyjną decyzję o zawieszeniu rozmów zaledwie miesiąc po wyborach, zdecydował się na celową prowokację czy też popełnił błąd wynikający z przerośniętego ego premiera (decyzja o zawieszeniu rozmów z UE miałaby być odpowiedzią na rezolucję Parlamentu Europejskiego oraz ostentacyjne zlekceważenie go przez amerykańskie władze podczas wizyty w Nowym Jorku).

Po ogłoszeniu, że wybory wygrała rządząca partia Gruzińskie Marzenie, opozycja żądała co prawda powtórzenia głosowania i oskarżyła władze o fałszerstwa wyborcze, ale większość Gruzinów nie zamierzała o to walczyć. Niewiele mógł w tej sprawie zrobić również Zachód. Parlament Europejski przyjął co prawda pod koniec listopada rezolucję, w której odrzucił wynik październikowych wyborów Gruzji i zaapelował o nałożenie sankcji na członków władz w Tbilisi, ale rezolucja ta była czysto symboliczna, gdyż nie zobowiązywała żadnego kraju UE do podjęcia jakichkolwiek działań.

Wiele wskazuje na to, że miesiąc po wyborach rząd, widząc słabość

REKLAMA

ZAMÓW ONLINE W KSIĘGARNI XLM.PL

eprasa.pl acb5eb45c8

opozycji, zdecydował się dolać oliwy do ognia czy, mówiąc bardziej obrazowo, wrzucić do ognia kanister rosyjskiej benzyny. Wybuch masowych protestów po zawieszeniu rozmów z UE przewidziałby bowiem nawet student politologii.

W gronie 80 proc. gruzińskiego społeczeństwa, którzy opowiadają się za przystąpieniem Gruzji do Unii Europejskiej, jest przecież również wielu wyborców rządzącej partii Gruzińskie Marzenie. Niezależnie od preferencji politycznych policjanci interweniujący w centrum Tbilisi urządzają schwytanym demonstrantom brutalną „ścieżkę zdrowia". Wiele ofiar skarży się na pobicie czy groźby gwałtu.

Premier Irakli Kobachidze chwali zaś służby bezpieczeństwa za bezwzględną rozprawę z opozycją i przekonuje, że gruzińska bezpieka działa na wyższym poziomie niż „standardy amerykańskie i europejskie". Zamaskowanym członkom gruzińskiej bezpieki ta oficjalna pochwała władz musiała się spodobać, bo w ubiegłą środę brutalnie wtargnęli do biur partii opozycyjnych, a jednego z liderów Koalicji na rzecz Zmian, 48-letniego prawnika Nikę Gwaramię, nie tylko zatrzymali, lecz także przy okazji pobili tak dotkliwie, że aby wrzucić go do nieoznakowanego samochodu, musieli go nieść ulicami nieprzytomnego za ręce i nogi. Rzeczniczka Koalicji na rzecz Zmian oznajmiła, że poza Gvaramią służby zatrzymały jeszcze kilku innych opozycjonistów.

Jednocześnie prorosyjski premier w Tbilisi oskarżył także Unię Europejską oraz Stany Zjednoczone o próbę ingerowania w wewnętrzne sprawy Gruzji i próbę wciągnięcia jego kraju w wojnę przeciwko Rosji. Szef gruzińskiego rządu zarzucił „agentom" Zachodu próbę destabilizacji sytuacji w Tbilisi i oskarżył „zagraniczne podmioty" o dążenie do „ukrainizacji Gruzji" i powtórki scenariusza w stylu kijowskiego Majdanu. Słowa, którymi szef gruzińskiego rządu uzasadnia obecnie krwawą rozprawę z prozachodnią opozycją, to rzeczywiście niemal dokładna kopia wypowiedzi na Ukrainie prorosyjskiej marionetki Wiktora Janukowycza (w marcu 2022 r. oficjalnie potwierdził on swój status „zdrajcy narodu" i „kolaboranta", gdy po pełnoskalowej inwazji Rosji na jego kraj apelował do Ukraińców i prezydenta Zełenskiego o to, by poddał kraj wojskom najeźdźcy).

PIŁKARZ NA PREZYDENTA

Po wybuchu protestów obecna prozachodnia prezydent Gruzji, Salome Zurabiszwili, dołączyła do demonstrujących, oskarżając rząd o wypowiedzenie wojny własnemu narodowi. Ogłosiła również, że nie odejdzie ze swojego stanowiska, nawet jeśli obecny parlament przegłosuje wybór jej następcy. Zmiana warty powinna nastąpić już niebawem. Kadencja Salome Zurabiszwili kończy się bowiem oficjalnie 16 grudnia. Pani prezydent uważa się jednak za „jedyną niezależną, legalną instytucję" działającą w Gruzji. Uznaje ona, że Gruzini padli ofiarą „rosyjskiej operacji specjalnej" i podkreśla, że skoro rządzący politycy pozostają u władzy w wyniku sfałszowanych wyborów parlamentarnych, to władze takie są nielegalne i nie powinny rządzić ani wskazywać nowego prezydenta. Wcześniej prezydent Zurabiszwili apelowała do Sądu Najwyższego, aby rozwiązał głęboki kryzys w jej kraju i unieważnił wynik wyborów z 26 października.

Prozachodnia prezydent Gruzji oskarżyła rząd o wypowiedzenie wojny własnemu narodowi

Skrajnie odmienne stanowisko prezentują członkowie prorosyjskiej partii w gruzińskim parlamencie. Kandydatem Gruzińskiego Marzenia (KO) jest Micheil Kawelaszwili – były piłkarz, a obecnie polityk prorosyjskiej, nacjonalistycznej partii Siła Ludu. Ma on być pierwszym prezydentem Gruzji, który nie zostanie wybrany w głosowaniu powszechnym, lecz przez 300-osobowe kolegium elektorów z udziałem członków parlamentu i samorządowców. Wybory nowej głowy państwa zaplanowano na 14 grudnia. 29 grudnia ma się zaś odbyć inauguracja wskazanego przez elektorów nowego prezydenta.

Postawę prozachodniej prezydent w sprawie protestów opozycji skrytykował już 46-letni premier Irakli Kobachidze. – Gdy kobieta, która nazywa się prezydentem, ogłasza nacisk na sędziów Sądu Konstytucyjnego, jest to bezpośrednio zachowanie przestępcze. Ona wie, że nikt nie będzie chciał aresztować 72-letniej kobiety, dlatego przekracza każdą czerwoną linię – oświadczył szef prorosyjskiego rządu. Tak czy owak do problemów Gruzji wkrótce zapewne dojdzie również dwuwładza.

SZYBKI ROZWÓJ PKB

Rząd w Tbilisi coraz śmielej wycofuje kraj ze ścieżki prozachodnich reform, ochładza relacje z Zachodem, a jednocześnie coraz mocniej zacieśnia stosunki polityczne i gospodarcze zarówno z Rosją, jak i z Chinami. W maju 2023 r., po czteroletniej przerwie, wznowiono ruch lotniczy pomiędzy Gruzją a Rosją. Na gruzińskich skrzydłach (a dokładniej na pokładach samolotów należących do Georgian Airways) Rosjanie mogą z szybką przesiadką podróżować do wielu krajów europejskich (np. do Austrii, Francji czy Włoch). Gruzja – kraj, który może się pochwalić szóstym najwyższym wzrostem gospodarczym świata – od lat przyciąga inwestorów z całego globu, kusząc ich m.in. atrakcyjnym systemem podatkowym i liberalnymi regulacjami.

W konsekwencji działań prorosyjskich władz w Tbilisi kluczowi zachodni gracze – jak Stany Zjednoczone, Niemcy czy Francja – ograniczyli już więc zarówno pomoc finansową dla Gruzji, jak i współpracę wojskową z tym krajem. Złudzeń co do zamiarów prorosyjskiego rządu w Tbilisi nie mają też władze w Kijowie. Prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski, podpisał więc w ubiegły czwartek dekret zatwierdzający decyzję Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony o nałożeniu sankcji na Bidzinę Iwaniszwilego oraz 19 innych osób z gruzińskich władz.

Co będzie dalej? W grę wchodzą skrajne scenariusze. Brutalna postawa policji może sprawić, że w protestach będzie brało udział coraz mniej osób, a kraj coraz mocniej będzie zbliżał się do Rosji (Moskwa w pacyfikowaniu opozycji nie widzi rzecz jasna niczego złego). Może się jednak zdarzyć i tak, że protestujących zbierze się tak wielu, że rząd będzie zmuszony do ustępstw. W takiej sytuacji z „bratnią pomocą" władzom w Tbilisi może przyjść rosyjskie wojsko.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. FACEBOOK.COM/BARBRABANDA11

POSTĘPOWA ANOMALIA

Barbra Banda, reprezentantka Zambii w piłce nożnej, została przez BBC ogłoszona Piłkarką Roku. Z pewnością zawodniczka ta doskonale radzi sobie w piłkarskich meczach kobiet. Szkopuł w tym, że pojawiły się wątpliwości co do tego, czy sama pod względem biologicznym jest kobietą. W roku 2022 została bowiem wykluczona z udziału w kobiecym Pucharze Narodów Afryki z powodu podwyższonego poziomu testosteronu. A wiadomo, że takich, wywołujących skandale, przypadków w sporcie jest mnóstwo. Ciekawe, czy werdykt w sprawie Piłkarki Roku byłby ten sam, gdyby wokół płci zambijskiej piłkarki nie narosły kontrowersje. Taką kwestię stawia portal The Sun i złośliwie komentuje, że BBC lubi schlebiać postępowemu światopoglądowi.

PIENIĄDZE ALBO ŚMIERDŹ

We Włoszech policja wpadła na trop gangu hydraulików. Przestępcy działali według następującego schematu: pobierali 500 euro zaliczki, a następnie zamiast naprawiania usterek kanalizacyjnych wyrządzali jeszcze większe szkody. Na przykład zrywali ściany i podłogi pod pretekstem szukania przyczyn awarii, pozostawiając po sobie brud i smród. Następnie przedstawiali klientom mocno przeszacowane koszty doprowadzenia lokalu do porządku. Jeśli ktoś nie przyjmował tych warunków, to był przez gangsterów zastraszany.

20 GODZIN W WC

Długą sesję w toalecie zaliczył mężczyzna w niemieckim mieście Neu-Ulm. Pracując w biurze w piątek, czyli – co nie jest bez znaczenia – tuż przed weekendem, udał się w porze lunchu do WC i się zatrzasnął. Nie miał możliwości poprosić o pomoc, bo smartfona ze sobą nie zabrał. Tak ustaliła policja, która na prośbę zaniepokojonej zniknięciem mężczyzny rodziny rozpoczęła jego poszukiwania. Szczęśliwie udało się go odnaleźć, a następnie uwolnić, ale trzeba było użyć aż rozpieracza, który jest specjalistycznym sprzętem na wyposażeniu straży pożarnej. Mężczyzna był uwięziony 20 godzin.

GNICIE MÓZGU

Bezmyślne przeglądanie przez wiele godzin rolek na Instagramie czy TikToku to już objaw poważnej przypadłości. Jej nazwa – „gnicie mózgu" – została uznana za frazę roku przez Oxford University Press. Zjawisko to odnosi się do zbyt częstego pochłania treści niskiej jakości (bo trywialnych i niekwestionowanych). Efektem tego jest rozleniwianie umysłu.

AFERA PODPASKOWA

W Chinach do sprzedaży trafiły podpaski krótsze, niż reklamowano. Burzę wywołały filmiki w mediach społecznościowych z udziałem pań mierzących długość tych produktów. Spośród 20 podpasek różnych marek aż 90 proc. było „skurczonych", czyli o centymetr krótszych, niż podano na opakowaniu. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nagroda Nobla dla Trumpa?

Donald Trump 20 stycznia 2025 r. przejmie ster rządów w Stanach Zjednoczonych w wyjątkowo niebezpiecznym okresie światowej historii. Tocząca się na Ukrainie wojna – choć najważniejsza z perspektywy Polski – nie jest przecież jedynym potężnym konfliktem.

Międzynarodowy Instytut Studiów Strategicznych już w grudniu 2023 r. opublikował analizę, której autorzy dowodzili, że na świecie toczą się obecnie aż 183 konflikty zbrojne. Inne instytuty i akademie szacowały liczbę wojen na świecie na 45 lub 56. Niezależnie od przyjętej metodologii wszyscy analitycy zgadzali się, że tak źle jak na początku 2024 r. nie było od zakończenia drugiej wojny światowej.

Tymczasem ostatnie miesiące przyniosły jeszcze zaostrzenie sytuacji. Krwawe walki między Izraelem a Hamasem już rozszerzyły się na Liban i Hezbollah, co zwiększa ryzyko rozlania się wojny na inne obszary Bliskiego Wschodu. Wojna domowa w Syrii wydaje się daleka od pokojowego zakończenia. Ryzyko wybuchu wojny pomiędzy Koreami Północną a Południową wydaje się zaś najwyższe od roku 1950.

Znany z nieobliczalności Trump paradoksalnie może uspokoić sytuację przynajmniej na części terenów, na których obecnie toczą się bezlitosne starcia, szybko ograniczając liczbę cywilnych ofiar. Skutecznie mediował już podczas swej pierwszej kadencji, doprowadzając m.in. do zawarcia w 2020 r. tzw. Porozumień Abrahama.

W 2025 r. może pomóc zaprowadzić rozejm nie tylko na Bliskim Wschodzie, lecz także na Ukrainie. Do Pokojowej Nagrody Nobla zgłosił go już więc Ołeksandr Mereżko, ukraiński prawnik i poseł partii prezydenta Wołodomyra Zełenskiego...

eprasa.pl acb5eb45c8

Ukraińcy Białorusinom nie wierzą

Przejście graniczne między Ukrainą a Białorusią w obwodzie brzeskim, luty 2023 r. FOT. NATALIA KOLESNIKOVA/AFP/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

Kijów nie ufa ani Łukaszence, ani Cichanouskiej. Absolutna większość Ukraińców ma negatywny stosunek do Białorusinów. Uważają ich za wrogów, a także gardzą nimi za uległość wobec dyktatury. A jednak wielu spośród tych, którzy nie chcą iść na front, ucieka – na Białoruś właśnie

Białoruś znajduje się w czołówce państw, do których Ukraińcy mają stosunek negatywny. Trudno się temu dziwić, skoro mowa o państwie agresorze, które co prawda bezpośredniego udziału w inwazji nie wzięło, ale udostępniło Moskwie terytorium do ataku na Kijów. Najnowszy sondaż na temat stosunku do innych państw przeprowadziło we wrześniu 2024 r. Centrum Razumkowa. Liderem antypatii, co oczywiste, jest Rosja – z wynikiem 94 proc. Intryguje to, co kieruje pozostałymi 6 proc. respondentów. Tak czy inaczej, drugie miejsce zajmuje Iran (85 proc.). Do Białorusi natomiast negatywny stosunek deklaruje 84 proc. pytanych. Na marginesie warto wspomnieć, że co prawda Polska cieszy się stosunkowo wysokim wynikiem ocen pozytywnych (78 proc.), ale wyprzedzają ją Łotwa, Litwa, Niemcy, Wielka Brytania, Francja, USA, Kanada, Niderlandy, Czechy i Estonia (w takiej kolejności).

Respondenci byli również pytani o to, czy Białoruś jest stroną wojny przeciwko Ukrainie. Twierdząco odpowiedziało 78 proc., przecząco – jedynie 11 proc. Ponadto 68 proc. badanych opowiedziało się za całkowitym zerwaniem relacji na linii Kijów – Mińsk aż do zakazu wjazdu na teren Ukrainy dla obywateli Białorusi z wyjątkiem tych, którzy proszą o azyl polityczny (w domyśle: sprzeciwiają się polityce Łukaszenki i Putina). Zdanie przeciwne wyraziło 19 proc.

NIE KAŻDY BIAŁORUSIN TO WRÓG

Białorusini mocno stracili w oczach Ukraińców po 24 lutego 2022 r. Pokazują to wyniki kolejnych sondaży przeprowadzanych przez Centrum Razumkowa. We

eprasa.pl acb5eb45c8

wspomnianym badaniu, przeprowadzonym we wrześniu 2024 r., „całkowicie pozytywny" stosunek do Białorusi zadeklarowało jedynie 2,5 proc. pytanych, 6,9 proc. – „przeważnie pozytywny", 22,6 proc. – „przeważnie negatywny", 61,4 proc. – „całkowicie negatywny". Również w sondażach z lutego/marca 2023 r., sierpnia 2023 r. i stycznia 2024 r. zdecydowanie ponad połowa Ukraińców (od 56,3 do 68,5 proc.) wyrażała „całkowicie negatywny" stosunek do sąsiada z północy. „Całkowicie pozytywnie" na temat Białorusinów wypowiadało się w tych badaniach kolejno 3,1; 1,5 i 1,4 proc. respondentów.

Zupełnie inne zdanie mieli Ukraińcy przed wojną. W marcu 2021 r. 16,8 proc. badanych zadeklarowało stosunek „całkowicie pozytywny", aż 41,6 proc. – „przeważnie pozytywny", 19,8 proc. – „przeważnie negatywny", 11,2 proc. zaś – „całkowicie negatywny". Ponad połowa Ukraińców w tej czy innej formie wyrażała sympatię wobec Białorusi, choć przecież było to już po pogorszeniu wzajemnych relacji, wywołanym kryzysem powyborczym w 2020 r. Z jednej strony, po początkowym zawahaniu ukraińskie władze wspólnie z Zachodem potępiły Łukaszenkę za brutalne stłumienie protestów opozycji. Kijów zawiesił nawet oficjalne relacje z Mińskiem. Z drugiej strony, na wzajemne relacje negatywnie wpłynęła afera „Wagnergate". Tuż przed wyborami Łukaszenka ogłosił, że KGB zatrzymało rosyjskich najemników, którzy szykowali zamach stanu w Mińsku. Białoruski dyktator w ten sposób uwiarygodnił się jako rzekomo niezależny od Rosji polityk. W rzeczywistości wagnerowcy byli w Mińsku jedynie przejazdem. Dalej mieli lecieć do Turcji, zwabieni obietnicą intratnego kontraktu. Po drodze jednak czekało ich przymusowe lądowanie na Ukrainie i zatrzymanie przez tamtejsze służby. Była to wielka operacja SBU i Amerykanów, którą Łukaszenka udaremnił. Wagnerowców, którym za białoruskimi kratami włos z głowy nie spadł, po wyborach „Baćka" odesłał po cichu do Rosji. A jednak te kryzysy nie wpłynęły na wizerunek Białorusinów i Białorusi w oczach Ukraińców tak bardzo, jak udział Mińska w pełnoskalowej inwazji.

Co ciekawe, większość Ukraińców uważa, że również Białorusini nastawieni są do ich kraju negatywnie. W przeprowadzonym przez Fundację Inicjatywy Demokratyczne im. Ilka Kuczeriwa pod koniec 2023 r. sondażu taką opinię wyraziło 61 proc. respondentów. Tylko 7 proc. stwierdziło, że wierzy, iż Ukraińcy są na Białorusi postrzegani pozytywnie.

Nie oznacza to jednak, że każdy obywatel państwa rządzonego przez Łukaszenkę jest traktowany nad Dnieprem jako wróg. Ukraińcy praktycznie nie stosują podziału na „złych i dobrych Rosjan", chyba że pod tymi ostatnimi rozumieją martwych Rosjan. Skrajnie negatywnie odnoszą się także do antyputinowskich opozycjonistów, o ile nie życzą oni swojemu krajowi ostatecznej i bolesnej klęski. Tolerują w zasadzie jedynie tych Rosjan, którzy u boku Kijowa walczą z Rosją. Czyli tych, którzy najprawdopodobniej nigdy nie będą mieć większych szans na objęcie rządów w Rosji. Nieco bardziej tolerancyjni są wobec białoruskiej opozycji antyłukaszenkowskiej. Początkowo również akceptowali właściwie wyłącznie tych, którzy na froncie czynnie walczą z Rosją. Czyli białoruskich ochotników z Pułku im. Konstantego Kalinowskiego, znajdujących się de facto pod rozkazami Kijowa.

Białoruski dyktator świetnie się czuje w roli mediatora. Pokazały to porozumienia mińskie

Do pierwszego spotkania Cichanouskiej i Zełenskiego doszło dopiero w marcu 2023 r. w niemieckim Akwizgranie, gdzie ukraiński prezydent odbierał Nagrodę Karola Wielkiego. Nie było żadnych poważnych oficjalnych rozmów, a jedynie uścisk dłoni w kuluarach i krótka wymiana zdań. Między ukraińskimi władzami a antyłukaszenkowską opozycją nie było, nie ma i najprawdopodobniej długo jeszcze nie będzie zaufania. Powodów jest kilka. Po pierwsze, jeszcze w czasie kampanii wyborczej w 2020 r. Cichanouska stwierdziła, że Krym jest „de facto rosyjski". Po drugie, w pierwszych miesiącach inwazji rosyjskiej opozycjonistka unikała stanowczej krytyki działań Moskwy. Najpewniej wynikało to z obawy przed utratą poparcia ze strony rodaków, w większości popierających Putina. Zarazem trzeba pamiętać, że stosunek Białorusinów do wojny jest niejednoznaczny. Poglądy prorosyjskie łączą, paradoksalnie, z przekonaniami antywojennymi. Co do zasady kibicują Rosji, jednocześnie nie życząc sobie, aby ich kraj wziął bezpośredni udział w „specoperacji". Dopiero w październiku 2022 r. Cichanouska jednoznacznie potępiła inwazję rosyjską i zaproponowała Zełenskiemu sojusz między Ukrainą a białoruską opozycją. Kijów nie odpowiedział entuzjazmem.

I tu pojawia się trzeci powód, dla którego Ukraińcy nie palą się do nawiązania współpracy z antyłukaszenkowską emigracją. Cichanouska jest zwyczajnie politykiem nieskutecznym, pozbawionym realnego wpływu na sytuację we własnym kraju. Otwarcie to przyznawali ukraińscy politycy, w tym doradca szefa biura prezydenta Mychajło Podolak.

Czwarty powód, dla którego prawdopodobnie Kijów unika porozumienia z Cichanouską, również ma wymiar pragmatyczny. Otóż takie porozumienie utrudniłoby ewentualne rozmowy z Łukaszenką. Czyli z jedynym białoruskim politykiem, który ma zarówno wpływ na sytuację we własnym kraju, jak i dostęp do ucha Władimira Putina. Z jednej strony, „ostatni dyktator Europy" udostępnił terytorium do inwazji na Ukrainę. Z drugiej strony, sam nie biorąc w tej inwazji udziału (nieistotne, czy dlatego, że postawił się Putinowi, czy raczej dlatego, że Putin tego udziału nie potrzebował), zachował resztki pozorów neutralności. Wystarczające, by to właśnie na terenie Białorusi odbywały się pierwsze rozmowy ukraińsko-rosyjskie na samym początku pełnoskalowej wojny. Ponadto w pewnym momencie Łukaszenka wycofał swoje oddziały znad granicy z Ukrainą, co pozwoliło Ukraińcom rzucić stamtąd siły na front walk z Rosją.

Białoruski dyktator świetnie się czuje w roli mediatora. Pokazały to porozumienia mińskie. Dla Ukrainy niekorzystne, ale konieczne. Zełenski i jego ludzie muszą więc z Łukaszenką liczyć się bardziej niż z Cichanouską. Ukraińcy nie tyle cenią białoruskiego dyktatora,

eprasa.pl acb5eb45c8

ile biorą pod uwagę jego sprawczość. Szczególnie że nieuchronnie zbliża się czas rozmów pokojowych, kiedy nawet tak stronniczy i niewiarygodny mediator jak Łukaszenka może się przydać.

RÓŻNICE MENTALNE

Poza wszystkim coraz bardziej negatywny stosunek Ukraińców do Białorusinów nie wynika jedynie z tego, że Mińsk jest sojusznikiem Moskwy. Problem tkwi też w różnicach mentalnych. Niechęć dotyczy nie tylko polityki władz, lecz także nastawienia samego społeczeństwa. I to zarówno zwolenników, jak i przeciwników Łukaszenki. Jedni i drudzy wyznają co prawda poglądy antywojenne. Jednak jedni i drudzy w swej masie popierają też Rosję. Wypowiedź Cichanouskiej w sprawie rosyjskości Krymu nie była odosobnionym przypadkiem. Trzeba pamiętać, że masowe demonstracje sprzed czterech lat nie miały charakteru antyrosyjskiego, tylko antyłukaszenkowski. Białorusini nie postulowali ani zerwania sojuszu z Moskwą, ani zbliżenia z Zachodem. Walczyli tylko i aż o demokrację. Na ulicę wyprowadziły ich skala fałszerstw i bezczelność dyktatora, a nie chęć zmiany geopolitycznego wektora. Stąd też początkowo powściągliwa postawa Kijowa wobec ówczesnych protestów.

Ponadto Ukraińcy zwyczajnie w wielu przypadkach gardzą Białorusinami jako narodem uległym wobec dyktatury. „Biało-czerwono-biała rewolucja" się nie powiodła. Została brutalnie stłumiona, a jej uczestnicy albo uciekli z kraju, albo znaleźli się w więzieniach, albo zwyczajnie ucichli. Ukraińcy tymczasem w ciągu dekady zorganizowali dwie rewolucje, i obie udane. Skutecznie opierali się zarówno dyktatorskim zapędom, jak i wpływom Moskwy. Białorusini tego albo nie chcą, albo nie potrafią.

Białoruś jest dla Ukraińców najbardziej typowym przykładem uległości wobec rosyjskiego imperializmu. Widać to wyraźnie po ostatnich wypadkach w Gruzji. Wyborcze zwycięstwo Gruzińskiego Marzenia, postrzeganego jako ugrupowanie prorosyjskie, wywołało falę komentarzy nad Dnieprem. I porównań do północnego sąsiada. „Czy Gruzja naprawdę staje się drugą Białorusią?" – tego typu pytania w różnych wariantach powtarzały się w mediach i w Internecie.

Ukraińska opinia publiczna uważnie i z nadzieją śledzi antyrządowe protesty na ulicach Tbilisi. Znany publicysta Witalij Portnykow stwierdził, że Gruzja może pójść albo drogą Ukrainy, albo drogą Białorusi. Innymi słowy, tamtejsze społeczeństwo albo będzie do końca sprzeciwiać się władzy i walczyć o swoje prawo do europejskiej przyszłości, albo da się spacyfikować rządzącym i ulegnie dyktaturze. Optymistą w tej kwestii jest dziennikarz Ołeh Manczura. Skrytykował tych spośród swoich rodaków, którzy po zwycięstwie Gruzińskiego Marzenia pogardliwie nazywali Gruzinów „Białorusinami". Czyli ludźmi uległymi wobec dyktatury, niezdolnymi do wywalczenia sobie wolności.

Nawet zadeklarowani ukraińscy patrioci mogą z coraz większą zazdrością patrzeć na Białoruś, gdzie co prawda panuje prorosyjska dyktatura, ale przynajmniej nie spadają bomby

EMIGRACJA NA BIAŁORUŚ

„Ukraina zaprzestała oficjalnych kontaktów z Białorusią, pobudowała zapory przeciwczołgowe na granicy, zniszczyła mosty. To jest nienormalne, bo przecież nasze kraje nie są w stanie konfliktu zbrojnego. Ale ludzie dostrzegają kontrast: u nas pola zasiewa się ziarnem, a tam minami. Dlatego bardzo prawdopodobne, że kiedy zakończy się wojna, wielu Ukraińców zechce jeśli nie wyemigrować na Białoruś, to przynajmniej znaleźć pracę na Białorusi" – stwierdził niedawno ekonomista Gieorgij Gric w rozmowie z państwową agencją informacyjną Biełta.

Oczywiście to Łukaszenkowska propaganda. Nie można jednak wykluczyć, że proroctwo Grica się spełni. Większość Ukraińców jest nastawiona bojowo i nie wyobraża sobie kompromisu z agresorem, ale zmęczenie wojną będzie tylko rosnąć. Nawet zadeklarowani ukraińscy patrioci mogą z coraz większą zazdrością patrzeć na Białoruś, gdzie co prawda panuje prorosyjska dyktatura, ale przynajmniej nie spadają bomby. W końcu podczas obecnej wojny Ukraina traci dużo więcej niż pogardzany sąsiad z północy. Szczególnie pod względem gospodarczym i finansowym.

W sierpniu tego roku ukraińska Służba Wywiadu Zagranicznego ostrzegała Ukraińców przed wyjazdami na Białoruś. Jako obywatele wrogiego państwa są tam przesłuchiwani i przeszukiwani, wypytywani o poglądy polityczne. Sam fakt ostrzeżenia świadczy, że zjawisko istnieje. 27 września Państwowy Komitet Graniczny Białorusi poinformował, że od początku roku na Białoruś wyjechało 101 tys. obywateli Ukrainy. Część dotarła bezpośrednio z Ukrainy, część przez Polskę, Litwę lub Łotwę. Od 24 lutego 2022 r. na Białoruś miało trafić 248 056 obywateli Ukrainy. Rzecz jasna, nie sposób bezkrytycznie traktować danych podawanych przez Mińsk. Z pewnością o wiele bliższe prawdzie są dane podawane przez ONZ. Zgodnie z nimi do kwietnia 2023 r. na Białoruś uciekło 22 tys. Ukraińców. Nie wszyscy uciekają przed agresją rosyjską. Niektórzy uciekają przed własną armią. A dokładniej – przed mobilizacją. W czerwcu opozycyjne Radyjo Swaboda opisywało historię Ukraińca Mychajły, który, żeby uniknąć pójścia na front, ruszył na Białoruś. A dokładniej popłynął – na nadmuchanym materacu. Przez Dniepr. Białoruscy pogranicznicy nie powitali go z kwiatami. Uchodźca dostał mandat za nielegalne przekroczenie granicy. Dziesięć dni spędził w areszcie, gdzie był przesłuchiwany przez KGB. Jednak, jak zapewniał potem w rozmowie z opozycyjnymi dziennikarzami, traktowany był bardzo dobrze. „Nikt mnie nawet palcem nie tknął" – mówił. Gorzej niż do uchodźców z Ukrainy, według jego relacji, białoruscy pogranicznicy odnoszą się do swoich, tzn. do zatrzymanych Białorusinów. Mychajło wraz z dwoma innymi Ukraińcami, którzy też uciekli przed mobilizacją, został przewieziony na granicę z Polską, którą następnie nielegalnie przekroczył.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam do Republiki od wtorku do czwartku o godzinie 17:35, a w piątki o 18:20” – Miłosz Kłeczek

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl acb5eb45c8

Kto aresztuje premiera Izraela?

Witold Repetowicz

Wydanie nakazu aresztowania Beniamina Netanjahu i Jo'awa Gallanta przez Międzynarodowy Trybunał Karny było ryzykownym krokiem, który może stanowić gwóźdź do trumny międzynarodowej jurysdykcji karnej. Przyszłość MTK zależy od postawy państw europejskich, które podkreślały dotąd znaczenie ścigania za największe zbrodnie bez względu na immunitet

Idea międzynarodowej jurysdykcji karnej, choć narodziła się po drugiej wojnie światowej w postaci trybunału norymberskiego, rozwinęła się dopiero w latach 90. XX w. Przyczyniła się do tego wojna w byłej Jugosławii oraz to, że ostatnia dekada XX w. była niezwykle krwawa w Afryce. Na Zachodzie pojawiło się wówczas przekonanie, że społeczność międzynarodowa nie może tolerować bezkarności osób odpowiedzialnych za masowe zbrodnie, a trwały pokój nie jest możliwy bez sprawiedliwości. W maju 1993 r. Rada Bezpieczeństwa ONZ powołała Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, który przez 24 lata swojego istnienia rozpatrywał sprawy przeciwko 161 osobom, z których 90 zostało skazanych. Pół roku później Rada Bezpieczeństwa powołała do życia drugi trybunał, tym razem dla zbrodni popełnionych w czasie ludobójstwa w Rwandzie. Istniał on do 2015 r. i stanęło przed nim 96 osób, z których 61 zostało skazanych. Natomiast w 2000 r. Rada Bezpieczeństwa podjęła decyzję o konieczności stworzenia specjalnego sądu dla zbrodni popełnionych w czasie wojny w Sierra Leone. Powstał on dwa lata później i miał nieco inny charakter, gdyż oparty był na umowie zawartej między ONZ a tym afrykańskim państwem.

MILOŠEVIĆ BEZ WYROKU

Karanie przywódców innych państw, choćby obalonych, za czyny popełnione w czasie pełnionej przez nich funkcji zawsze budziło kontrowersje, jeśli było dokonywane przez organ spoza tego państwa, gdyż wkraczało w obszar najbardziej zazdrośnie strzeżony przez państwa – suwerenność. Pierwszą osobą od czasów Norymbergi, wobec której przełamano tę zasadę, był Slobodan Milošević. Chociaż został on wydany do Hagi przez władze serbskie, to jego proces budził ogromne emocje, a ostatecznie do skazania nie doszło, bo były premier Jugosławii zmarł w haskim więzieniu, nie doczekawszy wyroku. Za to w 2012 r. sąd w Sierra Leone skazał prezydenta Liberii Charlesa Taylora, który obecnie odsiaduje karę 50 lat w więzieniu HM Prison Frankland w Anglii. Jest on pierwszą i jak dotąd jedyną po drugiej wojnie światowej głową państwa skazaną przez międzynarodowy sąd. Wprawdzie trybunał rwandyjski skazał też na dożywocie Jeana Kambandę, byłego premiera Rwandy, ale ten pełnił swój urząd tylko przez trzy miesiące, a oskarżony został po obaleniu (gdy Taylor jeszcze pełnił swój urząd).

Te doświadczenia spowodowały, że na Zachodzie pojawiła się idea stworzenia permanentnego trybunału, którego istnienie oraz nieuchronność kary działałyby odstraszająco na zbrodniarzy. Zwłaszcza tych mających władzę. Traktat powołujący do życia Międzynarodowy Trybunał Karny powstał w 1998 r. i znany jest jako Statut Rzymski. Wszedł on w życie w 2002 r. i jest podpisany obecnie przez 125 państw. Podstawową różnicą między nim a wcześniejszymi trybunałami jest to, że jego istnienie i działalność nie są autoryzowane przez Radę Bezpieczeństwa ONZ. Co więcej, aż trzech z pięciu członków tego organu nie jest sygnatariuszami Statutu Rzymskiego. Chodzi o Chiny, Rosję i USA. Niemniej zarówno Rosja, jak i USA brały udział w negocjacjach dotyczących stworzenia Trybunału i podpisały Statut, a dopiero później odmówiły jego ratyfikacji, by na koniec wycofać podpis.

Podobnie zresztą w 2002 r. zrobił Izrael. Z kolei dwa państwa – Filipiny i Burundi – kilka lat po ratyfikacji wycofały się z traktatu. Każde państwo może to zrobić, jeśli nie zgadza się z jurysdykcją Trybunału. Schizofreniczną postawą jest jednak pozostawanie stroną Statutu Rzymskiego i ignorowanie jego decyzji. Bycie stroną oznacza bowiem uznanie, że MTK nie jest instytucją polityczną, lecz prawną, co oznacza, że nie można odrzucać jego de-

eprasa.pl acb5eb45c8

Deklarację zastosowania się do nakazu złożyły m.in. Wielka Brytania i Włochy. Na zdjęciu: propalestyńska demonstracja w Rzymie, 30 listopada 2024 r.

FOT. ANTONIO MASIELLO/GETTY IMAGES

cyzji z przyczyn politycznych. To tak, jakby w jakimś państwie rząd oceniał decyzje sądu i jeśli by się z nimi nie zgadzał, to odmawiałby wykonywania wyroków czy nakazów aresztowania i policja nie zatrzymywałaby podejrzanych czy skazanych. A z taką sytuacją mamy obecnie do czynienia w odniesieniu do nakazów wydanych w sprawie Izraela.

NETANJAHU NIE JEST PIERWSZY

Stworzeniu MTK towarzyszyła od samego początku idea, że nikt nie może się skryć za immunitetem dyplomatycznym. Nie była to jednak jedyna droga, którą próbowano ścigać przywódców politycznych innych państw. Gdy Taylor stanął przed sądem, odżyła idea tzw. jurysdykcji uniwersalnej, zgodnie z którą każde państwo ma prawo ścigać dowolną osobę oskarżoną o najbardziej przerażające zbrodnie. Bez względu na to, czy oskarżonego łączy cokolwiek z państwem go ścigającym i jaką pełni funkcję. Na przykład w Belgii nastąpił wówczas wysyp wniosków o ściganie takich osób jak izraelski premier Ariel Sharon czy amerykański prezydent George W. Bush. Ostatecznie jednak żadna urzędująca głowa państwa na tej podstawie nie została zatrzymana, a zatrzymania byłych przywódców miały charakter incydentalny.

To właśnie w oparciu o jurysdykcję uniwersalną aresztowano Augusta Pinocheta w Wielkiej Brytanii w 2000 r., ale ostatecznie jego proces odbył się w ojczystym Chile. Natomiast w listopadzie 2023 r. Francja wydała nakaz aresztowania syryjskiego przywódcy Baszara al-Asada, w związku z zarzutami użycia broni chemicznej w Ghoucie w 2013 r. i w Doumie w 2018 r.

Jurysdykcję uniwersalną próbowano też wykorzystać przeciwko oficjelom z Izraela, ale na razie z mizernym skutkiem. W 2009 r. w Hiszpanii wszczęto postępowanie przeciwko grupie Izraelczyków, w tym byłemu szefowi sztabu IDF gen. Danowi Halutzowi, ale szybko je umorzono. Natomiast w grudniu tego samego roku brytyjski sąd wydał nakaz aresztowania Tzipi Livni za czyny dokonane w czasie, gdy była szefową izraelskiej dyplomacji. Gdy w 2016 r. przybyła ona do Londynu na międzynarodową konferencję, brytyjska policja wezwała ją na przesłuchanie. Miało ono mieć charakter dobrowolny, ale i tak do niego nie doszło, gdyż po błyskawicznych konsultacjach dyplomatycznych uznano, że przysługuje jej immunitet (choć była wówczas już tylko członkinią Knesetu). Poza tym w 2011 r., w reakcji na sprawę Livni, Wielka Brytania zmieniła prawo tak, by utrudnić wydawanie nakazów aresztowania przeciwko politykom izraelskim.

Tyle że nie dotyczy to MTK, gdyż o ile sięganie po jurysdykcję uniwersalną jest kwestią wewnętrzną, o tyle wykonywanie decyzji MTK stanowi zobowiązanie prawnomiędzynarodowe. W skrócie: nikt nikogo nie zmuszał, by podpisywał Statut Rzymski, a następnie go ratyfikował. Drzwi nie są też zaryglowane i każdy może opuścić grono państw-stron, jeśli mu się coś nie podoba, tak jak to uczyniły Filipiny oraz Burundi. Natomiast bycie stroną oznacza deklarację akceptacji pewnych zasad i jeśli się je potem ignoruje, pozostając nadal stroną, to jest to żałosne. To tak, jakby ktoś grał w szachy, nie akceptował ruchów przeciwnika, ale dalej grał. Bez sensu? No właśnie. Zwłaszcza jeśli dotyczy to krajów, które pouczają inne w sprawie praworządności i prawa międzynarodowego, np. Niemiec. Na tym tle państwa, które wycofały swój podpis lub w ogóle go nie złożyły, jawią się jako przynajmniej konsekwentne, a nie robiące z siebie międzynarodowych pajaców.

Netanjahu nie jest pierwszym urzędującym przywódcą ściganym przez MTK i to jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Jurysdykcja Trybunału, w przeciwieństwie do uniwersalnej, ograniczona jest przy tym do państw-stron, ale w tym

eprasa.pl acb5eb45c8

sensie, że dotyczy czynów popełnionych na ich terytorium oraz przez ich obywateli. Jednak są też inne możliwości. Pierwszym urzędującym przywódcą ściganym przez MTK został w 2009 r. prezydent Sudanu w latach 1989–2019 Omar al-Baszir. W tym czasie dorobek MTK nie był zbyt imponujący. Chociaż roczny budżet Trybunału wynosi obecnie prawie 200 mln euro, to pierwszą osobę skazano dopiero w 2012 r. Do dziś skazano łącznie 11 osób, przy czym pięć osób na kary grzywny lub więzienia do jednego roku. Z pozostałych sześciu trzy wyszły już na wolność. Ponadto wobec czterech innych toczą się postępowania. I to wszystko kosztowało ok. 3 mld euro przez 20 lat istnienia Trybunału.

SĄD NAD CZARNYMI?

Ponadto do 2022 r. wszystkie sprawy odbywające się przed Trybunałem dotyczyły Afryki, co budziło rosnące niezadowolenie tamtejszych państw, które zaczęły zarzucać MTK, że jest „sądem białych nad czarnymi". Ściganie al-Baszira przez Trybunał budziło też wątpliwości, bo Sudan nie ratyfikował Statutu Rzymskiego. Śledztwo w sprawie zbrodni w Darfurze, o które został oskarżony, toczyło się z wniosku Rady Bezpieczeństwa ONZ, ale niektórzy mieli wątpliwości, czy MTK miał prawo bez zgody tego organu wystawić nakaz aresztowania. Europa była przekonana, że tak. Mimo nakazu Baszir odbył kilka podróży zagranicznych, w tym do afrykańskich państw-stron, takich jak Czad, RPA czy Kenia, co spotykało się z ostrą krytyką w Europie i USA.

W czerwcu 2022 r. Trybunał oskarżył pierwszych „białych ludzi", tj. trzech południowoosetyjskich separatystów, za zbrodnie popełnione w Gruzji. Są oni jednak poza zasięgiem MTK, podobnie jak Rosjanie. Wydanie w marcu 2023 r. nakazu aresztowania Władimira Putina (a także Marii Lwowej-Biełowej) było sensacją. Podstawą jurysdykcji było to, że zbrodni dokonano na terenie Ukrainy, która wprawdzie też nie jest stroną MTK, ale zwróciła się o ściganie, co Statut Rzymski dopuszcza. Trudno jednak wyobrazić sobie aresztowanie Putina dopóty, dopóki rządzi on Rosją, gdyż oznaczałoby to wypowiedzenie wojny. Dlatego w 2023 r. RPA wpłynęła na niego, by jednak nie przyjeżdżał na szczyt BRICS do Johannesburga. Ale we wrześniu Putin odwiedził należącą do MTK Mongolię. Nakaz został zignorowany. Mongolia nie jest jednak czołowym państwem na arenie międzynarodowej.

DYPLOMATYCZNE MILCZENIE

Wydanie nakazu aresztowania Netanjahu i Gallanta wywołało zróżnicowane reakcje co do gotowości jego wykonania. Przy czym w przeciwieństwie do przypadku Putina i Rosji Izrael nie zdołałby zaatakować większości spośród krajów, które by go ewentualnie mogły wykonać. Wprawdzie pojawiły się groźby przeprowadzenia operacji specjalnej, ale trudno sobie to wyobrazić bez wsparcia USA. Problem w tym, że to wsparcie byłoby dość prawdopodobne, przy całej teoretyczności tych rozważań. Żadne państwo gotowe do aresztowania Netanjahu nie zrobi tego, gdyż po prostu nie zaprosi go na swoje terytorium. Wciąż nie jest to jednak komfortowa sytuacja dla Netanjahu (a tym bardziej Gallanta), bo nakaz będzie obowiązywał dopóty, dopóki nie zostanie wykonany, cofnięty lub wygaśnie z powodu śmierci ściganego. Tymczasem, przynajmniej teoretycznie, ogranicza on zasięg poruszania się izraelskiego premiera do 49 państw, bo tyle jednocześnie uznaje Izrael i nie jest członkami MTK. Na tej liście są m.in. Egipt i Turcja, ale tam raczej Netanjahu w najbliższym czasie się nie wybierze, bo nastroje w nich nie są mu przyjazne, więc różne rzeczy mogłyby się zdarzyć. Nie ma natomiast innego sąsiada – Jordanii, która jest członkiem MTK i już wezwała do respektowania nakazu (choć sama zignorowała ten wydany przeciwko al-Baszirowi).

USA zareagowały bardzo ostro, zapowiadając sankcje wobec państw, które okażą gotowość do wykonania nakazu aresztowania Netanjahu

Smaczku dodaje przy tym podstawa jurysdykcji. Izrael nie jest bowiem stroną, ale jest nią Palestyna, wobec której przyjmuje się, że ma zdolność podpisywania traktatów wielostronnych. Izrael jednak to kwestionuje, a większość państw zachodniej Europy, które znalazły się obecnie w kłopotliwej sytuacji, Palestyny nie uznają. Dotyczy to w szczególności Niemiec. Oczywiście trudno sobie wyobrazić Niemcy aresztujące izraelskiego premiera, ale jednocześnie kompromitacją byłoby, gdyby państwo mówiące tak często o praworządności i prawie międzynarodowym tak brutalnie zignorowało własne zobowiązania. Niemcy oficjalnie nie złożyły żadnej deklaracji w tej sprawie, choć część mediów zinterpretowała wymijające wypowiedzi przedstawicieli tamtejszego rządu za deklarację, że nie wykonają nakazu. Jednoznacznie wykluczyły zastosowanie się do nakazu jedynie Węgry, których premier Viktor Orbán jest od dawna w zażyłych relacjach z Netanjahu. Wiele państw natomiast wprawdzie ostro skrytykowało ten nakaz, ale nie zadeklarowało wprost, czy go wykonają. Dotyczy to m.in. Argentyny, Austrii i Czech. Z kolei deklarację zastosowania się do nakazu złożyły m.in. Wielka Brytania i Włochy. Wiele państw zachowało natomiast milczenie, np. Polska. Francja początkowo deklarowała gotowość wykonania, by później zmienić zdanie, gdy Izrael od tego właśnie uzależnił zgodę na porozumienie w sprawie zawieszenia broni w Libanie.

Natomiast USA zareagowały bardzo ostro, zapowiadając sankcje wobec państw, które okażą gotowość do wykonania nakazu, w tym wobec Wielkiej Brytanii, z której pochodzi prokurator Karim Khan. To on o ten nakaz wystąpił, więc to jeszcze mocniej komplikuje pole manewru Brytyjczyków. Propaganda rosyjska, a za nią świat islamski i Afryka już trąbią o zachodniej hipokryzji. Najlepszym rozwiązaniem byłoby zachować milczenie i dyplomatycznie izolować Netanjahu, ale od Niemiec Izrael żąda dalej idących kroków z wystąpieniem z MTK włącznie. A co zrobimy my, jeśli Amerykanie nakłonią nas do zrobienia nowej konferencji bliskowschodniej i zaproszenia na nią Netanjahu? Izraelski premier z całą pewnością będzie chciał zademonstrować, że MTK nic mu zrobić nie może, a na państwach członkowskich, zwłaszcza europejskich, może wymusić, by go nie izolowały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Największy łgarz czy największy...

Najzabawniejsze we wszystkich, niezliczonych łgarstwach Donalda Tuska jest to, jak wybornie potrafi on udawać, że oto właśnie w jakiejś sprawie „wreszcie się zorientował", o jakiejś sprawie „wreszcie się dowiedział".

Najpierw, czyli „zaledwie" kwartał po objęciu władzy, wiosną 2024 r., Tusk „zorientował się", że nie da rady zrealizować większości ze złożonych przez siebie „100 obietnic" – o czym przecież od chwili ich złożenia przezeń wiedział każdy, kto potrafi dodać dwa do dwóch – czyli niemal każdy Polak, bo już wtedy wiadomo było, że „na to wszystko" „piniendzy nie ma i nie będzie". Ale Tusk, jak się okazuje, dopiero wtedy – jako ostatni w Polsce? – „zorientował się", że złożył obietnice lipne i że z kieszeni podatników nie da się wydusić już kasy ani na kwotę wolną od podatku PIT w wysokości 60 tys. zł rocznie, ani na składkę dla przedsiębiorców obniżoną do poziomu sprzed tzw. Polskiego Ładu, ani na „kredyt na mieszkanie 0 proc.", ani właściwie prawie na nic. No i zdziwieniom Tuska i „wściekaniu się" Tuska nie było końca.

Z kolei kilka miesięcy później, jakoś latem 2024 r., Tusk nagle „połapał się", że jednak przez granicę z Białorusią próbują wdzierać się do Polski nie biedne matki z dziećmi, a prawdziwi nachodźcy, czemu dał wyraz, niespodziewanie oznajmiając: „Nieprzyjęcie wniosku od tych, którzy powołują się na prawo do azylu, w pewnych okolicznościach jest uzasadnione. Przecież wiemy, kto podstawia autobusy w Moskwie i w Mińsku, i kto organizuje loty z krajów bliskowschodnich. Nie możemy udawać sami przed sobą, że tego nie widzimy".

Potem kolejne pół roku i znowu – bach! Tusk – dumny miłośnik tzw. Zielonego Ładu, do imentu oddany sprawie walki „z emisją CO_2", nawet za cenę drożyzny energetycznej – ni stąd, ni zowąd ogłasza, że jednak „niektóre założenia dotyczące emisji CO_2 rozbrajają europejską gospodarkę"! I na domiar dodaje: „Chcemy mieć tanią energię, chcemy konkurować z resztą świata. Chcemy, żeby ludzie się czuli bezpiecznie także w Polsce, jeśli chodzi o ceny energii". W jakiej następnej sprawie „przejrzy na oczy"?

Tak, Tusk jest łgarzem doskonałym. I w dodatku powinien ten epitet traktować jak komplement, bo przecież gdyby chciał się przed nim bronić, obstając, że naprawdę „o tym wszystkim" (braku pieniędzy na realizację jego obietnic, nachodźcach z Białorusi czy fatalnym wpływie tzw. Zielonego Ładu na kieszenie Polaków) nie wiedział wcześniej, a dopiero teraz „się dowiedział", to musiałby pogodzić się z opinią, że jest w Polsce nie największym łgarzem, lecz – przepraszam za to określenie, ale trafniejsze nie przychodzi mi do głowy – największym… mato... Jak to o nim śpiewali kibole? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Na pomoc Ostatniemu Pokoleniu

Ostatnie Pokolenie, któremu konsekwencjami zagroził sam premier, zyskało niespodziewanego obrońcę. Zanim zdradzę to nazwisko, przypomnę: chuliganeria klimatystyczna jest w Polsce traktowana łagodniej niż w większości krajów, gdzie prowadzi swoje działania. Zadziwiające jest, że policja, która w przypadku kibolskich ustawek albo protestów rolników jest w stanie działać wyprzedzająco, tutaj wydaje się bezradna i zawsze przybywa po fakcie. A tym bardziej zadziwia, że sam premier musi zagrzewać służby, aby robiły po prostu to, co do nich należy.

Szarża Cieszyńskiego jest na kilku poziomach zadziwiająca

Do wypowiedzi Tuska odniósł się na X Sławomir Mentzen, wskazując, że miasto stołeczne Warszawa nadal sponsoruje lokal, z którego korzystają sekciarze z Ostatniego Pokolenia. I wówczas na białym koniu wjechał niespodziewany obrońca sekty – uwaga, uwaga – Janusz Cieszyński z PiS, były minister cyfryzacji. Napisał: „Logika Mentzena, według własnego opisu – »wolnościowca«. Premierowi nie pasuje działalność NGO-sa? To niech jego kumpel z partii wypowie im umowę na samorządowy lokal. Na plakatach wolność, a w głowie mental ubeka". Później Cieszyński dorzucił jeszcze, że właściwie Ostatnie Pokolenie jest w porządku, bo pomagało po powodzi.

Szarża Cieszyńskiego jest na kilku poziomach zadziwiająca. Po pierwsze – bo postanowił zignorować to, że miasto stołeczne wspiera organizację, która nie tylko łamie notorycznie prawo, lecz także zapowiada, iż będzie to robić dalej. I dlatego postulat Mentzena jest stuprocentowo słuszny. Po drugie – bo Janusz Cieszyński postanowił walnąć w Konfederację, której wyborców jego własny kandydat na prezydenta będzie bardzo potrzebować w drugiej turze. Po trzecie – bo to sam Cieszyński pokazywał „mental ubeka", gdy wspierał w czasie rządu PiS blokowanie niesłusznych portali, takich jak Najwyższy Czas! czy wRealu24.

Jeśli coś dla kandydata PiS będzie w tej kampanii obciążeniem, to nie raport o jego wątpliwych znajomościach – stworzony zresztą zapewne przez kogoś z wewnątrz partii – ale tacy „pomocnicy" jak Cieszyński. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

Nabici w ekologizm

Jakub Wozinski

Wielu Polaków w owczym pędzie „brania dotacji" skusiło się na pompy. Dziś cierpią, a politycy im współczują, choć to oni odpowiadają za Zielony Ład

Wraz z piętrzącymi się kosztami związanymi z wdrażaniem Zielonego Ładu media głównego nurtu szukają doraźnie kozłów ofiarnych, takich jak choćby pompy ciepła.

W ostatnim czasie wiodące portale należące do zagranicznego kapitału przystąpiły do frontalnej krytyki urządzeń, które jeszcze do niedawna były na ich łamach przedstawiane jako „przyszłość, która nadeszła" (Onet.pl, luty 2021 r.). W nagłówkach tekstów mowa jest m.in. o „rachunkach grozy", „nabitych w pompy ciepła" czy też osobach, które utraciły oszczędności całego życia.

OKRADZIONY MARSZAŁEK

Wedle relacji Onetu zaczepiony na wiecu przez zrujnowanego emeryta z Pleszewa marszałek Szymon Hołownia miał wyrazić współczucie i wyznać, że „kradną mu mniej" niż Wielkopolaninowi. U lidera Trzeciej Drogi można zasadnie podejrzewać rozszczepienie jaźni, ponieważ jako jeden z współtwórców rządzącej koalicji ma przecież od roku znaczący wpływ na politykę energetyczną i klimatyczną państwa, a mimo wszystko czuje się w wyniku jej implementacji przez kogoś okradany.

Tego rodzaju dwójmyślenie jest w ostatnim czasie silnie obecne także w głównym nurcie medialnym, który musi w jakiś sposób wytłumaczyć zwykłemu Kowalskiemu to, że zielony ekstremizm jest dobry i pożądany pomimo tego, iż sięga coraz głębiej do naszych kieszeni i rujnuje coraz większą liczbę domowych budżetów. A ponieważ polityka zrównoważonego rozwoju nie może być kwestionowana w swoich podstawowych założeniach, ciosy krytyki spadają na dobierane ad hoc czynniki.

SKRZYWDZONE POMPY

W przeciwieństwie do instalacji fotowoltaicznych czy też farm wiatrowych, których masowe zastosowanie nie znajduje uzasadnienia ekonomicznego, pompy ciepła pozwalają przy odpowiednim użyciu wygenerować znaczne oszczędności. Największą krzywdę wyrządzili im jednak planiści Zielonego Ładu, którzy uczynili je jednym z ważniejszych elementów systemu dotacji oraz harmonogramu stopniowego osiągania zeroemisyjności. Komisja Europejska już kilka lat temu założyła, że do 2030 r. w całej wspólnocie ma być zamontowanych aż 60 mln pomp ciepła, i zgodnie z tym przystąpiła do wypłacania dotacji na zakup urządzeń wszystkim zainteresowanym.

Początkowo mogło się nawet wydawać, że cel ten zostanie osiągnięty. W latach 2017–2022 sprzedaż pomp w Europie wzrosła aż dwuipółkrotnie, a w samych Niemczech sprzedawało się ponad 250 tys. sztuk rocznie. Polska była jednym z krajów, w których rynek tych urządzeń rósł najszybciej i pomiędzy rokiem 2021 a 2022 wręcz podwoił swoją wartość. Pierwsze symptomy pogorszenia sytuacji dało się zauważyć już przed dwoma laty, lecz już w 2023 r. sprzedaż wyraźnie zahamowała. Obecnie nie mówi się już nawet o zastoju, ale wręcz o regresie w branży. W 2024 r. w całej Europie sprzedaż spadła o nawet 50 proc. i powróciła do poziomu sprzed pięciu lat. Niemiecki producent pomp ciepła Stiebel Eltron ogłosił niedawno, że zwolni aż tysiąc osób ze swojej sześciotysięcznej załogi, ponieważ wyniki sprzedaży są rozczarowujące.

W Niemczech najbardziej ambitny plan przyjęty przez rządzącą koalicję (w skład której weszli Zieloni) zakładał nawet instalację 500 tys. pomp ciepła rocznie, ale w pierwszej połowie 2024 r. sprzedano ich tylko 90 tys. Jeszcze większe fiasko odnotowano w Wielkiej Brytanii, której oficjalny cel zainstalowania 19 mln pomp wydaje się mało realny wobec tego, że na każdą sprzedaną pompę przypada wciąż 29 sprzedanych kotłów gazowych.

„TAJEMNICZY" WZROST CEN

Według Europejskiego Stowarzyszenia Pomp Ciepła przy obecnych wynikach sprzedaży do 2030 r. w Unii uda się zainstalować nie 60 mln, lecz tylko 45 mln

eprasa.pl acb5eb45c8

FOT. ADOBE STOCK

urządzeń. Z tego właśnie powodu lobby producentów usilnie zabiega o podtrzymanie czy wręcz zwiększenie poziomu dopłat. Jednocześnie zwraca się uwagę na to, że główną przyczyną wyraźnego załamania na rynku pomp ciepła są horrendalnie wysokie koszty energii elektrycznej. Poziom sprzedaży urządzeń udało się w zasadzie utrzymać tylko w Skandynawii, we Francji czy w Holandii, które mają jedne z najniższych cen prądu na kontynencie. Na drugim biegunie znalazły się za to takie kraje jak Polska, Niemcy, Czechy czy Węgry, w których ceny energii wzrosły w ostatnim czasie skokowo.

Opisywane w mediach „rachunki grozy" i przykłady „nabicia w pompy ciepła" jako główną przyczynę mają więc dywersyjny w swoich skutkach ekologizm. Obciążony systemem EU ETS i przymusowym odejściem od paliw kopalnych polski system energetyczny narzuca Polakom najdroższą energię na świecie, co siłą rzeczy obarcza znacznymi kosztami także użytkowników pomp ciepła. Prąd jest w nich wykorzystywany do zasilania zarówno sprężarki, jak i grzałki elektrycznej, co przy budynku posiadającym niedostateczną termoizolację może generować naprawdę znaczne koszty.

Obecnie nie mówi się już nawet o zastoju, ale wręcz o regresie w branży pomp ciepła

Zalanie rynku pomp ciepła milionami unijnych i krajowych dotacji spowodowało niestety, że w ciągu ostatnich lat w Polsce – tak jak w wielu innych krajach – pojawiło się bardzo wiele podmiotów naciągających klientów na montaż pomp ciepła. Oferując niewłaściwie dobrane i gorszej jakości urządzenia oraz nie dokonując wystarczająco fachowych pomiarów i kalkulacji, wpędziły one wiele osób w znaczne koszty. Zadziałała także sama „magia" dotacji skłaniająca wiele osób do skorzystania z nadarzającej się okazji pomimo braku odpowiednich warunków do montażu instalacji.

W ramach owczego pędu bardzo dużo osób zdecydowało się wreszcie na montaż pompy ciepła razem z instalacją fotowoltaiczną. Pierwotnie zakładano, że własna produkcja energii z paneli pozwoli znacząco obniżyć koszty pracy pomp ciepła. Korzystne jeszcze kilka lat temu warunki zakupu prądu przez elektrownie już jednak dawno odeszły w cień i dziś państwowe podmioty płacą o wiele mniej, niż później same każą sobie płacić za dostarczany prąd. Ceny zakupu energii elektrycznej od prosumentów były wcześniej celowo ustawione na wyższym poziomie, aby zachęcić do instalacji fotowoltaiki możliwie jak największą liczbę osób. Gdy jednak pojawiło się ich bardzo wielu, konieczne było urynkowienie stawki, co przyniosło ze sobą drastyczne niekiedy efekty.

Znaczna liczba osób zakładała, że korzystny sposób rozliczania wytworzonego prądu będzie utrzymany jeszcze przez długie lata. Nawet sam marszałek Hołownia przyznał się do tego, że zdecydował się na pakiet fotowoltaika plus pompa ciepła. Odgrywające rolę naganiaczy wiodące media rzadko kiedy (jeśli w ogóle) wspominały o tym, że w dłuższej perspektywie sytuacja może ulec znacznej komplikacji. Ostatnie miesiące pokazują, że spełniają się najmniej korzystne scenariusze, które w cudownej krainie zeroemisyjności teoretycznie nie miały prawa się wydarzyć.

EUROPA LIDEREM

Dość znamienne pozostaje to, że pompy ciepła upowszechniły się najbardziej w Europie. Stary Kontynent pozostaje w tyle za Stanami Zjednoczonymi czy Chinami pod względem liczby nowych patentów, kapitalizacji największych spółek czy też wzrostu produktywności, ale w zakresie upowszechnienia urządzeń przenoszących ciepło z obszaru o niższej temperaturze do obszaru o wyższej temperaturze bije je na głowę. Przyczyną takiego stanu rzeczy nie jest

eprasa.pl acb5eb45c8

jednak oczywiście technologiczna czy gospodarcza wyższość nad konkurencją, lecz najbardziej żarliwe podejście do kwestii ekologizmu.

Stany Zjednoczone poszły w ślady Unii Europejskiej dopiero w sierpniu 2022 r., gdy w ramach ustawy IRA wprowadzono dopłaty do instalacji pomp dla gospodarstw domowych w wysokości nawet 14 tys. dol. W ten sposób udało im się nieco polepszyć statystyki. Donald Trump, który określił flagową ustawę Bidena mianem „nowego zielonego oszustwa", najprawdopodobniej jednak ukróci lub zlikwiduje wszelkie subsydia. Tym samym Amerykanie zostaną zapewne zachowani przed sztucznie wywołanym boomem, którego głównym autorem są zieloni lobbyści. Zgodnie z zapowiedziami powracającego po czterech latach do władzy Trumpa Stany Zjednoczone mają wydobywać jeszcze więcej ropy naftowej i gazu niż kiedykolwiek wcześniej i czerpać pełnymi garściami z taniej energii pozyskiwanej z paliw kopalnych. Dzięki temu pompy ciepła będą mogły upowszechnić się bardziej niż za sprawą jakichkolwiek dotacji.

Diametralnie odmienna sytuacja będzie niestety miała zapewne miejsce w Unii Europejskiej, gdzie zwolennicy „nowego zielonego oszustwa" trzymają się wciąż mocno w strukturach władzy, a ich karygodne błędy i zaniedbania znajdują przełożenie na coraz wyższe ceny energii. Kolejne podwyżki od 1 stycznia 2025 r. są już przesądzone, co przyczyni się do pogłębienia problemów wielu osób, które pochopnie zdecydowały się na zmianę metody ogrzewania swoich nieruchomości.

DOTACYJNE EKSCESY

Wielu dramatów, które mają obecnie miejsce w całej Polsce, z całą pewnością dałoby się uniknąć, gdyby kwestię upowszechnienia pomp ciepła pozostawiono zwykłym procesom rynkowym. Instalacja tego typu urządzeń wiąże się z niemałymi wydatkami (co najmniej 30 tys. zł), które same w sobie wymuszają w normalnej sytuacji staranny namysł nad wszystkimi szczegółami inwestycji. W sytuacji, gdy znaczną część kosztów (nawet dwie trzecie całej sumy) w ramach dotacji zapewnia państwo, odpowiedni namysł nie jest już tak bardzo priorytetowy.

Najbardziej negatywnym zjawiskiem związanym z systemem dopłat jest jednak to, że sprzyjają one pojawieniu się licznych naciągaczy. Sztucznie wpompowane na rynek środki zachęcają do przyjmowania możliwie jak największej liczby zleceń, które często nie są realizowane z należytą dbałością. Nierzadko instalatorzy pomp celowo namawiają do montażu gorszej jakości pomp, które działają dużo mniej ekonomicznie, aby tylko zdobyć kolejne zlecenie lub zwiększyć swoją marżę. Osobną kwestię stanowi wystawianie naciąganych charakterystyk energetycznych budynków. Od 2023 r. wprowadzono nowy limit wskaźnika EP (współczynnika energii pierwotnej budynku), choć wiele wskazuje na to, że i tak nie zapobiegło to nadużyciom.

Zieloni planiści próbowali oszukać przeznaczenie, ale sztuczne dotowanie jakiegokolwiek obszaru gospodarki nie może nie przynieść skutków ubocznych

Zieloni planiści próbowali oszukać przeznaczenie, ale sztuczne dotowanie jakiegokolwiek obszaru gospodarki zwyczajnie nie może nie przynieść za sobą określonych skutków ubocznych. Tak jak kredyt 0 proc. sprzyja najbardziej deweloperom i bankom, tak system dofinansowania zakupu pomp stwarza okazję do świetnego zarobku dla producentów, urzędników i instalatorów, ale niekoniecznie poprawia sytuację konsumentów.

W POSZUKIWANIU KOZŁÓW OFIARNYCH

Poszukiwanie kozłów ofiarnych zielonej transformacji tak naprawdę dopiero się rozkręca, ponieważ z każdym rokiem Polska wkracza na coraz bardziej zaawansowany etap budowy nowej utopii. Rachunki grozy będą niestety pojawiały się coraz częściej, nawet jeśli rządzący będą próbowali doraźnie łatać system kolejnymi bonami energetycznymi i dopłatami. Politycy próbujący zaradzić kolejnym kryzysowym sytuacjom nie zdołają nigdy w pełni opanować sytuacji, ponieważ cała zielona polityka to sztandarowy przykład interwencjonizmu, który prowadząc do kolejnych anomalii, wymusza przeprowadzenie kolejnych interwencji. Może minąć niestety jeszcze bardzo wiele czasu, zanim do decydentów dotrze, że Zielony Ład to ustrój, który bohatersko walczy z problemami nieznanymi w żadnym innym ustroju.

Przykład pomp ciepła pokazuje, jak użyteczna technologia została zaprzęgnięta w ideologiczną machinę ekologizmu, aby przy najbliższej nadarzającej się okazji może zostać oskarżona o winę za wysokie rachunki. Kandydatów do miana winnych wszelkich niepowodzeń pojawiło się w ostatnim czasie znacznie więcej. Jednym z nich okazały się choćby liczniki, które rzekomo umożliwiają dostawcom niewłaściwe sczytywanie danych i zawyżanie rachunków. Oprócz podstępnych liczników w korporacyjnych mediach wspomina się również o rzekomo niedostatecznie szybkim przechodzeniu na odnawialne źródła energii. Nie wspomina się przy tym wcale, że pomimo osiągniętego we wrześniu rekordowego udziału OZE w miksie energetycznym (36,8 proc.) już w listopadzie, gdy nastała bezwietrzna i pochmurna aura, Polska musiała awaryjnie kupować energię z ogarniętej wojną Ukrainy.

Brutalna prawda jest niestety taka, że to nie wybrani obywatele padli ofiarą nieuczciwych praktyk, lecz jako całe społeczeństwo zostaliśmy nabrani na pseudoekologiczną politykę. Łudząc Polaków wizją przyspieszenia technologicznego przełomu, zaradzenia rzekomemu kataklizmowi klimatycznemu oraz przyczynienia się do gospodarczego wzrostu, zieloni lobbyści wpędzili nas w lawinowo wzrastające koszty, które stają się coraz większą kulą u nogi przedsiębiorstw i gospodarstw domowych. Wypada tylko mieć nadzieję, że marszałek Hołownia zdoła w porę ustalić, kto okrada go na pompach ciepła i fotowoltaice, ponieważ sprawa ta nabrała co najmniej wagi państwowej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

MITSUBISHI ASX

FOT. JAP

Najnowsza odmiana „japończyka" z francuskim rodowodem zyskała ładniejszy grill i nieco bardziej drapieżny przód od swego kuzyna, czyli modelu Renault Captur. Pozostałe zmiany były już symboliczne. Sylwetka auta prezentuje się jednak dość dynamicznie i może się podobać.

Pod maską testowanego crossovera Mitsubishi znajdował się najmocniejszy silnik benzynowy 1.3 (miękka hybryda) o mocy 158 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 270 Nm. Za zmianę biegów odpowiada w tym wariancie siedmiobiegowa automatyczna przekładnia z podwójnym sprzęgłem (DCT).

Tak skonfigurowany ASX potrafi sprawnie przyspieszać. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje mu 8,5 s. Ta odmiana crossovera Mitsubishi jest więc najbardziej wszechstronna – nadaje się bowiem zarówno do miasta, jak i na dalekie wypady autostradami. W trybie Eco lub Comfort reakcja skrzyni na wciśnięcie pedału gazu jest może nieco ospała, ale generalnie autem da się podróżować dość dynamicznie. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h, co jest wartością zupełnie wystarczającą (zwłaszcza że już przy prędkości 140 km/h w kabinie robi się nieco zbyt głośno). Odświeżony ASX nie ma zbyt dużego apetytu na paliwo. Na drogach krajowych spalanie oscyluje w okolicach 5,5 l/100 km. W mieście ok. 7 l/100 km, a na autostradzie ok. 7,5 l/100 km.

We wnętrzu jest sporo miejsca, dzięki czemu czworo dorosłych bez problemu może wyjechać w daleką podróż. Piąty pasażer też się oczywiście zmieści, ale na wąskiej tylnej kanapie w dłuższej trasie nie będzie mu raczej zbyt wygodnie. Pionowy tablet wygląda atrakcyjnie. Dobrze też, że Mitsubishi umieściło pod tabletem wygodne fizyczne przyciski do sterowania m.in. klimatyzacją. System multimedialny bez problemu łączy się też z Android Auto i Apple CarPlay. Za kierownicą umieszczono cyfrowe zegary, które choć czytelne, to w roku modelowym 2025 mogłyby już wyglądać nowocześniej. Dużo lepsza mogłaby być też jakość obrazu z kamery cofania.

Pochwalić muszę za to możliwość przesuwania tylnej kanapy (w zakresie 16 cm). W zależności od potrzeb można więc zwiększyć ilość miejsca na nogi dla wyrośniętych pasażerów lub – jeśli z tyłu nie jedzie nikt specjalnie wysoki – w prosty sposób powiększyć kufer (którego pojemność waha się od 422 do 536 l, a po złożeniu tylnej kanapy wynosi 1275 l).

Mitsubishi ASX, choć podobny do Renault Captura, jest od niego droższy. Najtańsza wersja tego modelu na rok 2025 z silnikiem 1.0 o mocy 91 KM i sześciobiegową manualną skrzynią biegów kosztuje 95 990 zł. Wariant z silnikiem 1.0 o mocy 100 KM i instalacją LPG został wyceniony na 99 990 zł. Wersja z silnikiem 1.3 o mocy 140 KM i sześciobiegową skrzynią manualną to wydatek 106 990 zł. Najmocniejszy wariant z silnikiem 1.3 (158 KM) i automatyczną skrzynią został zaś wyceniony na co najmniej 116 990 zł (wersja wyposażenia Invite). Wersja Intense kosztuje 125 990 zł, a najdroższa opcja (Instyle) 139 990 zł. ©℗

BEZPRZEWODOWA KAMERA IP OMAJIN

Szeroki kąt widzenia, wytrzymała bateria, odporność na pył i wodę (IP 65), prosta obsługa oraz skuteczny system wykrywania ludzkiej sylwetki – to największe zalety kamery OWC-01-EU do domowego systemu monitoringu marki Omajin (czyli tańszego odpowiednika znanej francuskiej marki Netatmo).

Kompaktowa kamerka (wymiary to 94 x 58 x 58 mm, a waga 302 g) z plastikową obudową w białym kolorze może być zamontowana zarówno wewnątrz domu czy mieszkania, jak i w ogrodzie. Obudowa jest odporna na pył i wodę (z certyfikatem IP65), co powinno pozwolić przetrwać francuskiej kamerze również mroźne i śnieżne polskie zimy. Testowana kamera Omajin ma szeroki kąt widzenia (140 st.). Banalnie proste w konfiguracji urządzenie można przykręcić do ściany/elewacji etc. lub zawiesić na metalowym elemencie (jest wyposażone w uchwyt magnetyczny). Kamera nagrywa w rozdzielczości 2592 x 1944. Filmiki są przyzwoitej jakości i można na nich dostrzec wiele szczegółów. Możliwe jest automatyczne lub ręczne przełączanie z trybu dziennego na nocny. Zasięg detekcji ruchu wynosi 10 m. Sprawnie działający system wykrywania ludzi sprawia, że kamera nie alarmuje użytkownika za każdym razem, gdy przed obiektywem przebiegnie kot lub pies. Nagrania zapisywane są na kartę pamięci microSD (w zestawie znajduje się karta o pojemności 64 GB), a transmisje między kamerą a smartfonem są szyfrowane przez użyciu algorytmu AES-256.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na pochwałę zasługuje również bateria o pojemności 9600 mAh, która pozwala nawet na kilka miesięcy pracy na jednym ładowaniu. Urządzenie sprawnie łączy się z wi-fi (2,4 Ghz) i może współpracować z asystentami głosowymi Alexa i Google Assistant.

Kamerka wyposażona jest w funkcję dwukierunkowej komunikacji, dzięki której można prowadzić rozmowę z dziećmi, czworonożnymi pupilami lub próbować przestraszyć dostrzeżonego włamywacza. Jakość dźwięku jest jednak przeciętna. Przydałaby się też wbudowana syrena, która mogłaby pomóc w skutecznym wypędzeniu intruza.

Inne wady? Największy minus to bardzo słaba aplikacja Omajin. Wiele funkcji jest źle przetłumaczonych na polski, a w samej aplikacji panuje dziwny bałagan. Szkoda też, że przy powiadomieniu o wykryciu intruza na ekranie nie ma wyraźnie zaznaczonego miejsca, gdzie potencjalny włamywacz został zauważony. Cena: 499 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl acb5eb45c8

„Doping" wisi w powietrzu

FOT. AFP7/EUROPA PRESS/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Łukasz Majchrzyk

Wpadka dopingowa Igi Świątek pokazuje, że dziś w sporcie każdy musi uważać. I to o każdej porze dnia i nocy. System kontroli działa coraz lepiej i cały czas staje przed nowymi wyzwaniami

Być może jeszcze 10 lat temu tej sprawy w ogóle by nie było. Z jednej prostej przyczyny. Tak śladowej ilości trimetazydyny, jaką wykryto w organizmie Igi Świątek, nie udałoby się wykryć i Polka grałaby w kolejnych turniejach nawet nieświadoma tego, że w jej organizmie znalazła się zabroniona substancja.

System kontroli dopingu cały czas się jednak rozwija, powstają nowe metody i sposoby badania. Jest tak oczywiście dlatego, że trzeba nadążyć za pomysłowością tych, którzy nie chcą się stosować do reguł i wybierają drogę na skróty. Nie trzeba mieć w organizmie całej tablicy Mendelejewa, żeby zaliczyć wpadkę. Dziś można wykryć nawet najmniejsze ilości zabronionej substancji, która dostała się do organizmu sportowca wbrew jego woli, tak jak było w przypadku najlepszej polskiej tenisistki.

– Przypadki dopingu nieświadomego są znane od lat i sam od kilkunastu lat naukowo się tym zajmuję. To jest mój główny temat badawczy. Idze Świątek przydarzyło się to, co jeszcze kilka lat temu, kiedy leki uznawaliśmy za bezpieczne, wydawało się niemożliwe. Specjaliści zawsze powtarzali sportowcom, że jeśli ma wybierać między lekiem a suplementem diety, to niech zastosuje lek, bo ma pewność co do składu. W ostatnich latach metody analityczne stały się tak czułe, że dzisiaj możemy zidentyfikować w próbkach biologicznych nawet śladowe ilości zabronionych substancji. Za rozwojem metod analitycznych nie poszła nowelizacja reguł antydopingowych. Dzisiaj jest tak, że ktoś, kto nieświadomie złamie reguły, jest tak samo traktowany jak dopingowy przestępca – mówi „Do Rzeczy"

eprasa.pl acb5eb45c8

dr Andrzej Pokrywka z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, konsultant naukowy Polskiej Agencji Antydopingowej (POLADA) oraz ekspert do spraw antydopingu w Centralnym Ośrodku Medycyny Sportowej.

Okazuje się, że trzeba uważać na każdym kroku, bo lista zabronionych substancji jest długa i cały czas się zmienia. Jedne pozycje z niej wypadają, inne są wpisywane. A to jest tylko część problemu, nad którą najłatwiej byłoby sportowcowi zapanować. Jeśli ktoś chce być uczciwy, to przecież wystarczyłoby mu kupować leki i odżywki z legalnego źródła, żeby uniknąć problemów. Okazuje się, że nawet takie środki ostrożności to za mało i może się zdarzyć tak, że na etapie produkcji lek zostanie zanieczyszczony. Ilości są bardzo niewielkie, właściwie nie dają żadnego efektu medycznego, ale system już je wykryje. A skoro tak, to sprawie trzeba nadać bieg.

W SUPLEMENCIE I PRZEZ SKÓRĘ

Świątek, która podróżuje na turnieje we wszystkie zakątki świata i często zmienia strefy czasowe, wzięła lek, który pomagał jej radzić sobie z jet lagiem. To przypadek trochę podobny do tego, który spotkał lidera światowego rankingu mężczyzn Jannika Sinnera. Tutaj miał zawinić fizjoterapeuta, który miał na dłoniach lek zawierający zakazany klostebol i masując włoskiego tenisistę, wtarł mu w ciało zakazaną substancję.

Nieświadomie doping przyjął też polski tenisista Kamil Majchrzak, ale w jego przypadku chyba zawiodła ostrożność. Polak przyjął suplement diety niewiadomego pochodzenia, kupiony w Internecie. U polskiego tenisisty wykryto w jednej próbce substancję SARM S-22 i metabolit LGD-4033, a w dwóch próbkach substancję SARM S-22 i metabolit PPAR (delta). Nazwy brzmią bardzo poważnie, a Majchrzakowi po tej wpadce groziła długa dyskwalifikacja. Ostatecznie, po długiej batalii i udowodnieniu, że środki zażył nieświadomie, został zawieszony na 13 miesięcy. Jedna z substancji, która dostała się do organizmu Polaka, powoduje przyrost masy mięśniowej, druga przyspiesza metabolizm. Skąd takie substancje wzięły się w suplementach diety?

Jeśli zdarzy się wpadka, to trzeba się mocno natrudzić, żeby dowieść swojej niewinności

– Te substancje należą do grupy anabolików oraz modulatorów hormonów i metabolizmu. Nie zostały jeszcze dopuszczone jako produkty medyczne, bo ciągle trwają badania, czy można z nich produkować leki, lub też zrezygnowano z takich badań ze względu na odnotowane działania niepożądane. Z reguły oferowane są jako suplementy diety, a czasem podpisane jako środki do badań naukowych czy jako odczynniki chemiczne – wyjaśnia dr Andrzej Pokrywka.

Majchrzak swoją substancję przyjął w suplemencie, co czasem się zdarza, zwłaszcza jeśli produkt nie pochodzi od zaufanego producenta. Trzeba jednak uważać także na to, co się je, bo to też może wpędzić w poważne kłopoty.

– W niektórych regionach świata zwierzęta bywają tuczone środkami anabolicznymi. W Azji czy Afryce takie mięso można kupić nawet z legalnego uboju, bo w tych krajach dopuszczone jest stosowanie w hodowli promotorów wzrostu. Przyczyną kłopotów mogą być też jajka pochodzące z ferm kurzych, gdzie podaje się np. klomifen. W Ameryce Południowej trzeba uważać na to, co się pije. W Boliwii czy Peru popularne są herbatki z liści koki. W większości krajów świata problemem dla sportowców mogą być produkty spożywcze na bazie konopi czy maku. Ostrzegamy sportowców, którzy podróżują, że wszyscy powinni się żywić w jednym miejscu w przypadku wyjazdów zespołowych, a w przypadku indywidualnych należy zachować szczególną ostrożność przy wyborze miejsca posiłku – wskazuje dr Andrzej Pokrywka.

DOMNIEMANIE WINY

Jeśli zdarzy się wpadka, to trzeba się mocno natrudzić, żeby dowieść swojej niewinności. W przypadku kontroli dopingu nie obowiązuje zasada znana z prawa karnego, że każdego uważa się za niewinnego dopóty, dopóki wina nie zostanie udowodniona. Tutaj jest odwrotnie. Pozytywny wynik badań antydopingowych oznacza domniemanie winy, i to po stronie zawodnika jest obowiązek przedstawienia dowodów na to, że substancję przyjął nieświadomie (raczej nie zdarza się, by kontrolerzy czy analitycy popełnili błąd, więc jedynym sposobem na oczyszczenie się jest udowodnienie, że np. wina leży po stronie producenta leku, suplementu czy innego środka spożywczego).

REKLAMA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

eprasa.pl acb5eb45c8

Taką walkę stoczył Majchrzak. Tak samo walczyła Simona Halep, u której pozytywne wyniki badań wyszły po turnieju US Open w 2022 r. Rumuńska tenisistka walczyła o powrót na kort ok. półtora roku. Pozwolił jej na to dopiero Trybunał w Lozannie, do którego odwołała się w marcu 2024 r. Natrudzić musiała się też Iga Świątek, choć w jej przypadku (testy wykonano po turnieju olimpijskim w Paryżu) źródło zanieczyszczenia udało się namierzyć dość szybko.

Świątek pomogło to, że system jest bardzo restrykcyjny, a Polka jako jedna z najlepszych na świecie jest badana bardzo często. Czas, w którym do organizmu polskiej tenisistki mógł się dostać podejrzany środek, zawężono do 10 dni i dzięki temu szybciej namierzono feralny lek. Gdyby Świątek była testowana rzadziej, sprawa byłaby o wiele trudniejsza do wyjaśnienia i mogłaby się skończyć dużo surowszą karą, dłuższą dyskwalifikacją.

Na szczęście gdzieś pewnie zostało opakowanie z lekiem, który zażywała Polka, i można było sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Z kolei polską kanadyjkarkę Dorotę Borowską uratowała sierść psa – okazało się, że klostebol był w leku, którego użyła do leczenia jego poranionych łap.

Najbezpieczniej byłoby przechowywać przez określony czas próbki wszystkiego, co trafia do organizmu sportowca, ale wtedy moglibyśmy dojść do absurdu. Nie każdego byłoby na to stać, pojawiłyby się problemy logistyczne. Poza tym sam system ADAMS, w którym sportowcy muszą raportować miejsca swojego pobytu, żeby kontrolerzy mogli do nich zapukać o godz. 6 z niezapowiedzianą wizytą, jest już sam w sobie bardzo uciążliwy. Za naruszenie tego obowiązku kara spotkała polską łyżwiarkę szybką Natalię Maliszewską. Kontrola dała wynik negatywny, ale zawodniczka startująca w konkurencji short tracku pojawiła się w zadeklarowanym przez siebie miejscu za późno.

Niedogodności, z których „cywile" spoza świata sportu nawet nie zdają sobie sprawy, jest więcej. Pobranie próbki moczu odbywa się w obecności kontrolera tej samej płci, który nawet na moment nie może spuścić sportowca z oczu, więc samo w sobie jest to dość krępujące. Mogą mieć z tym problemy zwłaszcza sportowcy, którzy doświadczają tego typu kontroli po raz pierwszy.

Taka procedura jest niestety konieczna, bo zdarzały się przypadki, w których sportowcy próbowali podmienić mocz na „czysty". Niektórzy zachowywali na wszelki wypadek własny mocz z czasów, gdy nie stosowali zabronionych środków, ale zdarzały się przypadki, że mężczyźni próbowali podać mocz swoich partnerek. Jeśli oszustwo zostanie wykryte, to sportowcowi grożą co najmniej cztery lata dyskwalifikacji. O Rosjanach, którzy angażowali służby państwowe do podmieniania fiolek w laboratorium podczas igrzysk olimpijskich w Soczi, nawet nie ma co wspominać.

Może więc warto nałożyć na sportowców, zwłaszcza tych z samego szczytu, obowiązek przechowywania leków, które zażywali, i próbek jedzenia. Jeśli chcesz być poza podejrzeniami (a na sporcie dobrze zarabiasz), to musisz się dodatkowo poświęcić. Na problemy z tym związane zwraca jednak uwagę dr Andrzej Pokrywka.

– Do tej pory nie było zaleceń w rodzaju „zachowaj próbkę" w stosunku do leku. Wyobraźmy sobie, że zawodnik stosuje preparat, którym obrót jest mocno regulowany, a lek jest dostępny na receptę. Jak w takiej sytuacji go zabezpieczyć? Kto miałby go trzymać do badań, zwłaszcza że sam specyfik może być potrzebny innym pacjentom? – mówi konsultant naukowy POLADA.

W porównaniu z Majchrzakiem Polka i Włoch zostali potraktowani stosunkowo łagodnie. Świątek zawieszono na miesiąc, który biegnie i tak w trakcie „martwego" sezonu. Sinner gra cały czas, ale od orzeczenia w jego sprawie odwołała się Światowa Agencja Antydopingowa (WADA). Sprawa jest w Międzynarodowym Trybunale do spraw Sportu w Lozannie (CAS), a w opinii WADA zasadna byłaby dyskwalifikacja w wymiarze od roku do dwóch lat.

Majchrzak nie chce komentować sprawy swojej koleżanki, choć w przypadku Sinnera napisał m.in.: „Nie zagłębiam się w szczegóły dla własnego zdrowia i komfortu psychicznego, jednak fakt, że ja przez większość czasu trwania mojej sprawy nawet nie mogłem postawić nogi na nieprywatnym korcie... a wychodzi na to, że inni mogą normalnie grać i spełniać marzenia w tej samej sytuacji, nie daje mi spokoju".

Ostro o badaniach antydopingowych, choć bez podawania nazwisk, napisała za to w mediach społecznościowych Simona Halep. Rumunka swój wpis zamieściła kilka dni po wybuchu afery Świątek, więc trudno uciec od skojarzeń, że komentuje właśnie ten przypadek: „Siedzę i próbuję to pojąć, ale naprawdę nie da się zrozumieć czegoś takiego. Stoję i pytam siebie: Dlaczego jest tak duża różnica w traktowaniu i ocenie? Nie mogę znaleźć powodu i chyba nie ma logicznej odpowiedzi. To może być tylko zła wola ITIA, organizacji, która mimo jasnych dowodów zrobiła absolutnie wszystko, żeby mnie zniszczyć".

Słowa Rumunki są bardzo mocne i można się zastanawiać, czy nie idzie w oskarżeniach za daleko, przypisując władzom tenisowym złą wolę. Prawdą jest jednak, że kilkanaście miesięcy przerwy w startach dla zawodowego sportowca to wieczność. Same treningi nie wystarczą, bo bez codziennej rywalizacji z najlepszymi nie da się zbudować najwyższej formy, a do tego dochodzi jeszcze nieznośna niepewność co do tego, jak potoczy się sprawa. Zastanawianie się, czy stek, który właśnie kroimy, jest nie tylko smaczny, lecz także „bezpieczny", to też są koszty, które trzeba ponieść, żeby wdrapać się z mozołem na szczyt i potem na nim utrzymać.

Polską kanadyjkarkę Dorotę Borowską uratowała sierść psa – okazało się, że klostebol był w leku, którego użyła do leczenia jego poranionych łap. Najbezpieczniej byłoby przechowywać przez określony czas próbki wszystkiego, co trafia do organizmu sportowca, ale wtedy moglibyśmy dojść do absurdu

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acb5eb45c8

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Płonące wody z Iwonicza

Iwonicz w Beskidach to jedno z najstarszych uzdrowisk z Polsce. Pierwsza wzmianka o tutejszych wodach mineralnych pochodzi z 1413 r., natomiast z 1445 r. znamy jego pierwszych właścicieli – Morawę, Banesza i Boczkę, piszących się „z Iwonicza". Późniejszymi posesorami byli: Marcin Iwaniecki, a w XVI w. ród Sienieńskich, z których najsławniejszy był Zbigniew, kasztelan sanocki, właściciel Rymanowa, Klimkówki i wielu innych posiadłości. Zwolennik reformacji, wyklęty przez biskupa przemyskiego Jana Dziaduskiego za odbieranie katolikom kościołów. W XVII w. właścicielami były rody Bobolów i Witowskich, potem zaś Stadniccy, Ossolińscy i wreszcie Potocki. W 1793 r. Iwonicz kupił Michał Ostaszewski, a po sześciu latach odsprzedał go Teofilowi Załuskiemu. Ród ten położył ogromne zasługi dla tego miejsca, za jego czasów, w XIX w., powstało uzdrowisko znane dziś jako Iwonicz-Zdrój, z unikalną zabudową. Załuscy wybudowali także w latach 1882–1883 istniejący do dziś pałac i stworzyli otaczający go park.

RYS. MART

Iwonicz jako uzdrowisko wymieniony był pierwszy raz w 1578 r. w dziele „Cieplice" przez Wojciecha Oczkę, nadwornego lekarza króla Stefana Batorego. Już wówczas odwiedzali go ludzie cierpiący na różne dolegliwości. W 1633 r. przebywał tutaj na kąpielach biskup przemyski Henryk Firlej, a trzy lata wcześniej walory miejscowych wód mineralnych opisywał medyk Jan Sechkini.

Pomimo że w XVII w. Iwonicz był wielokrotnie palony i rabowany

FOT. DOMENA PUBLICZNA

– w 1624 r. przez Tatarów Kantymira, w 1657 r. przez Węgrów księcia Jerzego II Rakoczego, a potem, jeszcze na początku XVIII w., zrujnowany przez przemarsze wojsk – cały czas rozwijał się jako uzdrowisko. W 1722 r. w „Visitatio Szembekiana" zachowała się dokładna charakterystyka jego zdrojów: „W granicach parafii iwonickiej znajdują się źródła mineralne lecznicze, bardzo skuteczne, których woda jest podobna do deszczówki wystałej, ma zapach spalonego bursztynu zmieszanego z naftą i dlatego zapalona prochem strzelniczym lub papierem łatwo się zajmuje tak, że chcąc płomień ugasić, potrzeba wiele pracy i długo uderzać gałęzią jodłową. Ta woda ma wielką siłę lecznicą i jest bardzo pomocną, wzmacnia żołądek i wraca apetyt. Z tego powodu gromadzi się u tych źródeł bardzo wielkie mnóstwo ludzi prawie z całej Polski i innych krajów, a najwięcej z Węgier".

Pierwszy drewniany kościół w Iwoniczu został wyświęcony w 1464 r. przez bp. Mikołaja Błażejowskiego. W kolejnym wieku miejscowością wstrząsnęły konflikty religijne. Otóż jeden z Sienieńskich, prawdopodobnie wnuk wspomnianego Zbigniewa – także tego imienia, ale kasztelan lubelski, zwolennik arianizmu – osadził we wsi swego ministra, zabierając grunty należące do parafii i dając je swemu kaznodziei. Mieszkańcy jednak, przywiązani do katolicyzmu, nie chcieli przyjąć wiary dziedzica i sami utrzymywali księdza. Znacznie później złożyli się na okup dla właściciela, aby odstąpił od swego zamiaru.

Z historią tą związany jest unikalny zabytek znajdujący się niedaleko dworu Załuskich, w rogu dawnych fortyfikacji ziemnych otaczających niegdyś dwór, a teraz stanowiących część parku pałacowego. Jest to zbór ariański, jednak historia jego powstania jest nie do końca jasna. Prawdopodobnie był to stary dwór wieżowy, wzniesiony być może przez Sienieńskich w 1560 r. W 1599 r. wspomniany Zbigniew Sienieński młodszy przebudował go na zbór ariański, który jednak w następnym stuleciu przestał być użytkowany, a stał się zwykłym spichlerzem. Dziś mieści się w nim muzeum Biblii.

Od 1799 r. właścicielami Iwonicza stała się zasłużona rodzina Załuskich. Syn pierwszego właściciela Teofila – Karol Załuski, naczelnik powstania listopadowego na Litwie – ufundował Zakład Zdrojowy, na który przeznaczył prawie cały swój majątek oraz posag żony Amelii z Ogińskich. To właśnie w latach 30. i 40. XIX w. powstały piękne pawilony w stylu szwajcarskim, nowe drogi i pijalnie wód mineralnych. Co więcej, mieszkańcy nie przyłączyli się do rabacji szelmy Szeli, powiększając wraz z Miejscem Piastowym, Birczą i Czudcem grono chwalebnych miejscowości Małopolski Wschodniej, które nie wzięły udziału w mordach i rabunkach szlachty.

Pod sam koniec XVIII w. Iwonicz uległ podziałowi – na Zdroje, część wsi, gdzie znajdowały się źródła wód leczniczych i która dziś znana jest jako miasto Iwonicz-Zdrój, oraz stary Iwonicz, sławny z pałacu, parku i wspomnianego dawnego zboru ariańskiego. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

SIOSTRY GOTUJĄ

Idą święta

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

To już najwyższy czas, aby ulepić uszka na święta. Można je zamrozić i wyjąć w Wigilię, aby tuż przed wieczerzą pracy było mniej. Bo lepienie uszek to jednak czasochłonne zajęcie.

Uszka z jaśkiem robiła nasza babcia Małgosia. To przepis przywieziony ze Wschodu, dokładnie z okolic Kamionki Strumiłowej, gdzie dziadkowie mieszkali przed wojną. Ugotowane i ostudzone uszka babcia dokładnie polewała olejem i przechowywała w zamrażalniku. Uszka z jaśkiem mają wspaniały smak i według nas bardzo pasują smakiem do świątecznego barszczu. Fasola to źródło białka i doskonale zastępuje mięso w potrawach. Najlepszą odmianą w przygotowaniu uszek jest fasola „Piękny Jaś" z Doliny Dunajca, której uprawa popularna jest w Małopolsce.

Dwa tygodnie przed świętami nastawiamy też zakwas z buraków. Żeby go zrobić, pamiętać trzeba o kilku ważnych zasadach. Otóż słoik, w którym kisić będziemy buraki, musi być sterylny, czysty i wyparzony wrzątkiem, buraki powinny być obrane, a przyprawy przed włożeniem do słoika należy uprażyć przez kilka minut na suchej patelni – tak aby pozbyć się możliwej pleśni, bo nigdy nie wiadomo, gdzie i jak były przechowywane. Warto również do kiszenia dodać laskę chrzanu i kawałek imbiru, które zabezpieczą zakwas przed zepsuciem i pleśnią.

FOT. ADOBE STOCK

Uszka z „jaśkiem" i grzybami

• 50 g suszonych grzybów • 375 g fasoli jaś • 1 duża cebula zwykła • masło lub olej do smażenia • woda do namoczenia • sól i pieprz do smaku

Fasolę płuczemy i namaczamy w wodzie przez całą noc, tak samo grzyby namaczamy w wodzie. Następnego dnia fasolę i grzyby osobno gotujemy do miękkości. Odlewamy wodę z fasoli, studzimy i mielimy w maszynce razem z grzybami i z podsmażoną na maśle cebulką. Tak przygotowany farsz odstawiamy do stężenia. Jeśli okazałby się zbyt rzadki, to możemy dodać odrobinę bułki tartej.

Ciasto:

• 600 g maki pszennej • pół łyżeczki soli • 350–400 ml wrzątku • 1/3 kostki masła

Mąkę przesiewamy na stolnicę, masło roztapiamy we wrzątku, dodajemy sól i zagniatamy ciasto. Wyrabiamy ok. 5 min i odstawiamy pod przykryciem, aby ciasto odpoczęło ok. 20 min. Stolnicę podsypujemy mąką i rozwałkujemy cieniutko ciasto. Wykrawamy małe kółeczka o średnicy ok. 5 cm lub małe kwadraty 2,5 x 2,5 cm. Nakładamy farsz, zalepiamy pierożka i owijamy wokoło wskazującego palca. W dużym garnku zagotować wodę, posolić.

I partiami wrzucać przygotowane uszka. Poczekać, aż wypłyną na wierzch ok. 5 min. Gotować i wyjąć. Polać olejem. Smacznego! ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Beckhingham Palace

JOANNA BOJAŃCZYK

Właśnie przeczytałam we francuskim tygodniku, że państwo Beckhamowie nabyli posiadłość w Miami. Willa o powierzchni 1,3 tys. mkw. stoi tyłem do miasta i kosztowała 80 mln dol. Płatne gotówką.

Państwo B. posiadają już kilka rezydencji w różnych miejscach świata. W Londynie w dzielnicy Holland Park mają czteropiętrowy pałac, który odnowili przy pomocy najbardziej znanych architektów świata. W Miami, kilka kilometrów od świeżo nabytej willi, posiadają 900-metrowy penthouse zaprojektowanym przez Zahę Hadid, tyle że w wieżowcu. Pięć sypialni, sześć łazienek, lądowisko dla helikopterów. Wieżowiec to jednak ograniczenie. A w willi można mieć większą powierzchnię, basen, spa, salę kinową, 12 łazienek i dziewięć sypialni. No i dostęp do wody. Nie ma plaży, za to jest imponujący pomost, właściwie molo, z kąpielami nie będzie problemu.

Podobno Victorii (przypomnę – dawna Spice Girl) bardziej niż Davidowi spieszyło się do przeprowadzki. Jej ambicją jest podbój Miami, które (dla niektórych) stało się obecnie „stolicą mody". Pani Beckhamowa ma własną markę mody i perfum, więc musi pilnować interesów u źródła. Celebrycka stolica, jak wiemy z relacji Caroline Derpienski, która niestety ostatnio rozstała się ze swoim sponsorem, więc nie wiadomo, czy zdoła utrzymać się na poziomie, którego wymaga luksusowy kurort. Jest jednak motywacja biznesowa. Okazało się, że gdy państwo B. przebywają w Ameryce, sprzedaż ubrań marki Victoria Beckham natychmiast wzrasta.

W swojej starej ojczyźnie Beckhamowie zdobyli już status drugiej rodziny królewskiej. Rzeczywiście są blisko tej prawdziwej, zapraszani są na herbatki do Windsoru. Niestety, David nie otrzymał jeszcze tytułu szlacheckiego od króla Karola III, ale zapewne to kwestia czasu. Na razie jest ambasadorem Fundacji Królewskiej, organizacji drogiej jego wysokości, ale brak tytułów musi być frustrujący. We wrześniu 2022 r. pan Beckham stał nawet w kilometrowej kolejce ze zwykłymi śmiertelnikami, żeby oddać hołd zmarłej królowej Elżbiecie II.

W Miami nie będzie tylko mężem swojej żony. Ma już własny klub Inter Miami CF, do którego zaangażował najlepszych piłkarzy, m.in. Lionela Messiego. Buduje stadion na 25 tys. miejsc, który ma zostać otwarty w roku 2026. Wszystko idzie w dobrym kierunku.

Zimowe wieczory są z pewnością przyjemniejsze w Miami niż w starym, mglistym kraju. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Jak bogaci umierali

Niedawno współprowadziłem sejmową konferencję o WHO, czyli Międzynarodowej Organizacji Zdrowia. To ona zarządzała (dziś już wiemy, że tylko pośrednio) światowym zdrowiem w czasie pandemii. Piszę „pośrednio", gdyż jej szef ostatnio oświadczył, że tak naprawdę to WHO tylko doradzała, dawała sugestie, same rządy zaś podejmowały decyzje. O dziwo, dziś milczące o tym rządy wtedy powoływały się na autorytet WHO, co jeszcze bardziej utwierdzało ludność w przekonaniu, że wszystkim dowodzi jednak ona, skoro dziwnym trafem wszystkie niezależne rządy podejmowały bliźniacze decyzje na temat lockdownów, distancingu czy maseczkowania, o szczepieniach już nie wspominając. A więc kiedy pandemia ucichła, okazało się, że nikt nie jest winien eskalacji obostrzeń, jedni słuchali drugich, choć ci drudzy tak sobie tylko dywagowali. To dowodzi jednej prawdy, której trzeba się trzymać – w ostateczności odpowiedzialność spada na polityków podejmujących decyzje, choćby swe inspiracje czerpali z nieomylnych źródeł.

Ale najciekawsze okazało się na konferencji zestawienie danych od samej… WHO. Otóż wyszło, że zgony w krajach rozwiniętych o kilkadziesiąt razy przewyższały zgony w krajach biedniejszych w podziale na 100 tys. mieszkańców. A to przecież kraje biedne z powodu swego zacofania miały być najłatwiejszą ofiarą śmiertelnego wirusa. Ten zadziwiający fakt da się wytłumaczyć tylko jednym – to, że kraje biedniejsze kilkudziesięciokrotnie lżej przechorowały wirusa, brało się stąd, że do COVID-19 nie zabrano się w sposób, w jaki – przy ewidentnym podpuszczeniu przez WHO – zabrały się kraje rozwinięte. Wychodzi z tego, że to nie wirus spowodował hekatombę ofiar, ale rozmontowanie istniejącego systemu zdrowia. A ponieważ w krajach niedorozwiniętych nie było czego demontować, to paradoksalnie uratowało to tysiące potencjalnych ofiar.

Co ciekawe, w przygotowywanym obecnie przez WHO traktacie pandemicznym zawarte są rozwiązania, które będą powodowały transfer pieniędzy na zdrowie z krajów rozwiniętych do krajów biedniejszych. Z analizy przyczyn zgonów w pandemii koronawirusa wynika zaskakujący wniosek: WHO będzie transferować pieniądze do krajów biedniejszych, by te miały narzędzia do reagowania na zagrożenia w sposób przećwiczony przez Zachód. Obawiam się, że jest to kasa, która przyniesie, jak w przypadku COVID-19, podobne, śmiertelne rezultaty. Będą więc pieniądze na zakup choćby takich respiratorów, które były ostatnim namaszczeniem od służby zdrowia, która swym rozmontowaniem doprowadzała pacjentów do stanów nieodwracalnych. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Konformizm aborcyjny 2.0

Kampania wyborcza się rozkręca i prezes Kaczyński już spieszy z odsieczą Karolowi Nawrockiemu, suflując mu, jak ma wyglądać stanowisko obywatelskiego kandydata w sprawie aborcji. W pierwszych dniach po ogłoszeniu kandydatury prezesa IPN na urząd Prezydenta Nawrocki musiał się zmierzyć z pytaniami dziennikarzy dotyczącymi – cytuję – „liberalizacji prawa aborcyjnego". Ponieważ w opinii Nowogrodzkiej nie wybrnął zadowalająco, prezes Kaczyński w wywiadzie dla „Tygodnika Solidarność", jakby od niechcenia, snuje niezobowiązujące dywagacje o konieczności podjęcia przez PiS próby budowania „kompromisu wokół spraw obyczajowych". Wprawdzie zaraz zaznaczył, „że Prawo i Sprawiedliwość nie zamierza rezygnować ze swoich poglądów" (jakich?), ale podkreślił również: „Zdajemy sobie sprawę, że państwo nie powinno zbyt głęboko ingerować w ludzką prywatność. Mamy świadomość, że decyzja Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji naruszała to poczucie i dlatego wywołała tak silny sprzeciw".

To, że dziennikarka „Wyborczej", pytając o „prawo aborcyjne", manipuluje, nie dziwi. W Polsce nie istnieje bowiem „prawo aborcyjne". Ustawa w pierwszej kolejności mówi o ochronie życia – to słowo jest w tytule aktu prawnego. Ponadto „liberalizacja" oznacza powiększanie obszaru wolności. Pozbawienie życia człowieka, tylko dla komfortu innych osób, jest najjaskrawszym przykładem gwałcenia wolności. Szkoda, że Nawrocki nie przypomniał tego dziennikarzom. Prezydent wszak stoi na straży konstytucji i taka odpowiedź kandydata odwołująca się do ustawy zasadniczej byłaby na miejscu.

Nie jestem w stanie pojąć, jak prawnik Jarosław Kaczyński może włączać ochronę życia do „spraw obyczajowych". Obyczajowe sprawy to np. tatuowanie ciała czy rytuały świąteczne. Zgoda na zabicie człowieka tylko dlatego, że rozpoznano u niego chorobę, zanim zdążył się urodzić, to fundamentalna kwestia nie tylko moralna, lecz także ustrojowa. Podstawową rolą państwa jest zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa, czyli prawa do życia – również najsłabszym członkom wspólnoty. Jeżeli państwo abdykuje z tej funkcji, to wszystkie inne prawa obywateli mogą być zakwestionowane. Dlatego sformułowanie, że prawna ochrona życia to „sprawa obyczajowa" lub „zbyt głęboka ingerencja państwa w prywatność", to w ustach prawnika skandaliczne nadużycie.

Ponadto podważanie w tym kontekście orzeczenia TK z 22 października 2020 r. jest strzałem w kolano. Kaczyński osłabia autorytet TK, na który PiS, walcząc z bandyckim systemem Tuska i Bodnara, powołuje się dziś w tylu spornych sprawach. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

No nie wiem...

Tusk znowu coś napisał na portalu X, co wymaga tłumaczenia. Stop. Słowa jego brzmiały: „Rozliczanie PiS postępuje wolniej, bo nie wszyscy w koalicji zrozumieli, że bez rozliczenia nie będzie naprawy Rzeczypospolitej. I jeśli się wreszcie nie ogarną, to sami zostaną przez ludzi rozliczeni". Stop. Teraz tłumaczenie: „Luuudzie, wsadźmy tych z PiS za cokolwiek, bo jak nie, to oni nas wsadzą, a mają za co". Stop. Na wpis Tuska, jednak bez zrozumienia tłumaczenia, odpowiedział Szymon Hołownia: „Niektórzy uważają, że karanie mandatem za zdejmowanie tabliczek to »rozliczenia«. Trzeba wreszcie oskarżyć i skazać tych, którzy ukradli ludziom pieniądze. Popełnili poważne przestępstwa. Ludzie czekają na sprawiedliwość, nie na teatr i zemstę". Stop. Niby że o PiS, ale niektórym natychmiast się przypomniało, jak Tusk w roku 2014 „ukradł" Polakom z Otwartych Funduszy Emerytalnych 153 mld zł, przekazując je do ZUS i wypowiadając przy tym słowa wiekopomne: „Te pieniądze nie są własnością Polaków. Gdyby nią były, to każdy mógłby te pieniądze sobie wycofać. Tak jak pieniądze w ZUS nie są własnością Polaków". Stop. I co Polacy? Tusk już 10 lat temu mówił wam, że wasze pieniądze są jego i może je sobie transferować. Stop. Jeszcze nie wiemy kto, ale ktoś jednak będzie siedział.

À propos pieniędzy, należy odnotować, że za rządów Tuska są branże gwałtownie się rozwijające. Stop. Otóż w październiku firmy pożyczkowe udzieliły pożyczek na kwotę 1,4 mld zł, czyli o 45 proc. więcej w ujęciu rok do roku, jak podało Biuro Informacji Kredytowej. Stop. Donaldzie, to Ci się udało. Stop.

Są rzeczy, z których prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski może być autentycznie dumny. Stop. 4 grudnia na placu Zamkowym w stolicy włączył światełka na choince. Stop.

Didier Reynders, pouczający przez lata Polaków (ale tylko tych z PiS) o braku praworządności, jest podejrzany przez belgijską policję o branie łapówek i pranie brudnych pieniędzy. Stop. Okazuje się, że wesołek Didier był serdecznym przyjacielem wielu członków naszego obecnego rządu. Stop. Odnotować musimy sposób, w jaki hipokryta próbował prać nielegalne pieniądze: otóż na potęgę kupował losy na loterii i ciągle wygrywał. Stop. Taki trochę nasz Bolek, który, jak pamiętamy po rozmowach z tajniakami, systematycznie wygrywał w totolotka. Stop.

Małgorzata Kidawa-Błońska w rozmowie z redaktorem Rymanowskim rzekła: „Polskę trzeba podzielić i to jest zadanie dla przyszłego prezydenta". Stop. Pojawiły się głosy, że mogła się przejęzyczyć. Stop. No nie wiem... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Jacek Sasin idzie na odsiecz

Ciekawe dyskusje toczą się wokół Karola Nawrockiego, który jako „kandydat obywatelski" startować ma w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Zarekomendował go do tej funkcji Obywatelski Komitet Poparcia Kandydata na Urząd Prezydenta RP dr. Karola Nawrockiego. Partia PiS przez wiele miesięcy przedstawiała dr. Karola Nawrockiego jako finalistę organizowanego przez siebie długotrwałego castingu politycznego, polegającego na wieloetapowych badaniach społecznych i pracowitym „prześwietlaniu" kolejnych kandydatów. Decyzja, by Karola Nawrockiego zaprezentować jako „kandydata obywatelskiego", osobę bezpartyjną i pozostającą „poza jądrem politycznego sporu", była dla wielu wyborców niemałym zaskoczeniem. Znaleźli się publicyści przedstawiający takie postępowanie PiS jako zwykłe mydlenie oczu. Widziano w tym ukrywanie partyjnego sztandaru, który dla wielu wyborców wydawać się może skompromitowany ośmioma latami nieporadnych rządów tej partii.

Odpór takim pogłoskom dał na antenie Radia Plus Jacek Sasin. Oznajmił on, że dr Karol Nawrocki taką formę nominacji na kandydata zawdzięcza przede wszystkim sobie. „To trochę było też tak, że to Karol Nawrocki był człowiekiem, który chciał kandydować na prezydenta, ale chciał kandydować na tego prezydenta właśnie w takiej formule". Jacek Sasin zdaje sobie zapewne sprawę, że nie wszyscy słuchacze mogą dać wiarę jego słowom. „Myślę, że Karol Nawrocki w ciągu tych kilku miesięcy, które pozostały do wyborów, przekona wszystkich co do tego, że nie jest takim partyjnym kandydatem" – ufnie deklaruje polityk PiS.

Sam Karol Nawrocki byłby zapewne tymi słowami zaskoczony. Jeszcze niedawno zapewniał przy każdej okazji, że osobiste ambicje prezydenckie są mu zupełnie obce. Ewentualny start w wyścigu prezydenckim „nie wynika z moich ambicji i planów" – przekonywał. „Nie mówiłem, że chcę być prezydentem, jestem kandydatem na kandydata". Dziś Jacek Sasin zapewnia, że „obywatelskim kandydatem na prezydenta" uczynił się Karol Nawrocki sam.

Teorie Jacka Sasina przywodzić mogą na myśl słowa Horodniczego, bohatera dramatu „Rewizor" autorstwa Mikołaja Gogola. Pytany o los wdowy, którą kazał rzekomo wychłostać, dowodził swojej niewinności słowami: „A wdowa po podoficerze kłamie, że ją kazałem wychłostać! Łże! Sama siebie wychłostała!". Karolowi Nawrockiemu u progu prezydenckiego wyścigu zadedykować można maksymę przypisywaną kard. Richelieu: „Strzeż mnie, Boże, od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam". ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Opowiedział dzięcioł sowie

Hannę Gosławską (1915–1975), ps. Ha-Ga, popularną w latach 50. i 60. rysowniczkę, długo kompletnie zapomnianą, przypomniały ostatnio Agata Napiórska, autorka jej biografii, oraz Anna Niesterowicz, autorka wystawy prac „Ha-Gi". Zdecydowanie ją jednak przeceniły i wywindowały, mianując pierwszą, wybitną damą naszego rysunku i satyry, szczytem panteonu polskiej karykatury. Jedyną artystką, która tak długo, bo prawie 40 lat, miała stałą rubrykę w czasopiśmie, w „Szpilkach", gdzie co tydzień publikowała swoje rysunki. Choć wpływ na to miało niewątpliwie to, że była żoną redaktora naczelnego „Szpilek", wpływowego Eryka Lipińskiego, a jej kariera załamała się, gdy się rozwiedli i Lipiński przestał być szefem czasopisma.

Jej rysunki, a raczej według mnie rysuneczki, były rzeczywiście charakterystyczne i rozpoznawalne, przez cały czas tworzyła bowiem to samo: dwie osoby, najczęściej paniusie, rzadziej panowie, z wielkimi, okrągłymi, wytrzeszczonymi oczami, prowadzący naiwne i banalne dialogi, które wcale nie śmieszyły. Dotyczyły głównie spraw męsko-damskich, np. zawiany mąż wracał do domu z teczką, z której wylatywała damska bielizna, i mówił do żony stojącej z wałkiem (!) w ręku: „Przysięgam, że wracam z zebrania zarządu!". „Dzwonił mój mąż, twierdził, że właśnie gra z tobą w karty" – mówiła naga paniusia do leżącego z nią w łóżku pana. Często też tematem „Ha-Gi" były rozplotkowane paniusie, np. „Malinowskiej nie można nic zarzucić", „To mówmy o kimś innym". Wysokich lotów nie był też jej rzekomo absurdalny humor, gdy na plaży pan pytał panią: „Czy lubi pani morze?". „Może co lubię?". Czasem też bywała wulgarna: „Czego się tak cieszysz?" – pytał pan roześmianego kolegę. „Bo jestem ginekologiem".

Jej rysunki, a raczej według mnie rysuneczki, były rzeczywiście charakterystyczne i rozpoznawalne, przez cały czas tworzyła bowiem to samo

Nie jest też prawdą, jakoby „Ha-Ga" – która wystąpiła z partii już w 1951 r. – nie komuszyła, i nie ma u niej, jak u innych satyryków, zwłaszcza jej męża Eryka Lipińskiego, głównego wesołka reżimu, kułaków, imperialistów, wojennych podżegaczy. Komuszyła, choć zdecydowanie mniej, rysując np. gołąbka pokoju omijającego Amerykę z napisem „No parking"; karykatury zachodnich przywódców: Trumana, Adenauera, de Gaule'a. Indoktrynowała dzieci, ilustrując bajkę Jana Brzechwy, napisaną w czasie „bitwy o handel", promującą spółdzielczość, wyszydzającą niszczonych domiarami prywaciarzy. Narysowała wstrętnych sklepikarzy – grubego, bogato ubranego wilka Barnabę i chytrego rysia Bazylego – okradających wychudzone zwierzęta; mądrego niedźwiedzia Błażeja, założyciela państwowej spółdzielni, gdzie „Nikt nikogo nie oszwabia / Nikt na nikim nie zarabia / Bo gdy łączą wspólne cele / Tam są wszyscy przyjaciele". Bajka przyniosła „Ha-Dze" duże pieniądze – wznawiano ją często w masowych nakładach, w 1960 r. w 50 tys., w 1968 w 60 tys. egzemplarzy.

Trudno też uznać za sukces współpracę „Ha-Gi" z propagandową, komunistyczną prasą satyryczną innych krajów – z „L'Humanite Dimanche", organem francuskiej Partii Komunistycznej finansowanej przez Moskwę, sowieckim „Krokodilem" z podtytułem „Satyra w służbie partii", z „Eulenspieglem" ponurym jak całe NRD.

Rysunki „Ha-Gi" nie miały nic wspólnego z siermiężną rzeczywistością ówczesnej Polski; były ładne, słodkie, glamour. Bez kolejek, ciasnych mieszkań, biedy, ale z eleganckimi paniusiami.

Zmierzchem jej kariery były lata 70., gdy KTT, Krzysztof Teodor Toeplitz, nowy szef „Szpilek", zatrudnił czterech Andrzejów: Krauzego, Mleczkę, Czeczota i Dudzińskiego. Młodych, utalentowanych, odważnie wyśmiewających władzę, pokazujących Polskę taką, jaka była. Zdetronizowali ciocię „Ha-Gę", symbol ponurej satyry lat gomułkowskich. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

ELEKTORZY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Donald Trump zaproponował premierowi Trudeau, aby Kanada została 51. stanem USA. Trudeau mówi, że to był tylko żart, ale to wcale nie był żart. W Kanadzie kilka stowarzyszeń prowadzi kampanie polityczne na rzecz przystąpienia do Stanów Zjednoczonych, w XIX w. amerykańscy politycy opowiadali się za przyłączeniem Kanady, a Trump widzi to jako rzecz naturalną. Trudeau mógłby wtedy zostać gubernatorem, a to oznacza więcej władzy, niż ma jakikolwiek premier.

***

Nazwa „Stany Zjednoczone" jest myląca. Powinno być „kraje" lub „państwa". Każdy amerykański stan jest odrębnym państwem – ma własne prawa, własną konstytucję, flagę i Senat, odrębne przepisy wyborcze, własne stawki podatkowe. W jednych stanach podatki są wysokie (Kalifornia), w innych podatku dochodowego nie ma wcale (Floryda, Tennessee, Teksas, Waszyngton itd.). Natomiast Alaska nie dość, że nie pobiera podatku, to jeszcze wypłaca swoim obywatelom dywidendę od dochodów państwa. Ten kraj (Alaska) utrzymuje się z dzierżawy ogromnych pól naftowych i ma dochody tak wysokie, że po opłaceniu wszystkich rachunków w państwowej kasie zostają pieniądze do podziału. W tym roku każdy obywatel Alaski dostanie 1702 dol.

Różnice systemów prawnych też są kolosalne – w jednych stanach jest kara śmierci, w innych nie ma, w jednych aborcja jest dozwolona, w innych zakazana, w jednych masz prawo zastrzelić intruza, który wtargnął na twoją posesję, w innych wolno ci tylko dzwonić na policję.

Świat traktuje USA jak jeden duży kraj, podczas gdy to jest przymierze (federacja) 50 odrębnych suwerennych i niepodległych państw, i to dużo bardziej luźne niż Unia Europejska. Związek Florydy z Kalifornią jest mniejszy niż związek Niemiec z Francją w ramach UE. Mylą nas pozory – na Florydzie i w Kalifornii mówi się tym samym językiem, a Niemcy i Francja mają dwa różne.

***

Na czym konkretnie polega związek wolnych państw w ramach USA? To było od początku przymierze obronne. Gdy je zakładano, służyło do obrony przed angielskim królem, bo najpierw na terenie Ameryki powstały kolonie brytyjskie (i nie tylko brytyjskie), potem te kolonie postanowiły wybić się na niepodległość, a żeby każda z nich była się w stanie oprzeć interwencji zbrojnej swojego byłego właściciela z Europy, założyły związek państw o nazwie USA.

Rząd federalny zapewnia stanom obronę cywilną i wojskową, państwa członkowskie szanują umowy prawne i małżeństwa zawierane w innych stanach oraz wyroki swoich sądów. Tyle. Rząd federalny ma się nie wtrącać do niczego, co da się ogarnąć na poziomie stanu (X poprawka do konstytucji), natomiast wolno mu się wtrącać wyłącznie w sprawy, które wykraczają poza zakres możliwości jednego stanu. No np. gdy grupa przestępcza działa w kilku stanach, wtedy tą grupą przestępczą nie zajmuje się lokalna policja stanowa, lecz policja federalna, czyli FBI.

***

Kto rządzi na terenie USA? Najwięcej władzy mają gubernatorowie poszczególnych stanów (państw). Każdy z nich ma na swoim terenie więcej władzy niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Każdy z gubernatorów może się prezydentowi USA postawić, a prezydent USA nie może zrobić gubernatorowi prawie nic. Jak to możliwe? Ano tak, że to poszczególne stany powierzyły pewne zadania do wykonania władzy federalnej, a nie na odwrót. Władza federalna nie powierzyła do wykonania niczego poszczególnym stanom. Poszczególne stany są zleceniodawcą, a władza federalna jest wykonawcą.

***

Określenie „Amerykanie wybrali swojego prezydenta" jest bardzo mylące. Amerykanie wybierają swoich gubernatorów, ale nie prezydenta. Prezydent USA nie jest prezydentem amerykańskich obywateli, lecz kimś w rodzaju prezesa korporacji złożonej z 50 odrębnych firm. Każda z tych firm specjalizuje się w czymś innym – Luizjana łowi krewetki, Utah wydobywa uran – a ponieważ mają kilka interesów wspólnych, to stworzyły korporację i wybrały prezesa (prezydenta). Prezydent USA zarządza interesem wspólnym 50 państw, a nie interesem obywateli tych państw. Od zajmowania się interesem obywateli są gubernatorowie, od zarządzania interesem całej federacji jest prezydent USA.

Każdy stan wysyła do Waszyngtonu po dwóch senatorów. Zarówno Kalifornia, gdzie mieszka 40 mln ludzi, jak i Wyoming, gdzie mieszka tylko pół miliona. Chodzi o to, by każdy stan miał tyle samo do powiedzenia w sprawach wspólnych – tyle samo głosów, niezależnie od liczby mieszkańców w danym stanie. Gdyby o liczbie senatorów decydowała liczba mieszkańców, wówczas stany słabo zaludnione nie miałyby wpływu na decyzje, bo byłyby zawsze przegłosowane przez stany mocno zaludnione. A co to za interes należeć do federacji, w której nie ma się nic do gadania? Przykład: Alaska – tylko 750 tys. obywateli; gdyby liczba senatorów zależała od liczby mieszkańców, to ten stan nie miałby nigdy nic do gadania, a przecież Alaska to prawie jedna piąta terytorium USA i potężne zasoby ropy naftowej.

Zgodnie z tym tokiem rozumowania wymyślono w USA system elektorski polegający z grubsza na tym, że obywatele USA nie głosują wprost na prezydenta, lecz wybierają elektorów, a potem ci elektorzy wybierają prezydenta, ale robią to – uwaga! – w imieniu swojego stanu, a nie w imieniu obywateli. Elektorzy reprezentują stan, z którego przyjechali, a nie obywateli tego stanu. Trump został wybrany na prezydenta (prezesa) organizacji o nazwie USA, a nie na prezydenta Amerykanów.

Gdyby zrezygnować z systemu elektorskiego, wówczas prezydenta USA wybierałaby zawsze populacja ludzi zamieszkujących najmocniej zaludnione stany Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, a cały środek kraju nie miałby nic do gadania. ©℗

eprasa.pl acb5eb45c8

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

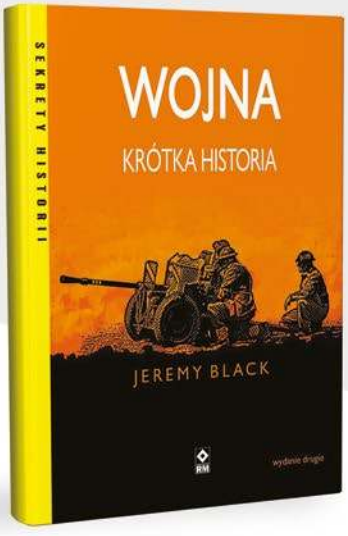

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JEREMY BLACK: „WOJNA. KRÓTKA HISTORIA" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~864~~ZŁ

466,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 398ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl acb5eb45c8

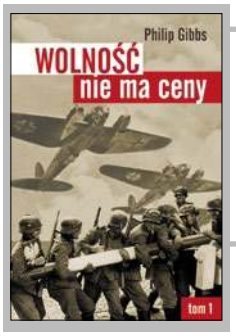

Philip Gibbs Wolność nie ma ceny

59 zł

Epopeja polskich losów w latach 1939–1945: żołnierzy walczących za Ojczyznę w kraju i za granicą oraz społeczeństwa pod wrogą okupacją, napisana przez znakomitego brytyjskiego autora i dziennikarza.

Zofia Kossak Pątniczym szlakiem

Relacja z Pielgrzymki Narodowej do Ziemi Świętej w 1933 r. Wielka erudycja Autorki oraz jej znakomita wiedza biblijna i historyczna pozwoliły stworzyć opowieść niezwykle ciekawą, nie pozbawioną także elementów humorystycznych.

40 zł

Zofia Kossak Ku swoim

Powieść ukazuje dramat Polaków na Kresach Wschodnich po przejściu rewolucji bolszewickiej i zagładzie ziemiaństwa oraz dylematy tych, którzy ocaleli.

35 zł

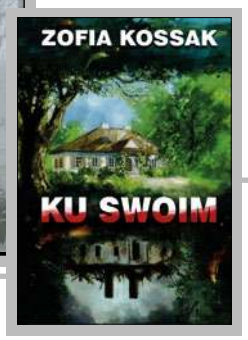

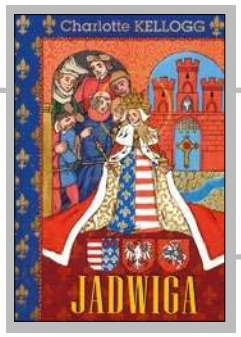

Feliks Koneczny Dzieje Polski za Piastów

59 zł

Barwna panorama kształtowania się polskiej państwowości, ukazująca cywilizacyjną rolę Polski i jej szczególne miejsce w Europie między Wschodem a Zachodem.

Charlotte Kellogg Jadwiga

37 zł

Napisana z rozmachem i ogromną erudycją książka przedstawia historię młodej polskiej królowej Jadwigi Andegaweńskiej; historię tym ciekawszą, że widzianą oczami Amerykanki zafascynowanej Polską i polskością.

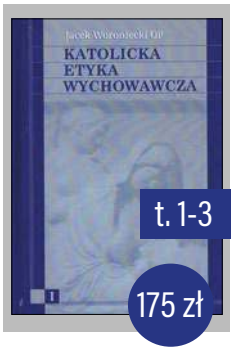

Jacek Woroniecki OP
Katolicka etyka wychowawcza

Fundamentalne dzieło, które dzięki harmonijnemu połączeniu trzech płaszczyzn: etyki, antropologii i pedagogiki pozostaje niezastąpionym i uniwersalnym przewodnikiem po sprawach moralnych, pełnym realizmu i głębokiej mądrości.

Maria Konopnicka
Wrażenia z podróży

Wspomnienia pisarki z podróży odbytej do Austrii i Włoch w 1882 r. Wyjątkowa dla twórczości M. Konopnickiej książka ma charakter reportażu łączącego opisy zwiedzanych miejsc z refleksją nad życiem poznawanych ludzi i społeczności.

NAJPIĘKNIEJSZE PREZENTY

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

601 096 795

eprasa.pl acb5eb45c8